



interia

**TRZY WYMIARY INTERNETU
- ŚWIAT, LUDZIE, EMOCJE**

TRZY WYMIARY INTERNETU – ŚWIAT, LUDZIE, EMOCJE

interia

KRAKÓW 2018

Spis treści

Od redakcji | 4

TO, CO NAS PORUSZA | 4

ADAM WIECZOREK – Nasze pokolenie nie miało prawa przeżyć | 6

JUSTYNA GROCHAL – Kobieto, nie bądź baba | 13

JUSTYNA MASTALERZ – Syryjski exodus i rozbite wojnę życie | 19

MONIKA SZUBRYCHT – Autyzm: w poszukiwaniu świadomości | 28

ALEKSANDRA BUJAS – Kto się boi czarnej wołgi? | 37

EWELINA KARPIŃSKA-MOREK – „Z niej już jest Niemka” | 44

DANIEL KIEŁBASA – Elvis żyje? Szukaj go (bezsukutecznie) od 40 lat | 53

MICHAŁ MICHALAK – Polska. Kraj nierówności umiarkowanych | 58

ŁUKASZ SZPYRKA – „Chcę pić, ale tak normalnie” | 72

GABRIELA KURCZ – Pięć hitów PRL-u, które wracają do łask | 81

CI, KTÓRYCH PODZIWIAMY | 85

DARIUSZ JARON – Adam Bielecki: nie jestem już nieśmiertelnym nastolatkiem | 86

JAREK SZUBRYCHT – Maryla Rodowicz: uwielbiam prowokacje | 101

MONIKA SZUBRYCHT – Trochę oryginalna wokalistka | 109

ADAM WIECZOREK – Dmitrij Głuchowski: szukamy mroku, bo jesteśmy znudzeni jakością życia | 115

IZABELA GRELOWSKA – Maria Dąbrowska-Majewska: więzienie to Polska w mikroskali | 125

SŁAWEK ZAGÓRSKI – Nietypowi uchodźcy w Polsce. Kto przekracza granicę? | 133

KATARZYNA WILK – Dorota Sumińska: wzrusza mnie lojalność psów | 140

ŁUKASZ PIĄTEK – Tomasz Łoziński: malutkiego dinozaura nigdy już nie spotkam | 146

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA – Mr. Vintage: jak się ubrać, a nie przebrać | 159

MAGDALENA TYRAŁA – Magdalena Boczarska: jestem z siebie dumna | 169

MICHAŁ BORON – Mariusz Duda (Lunatic Soul): stanąć na nogi | 179

MIEJSCA, KTÓRE TRUDNO ZAPOMNIEĆ | 187

MICHAŁ OSTASZ – „Psuje się wszystko” – powiedzieli nam ludzie, którzy naprawią... prawie wszystko | 188

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA – Tel Awiw: różne kolory białego miasta | 193

DARIUSZ JARON – *Cichy memoriał*, czyli minipomniki na ścianach stodoły | 200

ADAM WIECZOREK – Praca górnika. Wizyta w przedsionku piekieł | 207

DOMINIKA GĘBIŚ – Śpiewają, tańczą, modlą się. A obok mieszkają muzułmanie... | 216

KATARZYNA PAWLICKA – Najtrudniej jest mi przekonać ludzi, że Gruzja to normalny kraj | 220

Od redakcji

Dużo, krótko i szybko – w tych czasach dziennikarstwo internetowe można by sprowadzić jedynie do tych trzech słów. Ale w redakcji portalu Interia zawsze staramy się znaleźć czas i chęci na pisanie o tym, co nas porusza. Z przyjemnością przedstawiamy naszym użytkownikom ludzi, których podziwiamy, a próżno ich szukać na pierwszych stronach gazet. Zabieramy czytelników w miejsca, o których nie potrafimy zapomnieć, choć nie roi się w nich od turystów. Najlepsze teksty naszych dziennikarzy, które powstały w ostatnich miesiącach, wybraliśmy spośród gąszczy linków i zebraliśmy w tym e-booku. Zachęcamy: poznajcie świat z naszego punktu widzenia!

Agnieszka Łopatowska,
Interia

TO,

CO NAS

PORUSZA



Młodsze dzieciaki były szybko przeganiane z huśtawek

| Hanna Musiałówna Agencja FORUM

Nasze pokolenie nie miało prawa przeżyć

Adam Wieczorek

Praktycznie co roku słyszy się o nowych, niebezpiecznych zabawach, jakie wymyśliły współczesne dzieciaki. Łapiemy się wtedy za głowę i zastanawiamy, jak można być tak głupim i nieodpowiedzialnym. Tymczasem, gdy sięgniemy pamięcią do dzieciństwa, okaże się, że wcale nie byliśmy lepsi. W zasadzie to cud, że przeżyliśmy okres pacholęctwa bez większego uszczerbku na zdrowiu.

PATRZĄC NA FAŁĘ KOMENTARZY pod wiadomością o dzieciakach przegryzających kapsułki do prania można odnieść wrażenie, że współcześni dorośli nigdy nie robili nic głupiego. Postanowiliśmy sprawdzić tę teorię i przepytaliśmy kilkunastu obecnych 30- i 40-latków o ich zabawy rodem z PRL-u. Okazuje się, że... byliśmy jeszcze głupszy niż obecne pokolenie.

Jednym z najczęściej przewijających się pomysłów na pozbawienie się życia i zdrowia, był związany ze swobodną eksploracją rodzinnych okolic. Jako dzieci mieliśmy znacznie więcej swobody od współczesnych maluchów. Zasadniczo spędzaliśmy całe dnie na podwórku i tylko w okolicach kolacji z okien bloków czy domów rozlegały się pohukiwania rodziców, nawołujących nas na posiłek. Resztę czasu mogliśmy zagospodarować wedle własnej woli.

Biegaliśmy zatem po piwnicach opuszczonych i zamieszkałych budynków. Podpuszczaliśmy się nawzajem, żeby dotknąć martwego szczura, albo spróbować trutki na myszy. Bywało, że biegaliśmy po torach kolejowych, za nic mając możliwość rozjechania przez pociąg, a także wątpliwą woń torowiska. Również wszelkie place budowy były naszymi miejscami zabaw.

W TUNELACH, STUDZIENKACH I NA DACHACH

– Pamiętam, że robiliśmy podkopy w nieukończonych fundamentach domu sąsiada. Wykopaliśmy całkiem spory tunel, w którym założyliśmy „bazę”. To cud, że to wszystko się nie zawaliło i nie pogrzebało nas żywcem – wspomina z rozrzewaniem redaktor Sławek.

Ania, product manager, opowiada, jak bawiła się w dom w studzienkach telekomunikacyjnych. Ten fakt bardzo rozbawił redaktora radiowego Maćka, który przyznaje, że z radością biegał po składzie płyt żelbetonowych i chował się w dołach wykopanych przez zakład gazowniczy podczas remontu instalacji.

Ich opowieści błędą wobec leśnych historii Jarka, redaktora i marketingowca. Z błyskiem w oku opowiada: „Tartak był zajebisty, bo znajdował się nad brzegiem rzeki, na wysokiej skarpie. Z tej skarpy zrzucano odpady do rzeki. Były tam wióry drewna. Powstawała z nich wielka góra, czasem głęboka na metr. Czasem zrzuca-

no tam też wielkie deski. Oczywiście uprawialiśmy skoki w te trociny. Zawsze istniało ryzyko, że można się było nabić na deskę. Pamiętam też, jak podkradało się stamtąd deski do budowy szałasów, a potem zbiegało z nimi w dół skarpy”.

Osobną kategorią było chodzenie po wszelkiego rodzaju dachach. Poczynając od stosunkowo niskich garaży, na krawędziach wysokościowców z wielkiej płyty kończąc. Również wszelkie rusztowania, które rozstawiano podczas remontów domów i wieżowców, były dla nas poligonem.

– Pamiętam „oduczanie się” lęku wysokości. Wchodziliśmy na dachy wszystkich najwyższych budynków w mieście. Żeby tego dokonać, trzeba było nauczyć się rozbrajać różne rodzaje kłódek do włazów dachowych. Stawaliśmy na krawędzi budynku i spoglądaliśmy w dół. To jedna z najgłupszych i najbardziej niebezpiecznych czynności, jakie pamiętam z dzieciństwa – mówi Tomek, PR-owiec.

Biegi po dachach, chodzenie po parapetach przy otwartym oknie, jeżdżenie na (!) wagonach kolejowych, skoki do dołów z wapnem oraz wyskakiwanie z pięter zrujnowanych domów, to był nasz chleb powszedni. Niejedno z nas kończyło z potłamanymi kończynami. A to jeszcze nie koniec...

ZABAWY Z OGNIEM

Nie da się ukryć, że większość z obecnego pokolenia rodziców przeżywała niezdrową fascynację ogniem. Paliliśmy w ogniskach w zasadzie wszystko i nie baliśmy się eksperymentów z materiałami wybuchowymi i łatwopalnymi. Piromanię podsycalo starsze pokolenie, które z rozrzewnieniem potrafiło wspominać zabawę w berka... na zaminowanej plaży!

Jednym z najczęstszych sposobów na pozbawienie się zdrowia i życia było wrzucanie do ogniska pełnych i pustych opakowań po dezodorantach i farbach w spray'u. Z kilkadziesiątu przepytanych przeze mnie osób prawie każda miała podobne doświadczenia. Eksplozja takiej puszki potrafiła skutecznie ugasić płomień, a latające wokół kawałki metalu i gałęzi nie raz wypalały nam dziury w spodniach.

Jeżeli mieszkało się w okolicy, gdzie toczyły się kiedyś bitwy, to chodziło się na

wykopki, aby szukać niewypałów. Równie dużą popularnością cieszyły się dawne strzelnice wojskowe. Jeszcze w latach 80. i 90. XX wieku bywało, że takie zabawy kończyły się tragicznie. O tym, że wykopane niewypały, łuski, naboje i fajerwerki wrzucało się do ognisk wspominamy tylko z grzeczności, bo było to oczywiste.

– Kochaliśmy saletrę potasową. Robiliśmy eksperymenty z jej mieszankami z cukrem, wsypywanymi do butelki. Później to oczywiście podpalaliśmy – opowiada pisarz Marcin.

Saletra, cukier, aluminiowa zakrętka od butelki po napoju i moneta jednozłotowa – ten zestaw gwarantował godziny dobrej zabawy. Wypełniony mieszanką kapsel zamykało się od góry monetą, zaginając wokół niej brzegi. W dole kapsla robiło się dziurę, którą wypychało się zdrapaną z zapalek siarką. Po podpaleniu kapsel zaczynał wirować, po czym leciał w górę nawet na wysokość dziesiątego piętra, ciągnąc za sobą ogon białego, gryzącego w oczy dymu.

Wielu ankietowanych opowiadało też o paleniu nad świeczką lub w ognisku plastikowych zabawek. Opary z rozpuszczonych polimerów były na tyle skuteczne, że niektórzy kończyli takie zabawy w szpitalu z objawami poważnego zatrucia. Autor tego materiału do dziś dnia ma blizny po tym, gdy bulgoczący, roztopiony plastik rozlał mu się po ręce.

O fajerwerkach i petardach nie ma nawet co wspominać, bo o ile sami zachowaliśmy wszystkie kończyny, to znamy ludzi, którzy muszą sobie radzić dzisiaj bez palców. Na szczególne wyróżnienie zasługuje historia, której autor pragnie pozostać anonimowy: „Rzucaliśmy petardy pod murami miejskiego aresztu. To chyba cud, że nikt nas nigdy nie postrzelił, ani nie zapakował do pudła”.

OSTRE NARZĘDZIA

Nasza wyobraźnia nie znała granic. Potrafiliśmy przekuć na zabawki każdy rodzaj ostrza, poczynając od scyzoryka, przez tasak, na igłach kończąc. Najpopularniejszą formą rozrywki była gra „w nożyka”. Wariant podstawowy obejmował jak najszybsze trafianie nożem między rozłożone palce wyciągniętej na desce dłoni. Chyba tylko boskiej opatrności zawdzięczamy, że nie skończyło się to amputacją.

– Nie pamiętam już dokładnie zasad, ale rysowaliśmy na ziemi duże koło, dzieliliśmy na ilość graczy i potem rzucaliśmy nożem w teren sąsiada, którego chcieliśmy zaatakować. Tam, gdzie wbił się nóż, wypadała nowa granica. Rzucało się jak najbliżej nóg przeciwnika, żeby ukraść jak najwięcej powierzchni. Im ostrzejszy nóż, tym lepiej się grało. Wyniosłem kiedyś matce srebrne sztucze z mieszkania. Nie była zadowolona – wspomina programista Michał.

Była również wersja tej gry, gdzie rzucało się nożem obok nóg kolegów, którzy musieli robić szpagat. Podziurawione buty i pokaleczone kończyny zdarzały się praktycznie codziennie.

– Pamiętam zabawy strzykawką z igłą. Taką prawdziwą, wysepioną od znajomej pielęgniarki. Gdy już znudziło mi się robienie zastrzyków misiom, piłem herbatę wstrzykując ją sobie przez igłę do ust. W pewnym momencie ciśnienie było zbyt duże i igła wyleciała jak pocisk... Całe szczęście, że kąt był akurat taki, że tylko język był poszkodowany – zdradza Kuba, który obecnie zajmuje się programowaniem.

Uwielbialiśmy też proce. W różnych wersjach, od drewnianych, po wykonane z kawałków spawanej stali. Najpopularniejsze były takie z izolowanego, grubego drutu, powyginanego w kształt litery Y. W zależności od grubości gumy, strzelało się kamieniami lub zgiętymi na imadle gwoździemi. Wojny między podwórkami były czymś normalnym. Tylko cudem nikt nie stracił w nich oka.

– Mieliliśmy też coś, co przypominało sanki. Zrobiliśmy to z siedziska od taboretu i płóz od łyżew. Siadało się na tym, kładło nogi na podpórce i jechało z góry. Jak tor saneczkarski był oblodzony, to nic nie jeździło szybciej. Minus był taki, że naostrzone łyżwy mogły skutecznie obciąć palce zawodnika – opowiada Rafał, szef serwisu lifestyle'owego.

Dużą popularnością cieszyły się również wiatrówki lub pistolety startowe. Zabawy te lubiły również dziewczęta. Jednej z koleżanek trzeba było wydłubywać proch z okolicy oczu, po zaglądaniu w lufę nabitej broni. Z wiatrówki strzelało się często nie tylko na świeżym powietrzu, ale w niewielkich pomieszczeniach w piwnicy. Rykoszetujące od ścian śruty nabiły wiele siniaków.

– Na szczęście nie przyszło nam do głowy strzelać do jabłka położonego na głowie siostry lub brata, ale niewiele brakowało – uśmiecha się do wspomnień redaktorka Kasia.



Trzepak i kawałek betonowej ściany musiał nam wystarczyć

| Hanna Musiałówna Agencja FORUM

SKOKI NA BOKI

Gdy wyczerpaliśmy już zapasy niewypałów i saletry, a rodzice pozabierali nam noże, bawiliśmy się ciut grzeczniej. Na trzepakach, huśtawkach i placach zabaw. Huśtawki z czasów naszej młodości stałyby się koszmarem sennym współczesnego BHP-owca. Z ostrymi krawędziami, pozwalające często na wykonanie pełnego obrotu wokół osi, postawione na betonie, stanowiły jawne zagrożenie. Uwielbialiśmy je.

Huśtaliśmy się do tzw. podbitki lub od dechy do dechy. Wykonywaliśmy skoki w dal i wzwyż. Nie raz i nie dwa leżeliśmy, próbując złapać oddech po szczególnie długim locie. Uprawialiśmy rzut trepem, czyli wyrzut obuwia po kursie parabolicznym. Wybite szyby w autach i guzy u przypadkowych przechodniów były zjawiskiem dość częstym.

Lubiliśmy też cegły. Rzucaliśmy nimi w siebie, z górek, a nawet puszczailiśmy po zjeżdżalniach za osobami wykonującymi zjazd. Jeśli zdążyli uciec, to dobrze, jeśli nie, to dostawali w głowę, nerki czy inną część ciała.

Kochaliśmy eksperymenty z prądem, wkładając do kontaktów gwoździe, żyłki i inne metalowe przedmioty. Kolega „zamykał obwód” elementami z małego elektryka, a inny kawałkiem zagiętego drutu. – Bawiłem się w migające światełka na choince, wkładając i wyjmując rytmicznie wtyczkę do kontaktu. Ile razy mnie prąd popieścił, to nie zliczę – śmieje się PR-owiec Krzysztof.

Skakaliśmy po kilka stopni na schodach, skakaliśmy na główkę do glinianek i ścigaliśmy się rowerami po zamarzniętych ulicach. Wywijaliśmy hołubce na osadzonych w betonie trzepakach. Wiele razy przydzwoniliśmy głowami o podłoże i kończyło się tylko na guzach i zadrapaniach.

– W okresie popularności *Czterech Pancernych* prawie każdy śmietnik miał wymalowane na burcie „Rudy 102”. Nie zważaliśmy na odór, ostre krawędzie i obrzydliwą zawartość. Wykorzystywaliśmy ją zresztą jako pociski. „Odłamkowym! Ładuj!” i leciała zgniła kapusta – wspomina z rozrzewnieniem elektronik Mariusz.

Dzisiejsi rodzice mają znacznie łatwiej, bo z pomocą przychodzi im technika. Za naszej młodości, w samochodach nie było fotelików, a z tyłu nie montowano pasów.

– Pamiętam, że wypadłem z samochodu – opowiada marketingowiec Rafał. – Chyba rodzice drzwi nie zamknęli i podczas jazdy, jakoś na zakręcie, po prostu wypadłem. Na szczęście nie jechaliśmy szybko.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Ogólnopolski Strajk Kobiet z 17 stycznia 2018 roku,

| fot. Jan Graczyński East News

Kobiet, nie bądź baba

Justyna Grochal

„Oj, nie bądź jak baba!“. To żartobliwe powiedzenie służące najczęściej jako argument zachęcający do konkretnej decyzji czy działania – zazwyczaj o charakterze rozrywkowym – jest jednocześnie sugestią... No właśnie, jaką? Oto kilka słów o tym, jak nie być „babą” z tej złotej (o tym też będzie) myśli.

REBECA SOLNIT W SWOJEJ KSIĄŻCE *Mężczyźni objaśniają mi świat* wychodzi od pozornie niewinnej sytuacji towarzyskiej, w której pewien facet tłumaczy jej, o co chodzi w jej własnej książce, by przejść do zdecydowanie bardziej brutalnych form agresji, jakie stosowane są wobec kobiet na całym świecie.

Największą zaletą książki Solnit jest to, że pozwala zrozumieć i uświadomić wielu kobietom, że przemoc wobec nich to nie tylko rany, siniaki, połamane kości lub niechciana ciąża wynikła z gwałtu (czy gwałt sam w sobie). To także arogancja, ignorowanie, kontrolowanie, pouczenie, onieśmianie, poniżanie, zastraszanie czy wykluczanie. Przejawy symbolicznej przemocy, której skutki choć nie są widoczne gołym okiem, również zadają ból.

Tegoroczna gala Złotych Globów, w której modowy prym celowo wiodła czerni, była manifestacją kobiecej solidarności w imię nie tylko praw kobiet, ale także w imię wszystkich dyskryminowanych, uciszanych i molestowanych. Zainicjowany przez gwiazdy i będący następstwem ujawnionych niedawno przypadków molestowania w Hollywood ruch Time's Up (ang. czas minął) zjednoczył mnóstwo znanych osób. Podobnie było z internetową akcją #MeToo zachęcającą ofiary molestowania do przerywania milczenia i podzielenia się swoją historią w mediach społecznościowych.

WARTO ZNAĆ SWOJĄ WARTOŚĆ

Dlaczego tak ważne jest mówienie głośno o tego typu nadużyciach? Z jednej strony, by pokazać ogromną skalę tego zjawiska, a z drugiej, by wysłać mężczyznom wyraźny sygnał, że „czas minął”. To nie chwilowa moda, krótki moment, tylko ruch mający nieść zmianę.

Stąd tak ważna ta świadomość. I praca u podstaw. Nie wystarczy pójść na protest, marsz czy inną głośną manifestację (choć obecna władza i nieudolna opozycja najczęściej po prostu nie dają nam wyboru). Sytuacji, w których mężczyźni próbują umniejszyć znaczenie kobiet, pokazać nad nimi przewagę, zdeprecjonować i ośmieszyć w towarzystwie, jest mnóstwo.

Chodzi o sygnał. „Wiem, co próbujesz zrobić, ale na to nie pozwolę, bo znam

swoją wartość i jestem takim samym człowiekiem jak ty. Człowiekiem wolnym, który ma takie same prawa i oczekuje szacunku i zrozumienia”.

W 2015 roku Ariana Grande była gościem w stacji radiowej Power 106. W trakcie rozmowy została zapytana przez prowadzącego o to, czy wolałaby makijaż, czy raczej telefon komórkowy. Zareagowała od razu: „Więc myślisz, że z takimi problemami borykają się dziewczyny?”. Amerykańska wokalistka, która niejednokrotnie zabierała głos w kwestii praw kobiet, dostrzegła seksizm i zamiast potulnie udzielić odpowiedzi, która wpisze się w narzucone przez pytającego ramy, postanowiła uświadomić mężczyźnie, jak ograniczające są wszelkie schematy.

Ktoś pomyśli, że to przecież zabawne, mieści się w konwencji programu rozrywkowego, a poza tym nic takiego się przecież nie stało. Ale takie właśnie podejście tworzy idealnie warunki cieplarniane dla rozwoju i wzmacniania stereotypów.

NIE SIEDŹ W SZUFLADZIE

Skoro już wywołaliśmy Arianę Grandę, to wspomnijmy o innych przedstawicielkach branży muzycznej, która również zdominowana jest przez mężczyzn. Instrumentalistki, wokalistki, liderki, producentki, dziennikarki muzyczne, menedżerki i promotorki wciąż stanowią mniejszość w przemyśle muzycznym.

O swoich doświadczeniach w tym zakresie wymownie opowiada Lady Gaga w filmie dokumentalnym *Gaga: Five Feet Two*. „Producenci mają władzę i mogą zdobyć każdą kobietę. Mogą mieć wszystko, co chcą i kiedy chcą. Kokainę, pieniądze, szampan, dziewczyny – najatrakcyjniejsze, jakie widziałeś. Wchodzę do takiego pomieszczenia i w 8 na 10 przypadków jestem szufladkowana. Oczekuję, że dam im to samo, co te dziewczyny, choć nie ma nic bardziej mylnego. Nie dlatego tu jestem. Nie jestem pojemnikiem na twój ból” – mówi Gaga w rozmowie ze znajomym.

W dokumencie są dwa fragmenty, w których ta znana na całym świecie, przebojowa i odważna Amerykanka podkreśla, że mężczyźni, z którymi pracowała lub się spotykała, sprawiali, że czuła się niewystarczająco dobra.

Myśląc o tym, przypominam sobie moje spotkanie z inną młodą, ambitną i uta-

lentowaną kobietą, Darią Zawiałow. Pretekstem do naszej rozmowy była wówczas jej debiutancka płyta *A kysz!*. Gdzieś pod koniec naszej konwersacji zapytałam ją, czy w zdominowanej przez mężczyzn branży spotykała się z przejawami dyskryminacji. – Spotykałam się wielokrotnie z uwagami, że „wokalistka to nie muzyk” albo „co wokalistka może wiedzieć”. Że wokalistki nic nie robią, tylko przychodzą i śpiewają – usłyszałam wtedy od Darii.

Kobiety wciąż dają się wmanewrować w sytuacje wątplenia we własne siły i kompetencje, pozwalając mężczyznom pławić się ich nieuzasadnionej pewności siebie. To pokazuje, jak wiele jeszcze przed nami. I mimo że zmiany, które dokonały się w kwestii praw kobiet na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci, są dostrzegalne, wiele pracy należy jeszcze włożyć w to, by niektórzy mężczyźni przestali narzucać kobietom role i zaczęli ich słuchać.

Wielu mężczyznom wydaje się, że feministki, chcą przez swoje dążenia zdominować płęć przeciwną. Albo że chcą traktowania kobiet jak księżniczki, roztaczania nad nimi parasola ochronnego. Bzdura. Chodzi tylko o równe prawa. O bycie traktowanym z godnością i szacunkiem, jaki należy się każdej osobie ludzkiej, niezależnie od płci, rasy czy wyznania.

NILCZENIE NIE ZAWSZE JEST ZŁOTEM

Nie jest prawdą – jak pisały różne media na całym świecie i w Polsce – że tytuł Człowieka Roku tygodnika „Time” przypadł w 2017 roku kobietom. Owszem, z okładki spogląda na nas pięć artystek, ale to wspomniany wcześniej, sprzeciwiający się wszelkim formom molestowania seksualnego, ruch #MeToo został wyróżniony. „To akt uznania dla kobiet, a także mężczyzn, którzy zdecydowali się opowiedzieć swoje historie” – brzmiało uzasadnienie redaktora naczelnego „Time’a”, Edwarda Felsenthala.

Jedną z tych osób, które postanowiły przerwać milczenie, jest Taylor Swift. Amerykańska wokalistka wytoczyła proces DJ-owi i prezenterowi radiowemu, Davidowi Muellerowi, którego oskarżyła o molestowanie seksualne. W 2013 roku, 51-letni wówczas Mueller, który pracował w radiu KYGO-FM w Denver w Kolorado, „pod-

ciągnął jej spódnicę i dotykał po tyłku". Sąd stanął po stronie Swift, a mężczyźni nakazali zapłacić wokalistce... jednego dolara. O taką sumę walczyła Swift. O symbolicznego dolara.

Publicznie o doświadczeniu napaści seksualnej opowiedziała wspomniana już w tym tekście Lady Gaga. Gwiazda nagrała również utwór *Til It Happens To You* na potrzeby filmu dokumentalnego *The Hunting Ground* opowiadającego o gwałtach, do których dochodzi na kampusach uniwersytetów i akademii w Stanach Zjednoczonych.

Nie jest łatwo mówić o takich doświadczeniach, niezależnie, czy zwierzasz się przyjaciółce, mamie, czy wyjawiasz swoją tajemnicę milionom fanów na całym świecie. Skrzywdzone kobiety niesłusznie przepełnione są wstydem i strachem przed oceną społeczeństwa, które zgodnie z ich obawami, winą za to, co się stało, obarczy właśnie je.

Taylor Swift podczas rozprawy przeciwko Muellerowi została zapytana, czy ma poczucie winy za to, że ten stracił pracę. „Nie zamierzam pozwolić ani tobie, ani twojemu klientowi, byście w jakikolwiek sposób sprawili, że poczuję, że to była moja wina. Oto jesteśmy, kilka lat później, i ja jestem obwiniana za nieszczęśliwe wydarzenia z jego życia, które są efektem jego decyzji – nie moich” – odpowiedziała stanowczo Taylor Swift.

KIEDY, JEŚLI NIE TERAZ?

Czarny kolor, jeden wygrany dolar, hasztag pod zdjęciem czy tytuł człowieka roku dla grupy osób to tylko symbole, komunikaty. Należy podkreślić – co jest bardzo budujące – że coraz więcej mężczyzn rozumie pozycję otaczających je kobiet, wspiera je i okazuje należny im szacunek. Wciąż jednak miliony kobiet na świecie stykają się z przejawem (nie tylko) symbolicznej przemocy ze strony mężczyzn i emanacją patriarchalnego systemu, w którym funkcjonujemy. Ale czas minął. Korzystajmy więc ze swojego prawa głosu, ponieważ mówienie o tym pozwoli zmniejszyć strach przed ostracyzmem.

Po lekturze książki *Mężczyźni objaśniają mi świat* rozmawiałam o niej ze znajo-

mą, która również przeczytała eseje Rebekki Solnit. Szlaki naszej dyskusji powiodły nas do popularnego ostatnio brytyjskiego serialu *The Crown* opowiadającego losy wstępującej na tron Elżbiety II. Zgodnie dostrzegłyśmy odwagę, na jaką niejednokrotnie musiała zdobywać się angielska królowa otoczona ludźmi, którzy chyba nie do końca pogodzili się z faktem, że rządzi nimi młoda kobieta. „Trzeba walczyć o swoje” – napisała moja interlokutorka. „Szkoda, że wciąż trzeba” – odpowiedziałam.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Huda w 2013 roku uciekła z Aleppo

| Fot. Mateusz Skwarczek Polska Misja Medyczna

Syryjski exodus i rozbite wojną życie

Justyna Mastalerz

30-letnia Batool wydostała się z Syrii pięć lat temu. Doskonale pamięta drogę z Dary do syryjsko-jordańskiej granicy. Razem z innymi rodzinami uciekała pod ostrzałem. Roczny syn, którego trzymała na rękach, nie przestawał płakać. Zasłaniała mu uszy i usta, żeby tylko nie słyszał strzałów i nie krzyczał. Jego płacz mógł ściągnąć na wszystkich śmierć.

PODCZAS TRWAJĄCEJ od prawie siedmiu lat wojny do Jordanii uciekło około 1,4 mln Syryjczyków. Kiedy w swoich wioskach usłyszeli odgłosy bombardowań, wiedzieli, że muszą się ratować. Podróż do najbliższej granicy dla niektórych trwała kilkanaście dni, dla innych – kilka godzin. Nigdy nie zapomnę tamtego strachu. O własne życie, o dzieci, o to, co miało ich czekać na obcej ziemi. W Syrii zostawili wszystko – rodziny, domy, dobytki życia.

Syryjscy uchodźcy zazwyczaj przedostają się do Jordanii przez przejście graniczne Dżaber, zlokalizowane około 80 km od stolicy kraju – Ammanu. Stamtąd trafiają prosto do obozów. Niektórzy mieszkają w nich nawet kilka lat. Zdecydowana większość próbuje jednak ułożyć sobie życie na własną rękę.

Kiedy w 2013 roku sytuacja w Aleppo z dnia na dzień się pogarszała, Huda i jej mąż zdecydowali, że zostawią wszystko i uciekną do Jordanii. Bomby spadały już wszędzie: na domy, szkoły, szpitale. Na ulicach wybuchały samochody–pułapki, cywile byli wykorzystywani jako żywe tarcze. – Bałam się o swoje dzieci. Bardziej niż o siebie. Widziałam, jak w innych rodzinach dzieci umierały z głodu. Musieliśmy się ratować – Huda ze smutkiem i troską na twarzy opowiada o wydarzeniach sprzed czterech lat. Koło niej wesoło przedrzeźniają się jej syn i córki.

Huda ma dziś 34 lata i ośmioro dzieci. Z szczęściem musiała uciekać z piekła, które zgotował w Syrii assadowski reżim i rebelianci, dwójkę dzieci urodziła na uchodźstwie.

– Jechaliśmy z dwudziestoma innymi osobami z Aleppo. Kiedy byliśmy w Darze, autobus zatrzymali żołnierze. Zaczęli nas przesłuchiwać. Skłamałszy, że jedziemy odwiedzić nasze rodziny, które mieszkają niedaleko. Gdyby się domyślili, że uciekamy na syryjską granicę, zabiliby nas wszystkich. To była najgorsza godzina. Byliśmy między życiem i śmiercią...



Podczas trwającej od prawie siedmiu lat wojny do Jordanii uciekło około 1,4 mln Syryjczyków

| Fot. Mateusz Skwarczek Polska Misja Medyczna

JAK BRACIA

Jordańczycy to naród, który – jak sami przyznają – kocha uchodźców. Już wielokrotnie w historii udało się im to udowodnić. Najpierw przyjęli Palestyńczyków, potem Irakijczyków i Jemeńczyków. W 2011 roku otworzyli drzwi dla braci z Syrii.

– Nie możemy zamknąć się na uchodźców, bo jesteśmy jedynym krajem w regionie, który tak chętnie ich gości. Jordania jest biedna, ale uchodźców traktujemy tu jak jednych z nas – podkreślają Ilham Al-Zoubi i Deborah Da Boit z organizacji Torre des Hommes.

Ilham i Deborah mają rację. Żaden sąsiedni kraj nie przyjął Syryjczyków tak otwarcie, jak zrobiła to Jordania. Ani Liban, ani bogate kraje Zatoki Perskiej nie przyznają im statusu uchodźcy.

– Syryjczycy i Jordańczycy czują się jak bracia. Mają wspólny język, kulturę, przeszłość. Nawet, jeśli występują między nimi jakieś napięcia, to – naprawdę – wszyscy pracują tu nad tym, żeby je ugasić – przekonuje Deborah, która jest regionalną koordynatorką w Syrii, Jordanii i Iraku z organizacji Torre des Hommes.

– Sytuacja ludzi w niektórych miastach Jordanii, na przykład w Zarce, jest naprawdę bardzo zła. Bieda, brak usług, kiepski poziom edukacji. Dlatego tak ważne jest, żeby pracować i z uchodźcami, i z lokalną społecznością. To kluczowe. Jeśli wsparcie finansowe otrzymaliby tylko syryjscy uchodźcy, doszłoby do rewolucji – podkreśla.

UŁOŻYĆ ŻYCIE NA NOWO

Wspomniane przez Deborah miasto Zarqa leży niecałe pół godziny drogi od tętniącego życiem Ammanu. To właśnie tu większość syryjskich uchodźców próbuje ułożyć sobie życie na nowo. Nie ukrywają, że jest ciężko. W obozie mieliby zagwarantowane miejsce do spania, posiłki, szkołę albo przedszkole dla dzieci. Kiedy wybierają życie poza obozem, o wszystko muszą zawalczyć sami.

Zarqa. Przy jednej z głównych ulic prowadzących do miejskiego targowiska mieszka Zahi z żoną Almasą i dwójką dzieci. Dom jest przestronny, ale wewnątrz jest chłodno. Między kuchnią a pokojami wesoło biega dwuletnia Dalal. Z zaciekawieniem przygląda się obcym twarzom, by po chwili wstydliwie schować się za swoją mamą.

Wydawałoby się, że rodzina odnalazła w Jordanii to, o czym marzyła, uciekając z ogarniętego wojną kraju – bezpieczeństwo.

Ich dom w Zarze nie był bezpieczny. Kiedy w 2013 roku w pobliżu niego spadła bomba, uciekli z Syrii. Zabrali tylko kilka ubrań i kurtkę dla syna. Zahi został ranny w ostrzale. Stracił czucie w lewej nodze.

Dziś, po prawie pięciu latach życia w Jordanii, na ich twarzach nie ma nawet cienia uśmiechu. Najtrudniejsze stało się ciągłe myślenie o tym, za co zapłacić czynsz i skąd wziąć pieniądze na jedzenie.

Jedynym żywicielem czteroosobowej rodziny jest teraz 15-letni syn Mazen. Za pracę w sklepie nastolatek dostaje co miesiąc 150 dinarów, czyli około 750 zł. Rodzinę wspiera też UNHCR, wypłacając jej miesięcznie 40 dinarów (200 zł). Gdy

opłacą mieszkanie, zostaje im w przeliczeniu niecałe 450 zł na życie. Cały czas brakuje na jedzenie, pieluchy dla małej Dalal, leki. O opale na zbliżającą się zimę nawet nie myślą.

– Gdybym mógł wybrać jeszcze raz, to zostałbym w Syrii – mówi pewnym głosem Zahi.

Jego żona równie otwarcie opowiada o tęsknocie za krajem i rodziną, która została w Darze.



W ośrodku w Zarqa kobiety mogą skorzystać z bezpłatnych porad ginekologów i dziecięcego pediatry

| Fot. Mateusz Skwarczek Polska Misja Medyczna

– Jedyna dobra rzecz, jaka spotkała nas na uchodźstwie, to nasza córka – na ich twarzach pierwszy raz odkąd zaczęliśmy rozmawiać, pojawia się uśmiech. – Jak tylko wojna się skończy, zabiorę moją żonę i dzieci do domu – zapewnia Zahi.

Za wynajmowane w Jordanii pomieszczenia do życia – mieszkania, garaże, piwnice – Syryjczycy płacą wysokie czynsze. Jedyne sektory, w których pozwala się im

zarabiać to agroturystyka, budowlanka i ogrodnictwo. Za pracę dostają znacznie mniej pieniędzy niż Jordańczycy. Nie wykonują wyuczonych w Syrii zawodów. Nikt nie wykorzystuje ich profesjonalnych umiejętności. Większości nie stać, by kupić jedzenie albo potrzebne leki. Ci, którzy mieszkają na odległych terenach, nie mają nawet transportu, by dostać się do lekarza. Kobiety w ciąży nie wiedzą, czy ich dzieci urodzą się zdrowe.

WOJENNA TRAUMA KBIET

Jedyny ośrodek, który bezpłatnie leczy Syryjki, Jordanki i ich dzieci, znajduje się w Zarce. Codziennie zjawia się tu około 200 osób. To głównie kobiety spodziewające się dziecka albo planujące ciążę oraz matki z niemowlętami na rękach. W gwarze i tłoku ustawiają się w kolejkach do gabinetów lekarzy. Jedne ubrane są w burki, inne odsłaniają oczy w czadorach albo hidżabach i spoglądają niepewnym wzorkiem. Tylko niektórym towarzyszą mężczyźni.

Działalność ośrodka finansuje Polska Misja Medyczna przy wsparciu polskiego MSZ oraz organizacji Terre des Hommes.

Kobiety mogą tu skorzystać z bezpłatnych porad ginekologów i dziecięcego pediatry, wykonać podstawowe badania, odebrać za darmo leki. Dla wielu z nich lekarze są pierwszymi osobami, którym opowiadają o wojennej traumie.

– Syryjki, które przychodzą do ośrodka, są bardzo otwarte, choć część z nich straciła podczas wojny swoje dzieci. Opowiadają o sobie, o trudnych doświadczeniach, o tym, co czują. Wiedzą, że jesteśmy lekarzami, że mogą nam zaufać, że mamy możliwość, by im pomóc. Traktują te wizyty jako szczerzy kontakt z drugim człowiekiem. Czują, że ich los jest dla nas po prostu ważny – mówi z przejęciem dr Eman Hasan Athamneh, ginekolog pracująca w ośrodku. Podczas naszej rozmowy pacjentki nieustannie pukają do drzwi.

Ośrodek specjalizuje się w opiece przed- i poporodowej oraz planowaniu rodziny. Lekarze ginekolodzy przyjmują codziennie około 50–60 kobiet, którym wykonywane są badania fizykalne i laboratoryjne. Wystarczyło kilka aparatów USG, by uratować niejedno maleńkie życie.

Druga z lekarzy ginekologów – dr Arzu Matlab Safiyeva – pochodzi z Azerbejdżanu, ale w Jordanii mieszka już 14 lat. Wcześniej pracowała w szpitalu wojskowym, jednak – jak podkreśla – pomoc uchodźcom to coś zupełnie innego.

– Dla naszych pacjentek ten ośrodek to ogromne wsparcie. Jesteśmy dla nich nie tylko ginekologami, ale też psychologami.



Wśród syryjskich uchodźczyń poważnym problemem są nastoletnie małżeństwa i zbyt wczesne macierzyństwo

| Fot. Mateusz Skwarczek Polska Misja Medyczna

Amal mieszka w Jordanii od pięciu lat. Co roku uroczyste obchodzi 10 grudnia – dzień, w którym przekroczyła syryjsko-jordańską granicę. Ucieczkę z Damaszku wspomina krótko – ona i jej mąż mieli jordańskie wize, co pozwoliło im szybko wydostać się z Syrii.

Amal jest jedyną żywicielką rodziny. Ma ośmioro dzieci. Pracuje jako pomocnik w ośrodku zdrowia w Zarqa. Codziennie odwiedza syryjskie rodziny i zachęca kobiety, by skorzystały z darmowych badań. Dla siebie i swoich dzieci.

– Wszyscy wiemy, w jakiej sytuacji są syryjscy uchodźcy. Ja też jestem uchodźcą. Jedyną radością, jaką daje mi ta praca, jest świadomość, że pomagam innym Syryjczykom – przyznaje szczerze Amal.

SKARB

Wojna to dla syryjskich kobiet nie tylko psychiczna trauma. Pytam lekarzy w Zarqa, na jakie powikłania narażone są ciężarne Syryjki i ich nienarodzone jeszcze dzieci po ucieczce z terenów walk.

– Wiele dzieci rodzi się z wodogłowieciem albo ma inne neurologiczne problemy. To skutki wojny i chemicznych substancji, których nawdychały się ich matki. Nikt wcześniej nie zapewnił im opieki medycznej – odpowiada dr Athamneh.

Jej koleżanka z gabinetu, dr Safiyeva, wspomina z kolei o kobietach, które w czasie wojny albo podczas ucieczki z Syrii straciły swoje dzieci. Mają dziś około 40–45 lat.

– To bardzo trudne, aby utrzymać ich kolejną ciążę: ze względu na wiek, wcześniejsze porody czy operacje chirurgiczne. Te kobiety chcą być teraz pewne, że ich ciąża nie jest zagrożona.

– Czy stawiają się na wyznaczone terminy wizyt? – dopytuję.

– Tak, bo chcą wiedzieć wszystko: o prawidłowym odżywianiu, badaniach, leczeniu. Potrzebują specjalistycznego wsparcia. Chcą, by ich dziecko przyszło na świat zdrowe – odpowiada dr Safiyeva i po chwili dodaje: „To dziecko to ich jedyny skarb”...

ODDAWANE „POD OPIEKĘ”

20 na 60 pacjentek ośrodka zdrowia w Zarqa jest jednak zbyt młodych na dziecko. To nastolatki. Mają po 12–14 lat.

– One są jeszcze dziećmi. Mają naprawdę niewielką wiedzę na temat swojej kobiecości, cyklu, owulacji. Wiele z nich jest po prostu nieszczęśliwych. Ich mężowie są tak samo młodzi. Nie mają więcej niż 17 lat – mówi Basma Khalil Mohammad, pielęgniarka z 23-letnim doświadczeniem. – Uczymy je, by stosować środki antykoncepcyjne. Dajemy rady, ale ostateczna decyzja należy do młodych – mówi.

Syryjskie rodziny żyją w przekonaniu, że jeśli same nie potrafią zapewnić bytu własnej córce, to powinny oddać ją „pod opiekę” innej rodzinie. Dziewczynki są wydawane za mąż. Najszybciej jak to możliwe. Zamiast uczyć się i chodzić do szkoły – zostają żonami. Kilka miesięcy później zachodzą w ciążę.

Z problemem zbyt wczesnych małżeństw i macierzyństwa od ponad 20 lat skutecznie walczy w Jordanii Suhad Mustafa, dyrektor generalna organizacji Soldiers Family Welfare Society (SFWS), z którą współpracuje Polska Misja Medyczna. W Zarqa organizowane są zajęcia aktywizacyjne dla kobiet, dzięki którym mogą zarabiać pieniądze, wyjść z domu, otworzyć się na świat.

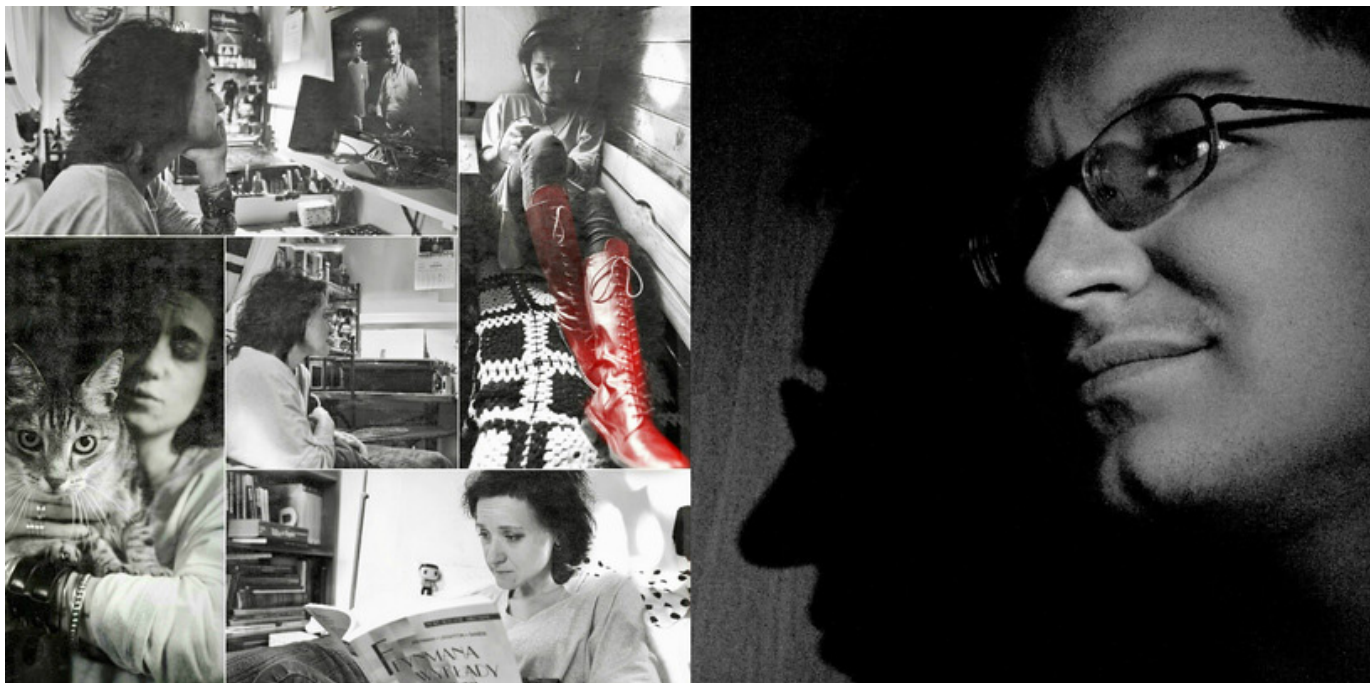
Wśród syryjskich uchodźczyń, które zamieszkały w Jordanii, zjawisko nastoletnich małżeństw z roku na rok przybiera jednak na sile. Zrozpaczone z powodu nędzy rodziny jedyną nadzieję na lepszy byt dla swoich córek upatrują w powierzeniu ich innym ludziom.

– Nie umiesz sobie nawet wyobrazić, jak poważny jest to problem – Suhad poważnym tonem zaczyna opowiadać. – W zeszłym roku, na jednej konferencji, spotkałam 28–letnią kobietę. Miała siedmioro dzieci. Wyszła za mąż, kiedy miała 12 lat. Chciała się zabezpieczać, ale jej mąż cały czas odmawiał. Teściowa też zabraniała jej używania jakichkolwiek środków antykoncepcyjnych. Powiedziała mi: „To małżeństwo było dla mnie największą katastrofą. Byłam dzieckiem. Patrzyłam przez okno, chciałam bawić się z innymi dziećmi i nie mogłam. Nie miałam żadnego wpływu na swoje życie” – Suhad przypomina sobie słowa Syryjki. – Gdybyś ją zobaczyła, nie uwierzyłybyś, że ma 28 lat. Po tym wszystkim, co przeszła, wyglądała jakby była po pięćdziesiątce.

– Myślisz, że ta kobieta będzie kiedykolwiek zdolna, by uchronić przed takim samym losem swoje dzieci? Jej mąż przecież na to nie pozwoli – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Zadałam jej to samo pytanie. I wiesz co odpowiedziała? „Będę o to walczyć dla moich dzieci. Nie pozwolę, żeby musiały przeżywać to samo, co ja”. Większość Syryjczyków myśli, że wczesne małżeństwo to ochrona dla ich dzieci. Nie jest łatwo zmienić sposób myślenia. To wymaga edukacji, zarówno kobiet jak i mężczyzn. Minie wiele czasu, ale musimy spróbować.

Polska Misja Medyczna od kilku lat wspiera ofiary wojny w Syrii. Potrzeby uchodźców na Bliskim Wschodzie są ogromne. Pomóż pomagać! Wpłać nawet drobną kwotę na konto:
62 1240 2294 1111 0000 3718 5444 lub wejdź na stronę PMM i wybierz formę pomocy.



Agnieszka Warszawa i Marek Stankiewicz - zdjęcia z archiwum prywatnego bohaterów reportażu

| fot. Michał Awin, Marek Stankiewicz

Autyzm: w poszukiwaniu świadomości

Monika Szubrycht

Agnieszce nie wierzyli, że pisze w szkole tak mądre prace, skoro nie potrafi dobrze mówić. Marek, by przetrwać, musiał odsunąć się od grupy i zapomnieć o jakiegokolwiek potrzebie przynależności. Oboje dopiero w dojrzałym wieku dostali odpowiedź na pytania, dlaczego tak bardzo różnili się i różnią od reszty społeczeństwa.

-DIAGNOZA? Po 30. roku życia? Niedowierzenie, przez bardzo długi czas. Przyzwyczaiłam się do braku taryfy ulgowej wobec siebie. Tresowałam się, kontrolowałam, winę zrzucałam na zły charakter i osobowość. Podejrzewałam się o chorobę psychiczną – opowiada Agnieszka Warszawa.

– Do tej pory trudno mi wyhamować z samokrytyką i spojrzeć na siebie łaskawym okiem. Wciąż uczę się przepisywać swoje wspomnienia. Nie zliczę już traum i epizodów depresji, które występowały przez cały okres życia przed diagnozą, ale solidna samoświadomość i zacięcie do naukowego podejścia, pozwala mi na analizę samej siebie jako przypadku.

Marek Stankiewicz otrzymał diagnozę, gdy miał lat 34. Co wtedy poczuł? – Wielką ulgę. Taką prawdziwą, ogromnie wielką ulgę. Wreszcie dowiedziałem się, co ze mną nie tak i że to „nie tak” wcale nie jest takie złe, jak mi się wydawało. Dowiedziałem się też, że są osoby podobne do mnie i nie jestem jedyny taki „dziwny”.

Zespół Aspergera to zaburzenie neurorozwojowe, mieszczące się w autystycznym spektrum. Obecnie najczęściej diagnozowane jest w wieku szkolnym, gdzie łatwo zauważyć problemy dziecka z nawiązywaniem kontaktu z rówieśnikami. Zespół Aspergera zaburza kontakty społeczne. Brak zrozumienia komunikatów pozawerbalnych sprawia, że osoby z ZA są narażone na drwiny i upokorzenia ze strony innych ludzi. Skrót ZA oznacza zespół Aspergera, ASD (Autism Spectrum Disorder) zaburzenia ze spektrum autyzmu, natomiast NT to skrót od neurotypowy – tak określane są osoby bez zaburzeń.

Osobom z zespołem Aspergera nie jest łatwo żyć w świecie, który atakuje bodźcami. Szczególnie jeśli układ neurologiczny nie działa tak samo, jak u innych ludzi. Mózg odczytuje więcej informacji, a przez to narażony jest na ciągłe przeciążenie. Najtrudniej bywa w szkole podstawowej.

– Ciągły hałas, wielkie klasy, stałe poczucie zagrożenia. I poczucie, że muszę być

najlepszy ze wszystkich – opowiada Marek. – Zawsze umiałem więcej niż rówieśnicy, przez to byłem celem priorytetowym dla wszelkich gnębicieli.

BO WIEDZIAŁ WIĘCEJ

Gnębili, bo wiedział więcej. Do tego Marek nie miał wspólnych tematów z kolegami z klasy. Zresztą trudno się dziwić. Oni biegali za piłką, kiedy on interesował się biologią na poziomie uniwersyteckim. Szybko odkrył, że aby mieć spokój i zajmować się tym, co lubi, musi maksymalnie odsunąć się od grupy i zapomnieć o jakiegokolwiek potrzebie przynależności.

Agnieszka nie mogła chodzić do przedszkola. A raczej nie była w stanie. Jej mama zwolniła się z pracy, by zaopiekować się niedostosowaną społecznie córeczką.

– Ze względu na moją wiedzę i umiejętności, miałam zacząć edukację szkolną wcześniej, ale moja nieporadność i skąpa mowa zdyskwalifikowały mnie – wspomina Agnieszka. Początek podstawówki był przyjemny. Nauczyciele klas wczesnoszkolnych bywali często pedagogami i potrafili widzieć dziecko, rozumieć odmienne często potrzeby i wzmacniać je.

– Niestety, z wiekiem było coraz gorzej – opowiada Agnieszka. – Wymagania i tryb nauki były dla mnie mało zrozumiałe. Uczyłam się intuicyjnie i zmysłami, a wymagano suchej i pamięciowej wiedzy. Byłam bardzo kreatywna, przez co postrzegano mnie jako niepokorną, a ja po prostu nie potrafiłam rozumować, jak większość rówieśników.

Materiał szkolny Agnieszka miała opanowany po swojemu – obrazowo, w swoich zależnościach, diagramach, wykresach i obszarach. Jednak wymogi szkolne i egzaminacyjne, jak również stres, lęk i niska werbalizacja, nie pozwalały jej wykazać się w oczach nauczycieli.

– Czas trwania edukacji był dla mnie nienaturalnie długi. Dobrze rozwinięte zdolności poznawcze i szybkie myślenie pozwalały sprawnie chłonąć wiedzę, męczyło mnie niestety i nudziło uczenie się wciąż tego samego. Moim marzeniem była edukacja domowa – opowiada o swoich szkolnych doświadczeniach.

OSKARŻENIA I NIEPOROZUMIENIA

Katorgą okazały się lekcje WF. Choć Agnieszka lubi ruch i kocha pływanie, ćwiczenia i gry zespołowe były dla niej nieosiągalne, a lekcje gimnastyki w placówkach szkolnych postrzegała jako rodzaj musztry i tortury, co było spowodowane jej dyspraksją.

Dyspraksja jest związana z nieprawidłowym przetwarzaniem informacji sensorycznej i planowaniem motorycznym. Zwana także „syndromem niezgrabnego dziecka” powoduje problemy ruchowe, które uniemożliwiają branie udziału w grach zespołowych czy uczestniczenia w wielu zajęciach sportowych.

– Szkoła, to były długie lata krytyki, zmuszanie mnie do wydobywania słów i aktywności, które były dla mnie nienaturalne i niezrozumiałe. Lata oskarżeń o oszustwa: „Kto pisał twoją pracę dziecko, przecież ty nie mówisz prawie w ogóle?!”. Lata nieporozumień z rówieśnikami w związku z moją szczerością, prześladowanie, wyśmiewanie – wymienia Agnieszka.

Maturę napisała w stanie post-traumatycznym, a gdy wreszcie skończyła szkołę, terapią stała się praca w studio animacji oraz dojrzała i wyrozumiała przyjaciele. O wymarzonych studiach nie było już mowy. Postanowiła uczyć się tak, jak zawsze, czyli dla samej siebie. Mówi, że to dla niej jak oddychanie. W międzyczasie zdobywała różne uprawnienia, dyplomy z wielu dziedzin, ale chowała je na dno szuflady.

– Presja otoczenia na tego typu papierowe potwierdzenia była dla mnie wręcz obrzydliwa – twierdzi. Nie potrzebowała pisemnych zaświadczeń o stanie swojej wiedzy.

– Ciekawość świata pozwalała mi na samorozwój w nieomal każdej dziedzinie. Pisałam, rysowałam, śpiewałam, byłam informatykiem, mechanikiem i wiele innych. Dla Agnieszki poznanie nowej dziedziny było niesamowitym doznaniem. Oddawała każdą cząstkę siebie, by móc dogłębnie zrozumieć dany temat.

– Mówi się na to fiksacje, choć nie lubię tego określenia. Oczywiście miewam je do tej pory i wciągam się okresowo w różne zajęcia. Jak mówi moja kuzynka, robię np. przez tydzień doktorat z przewodów, kabli i ich właściwości, potem np. komponuję zestaw „małego chemika”, przyrządzając mikstury i aromaty. Moje pokolenie wychowywało się przecież na *Zrób to sam* Adama Śłodowego – śmieje się.

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA

Agnieszka dobrze wspomina okres wczesnoszkolny, bo jej wychowawczyni rozumiała odmienność swojej uczennicy. W szkole średniej wsparciem był dla niej dyrektor placówki. Tyle, że w tamtym czasie wiedza na temat autyzmu była uboga, by nie powiedzieć żadna. Dzieci nie mogły liczyć na odpowiednie wsparcie.

Marek w wieku 10 lat trafił do poradni wychowawczo–zawodowej. Na własną prośbę. Powiedział mamie, że chce, by psycholog go naprawił. – Jedyne odzew, jaki wtedy dostawaliśmy był taki, że jestem bardzo inteligentny, a zdolności społeczne przyjdą z czasem. Więcej szczęścia miał w liceum.

– Jeśli chodzi o rozumienie świata, zupełnie niechcący bardzo pomogła mi polonistka. Powiedziała raz, że w głowie się nie mieści, by jedyny inteligentny w całej szkole nie rozumiał poezji i zasugerowała, bym przeczytał *Słownik symboli literackich* Kopalińskiego. Myślę, że to miał być żart, ale potraktowałem to literalnie, słownik przeczytałem, a po nim jeszcze parę książek o interpretacji języka. Okazało się, że nie tylko zacząłem interpretować poezję, ale i rozumieć różne idiomy, powiedzonka i inne zawiłości językowe – opowiada Marek.

Osoby z zespołem Aspergera rozumieją język w sposób dosłowny. Gdy wzburzony nauczyciel powiedział ze złością do ucznia: „Zaraz urwę ci język” uczeń wpadł w histerię, trzymał dłońmi swoje usta i płacząc krzychał: „Nie, nie urywaj mi języka”. Rozumienie mowy w sposób dosłowny sprawia, że osoby ze spektrum autyzmu mają problemy z odczytywaniem znaczenia metafor, symboli, przysłów, związków frazeologicznych i przysłów. Przez co narażone są na różnego rodzaju przykrości ze strony innych ludzi.

MÓWIĆ, NIE MÓWIĆ?

Autyzmu nie widać gołym okiem, często określa się go jako niepełnosprawność ukrytą. Czy warto przyznawać się do diagnozy?

– Oczywiście ujawnienie się to decyzja osobista, często bardzo trudna, ale ja uważam, że warto to robić – mówi Marek. – Zwłaszcza, gdy chodzi o osoby wyso-
kofunkcjonujące, pracujące, mające tytuły naukowe. Ujawnienie się takich osób w znaczący sposób pomaga innym ze spektrum, poprawia nasz wizerunek spo-
łeczny i pokazuje, że wbrew fałszywej opinii nie jesteśmy ani chorzy psychicznie,
ani bezradni, ani życiowo upośledzeni, a jakże często bardziej wartościowi niż sta-
tystyczny przechodzień.

Według Marka autyzm to w naszym kraju wstydlivy temat, objęty niepisaną
zmową milczenia. Do tego część osób ze spektrum izoluje się całkowicie, do zu-
pełnego niewychodzenia z domu włącznie. Część żyje tylko z rent i zasiłków, część
zdecydowanie poniżej swoich możliwości i kwalifikacji.

– Jeśli chcemy, by świat był miejscem bardziej przyjaznym dla osób ze spektrum,
one muszą się ujawnić i mówić o swoich potrzebach. Osoby niedowidzące, niedo-
słyszające lub z problemami motorycznymi mają swoje stowarzyszenia, wspierają się
wzajemnie, mają swoich reprezentantów we władzach i osobiście chciałbym, by za
jakiś czas tak samo było wśród osób z ASD – twierdzi Marek.

Agnieszka Warszawa też mówi otwarcie o diagnozie, ale na początku nie było
jej łatwo. – Wstydziłam się, pamiętając, jak stygmatyzujące są w opinii publicznej
zaburzenia neurorozwojowe i choroby psychiczne – na przykład depresja. Ludzie
z mojego i starszego pokolenia, ze słowem „psychiatra” często kojarzą obraz agre-
sywnego pacjenta w kaftanie bezpieczeństwa. Ja nie gryzę i nie rzucam się na lu-
dzi. ZA nie jest też upośledzeniem. Wprost przeciwnie, mamy niestety, często dość
wysoki współczynnik inteligencji. Niestety, bo przez to żyje się trudniej.

Zdaniem psychiatry i psychoterapeuty Ewy Dobiąły, każdy ma prawo do granic
swojej otwartości, ale jeśli zmiana w myśleniu o autyzmie ma się dokonać, wpływ

na nią będzie miało dojrzałe pokolenie.

– Jesteśmy społeczeństwem, w którym jest bardzo dużo lęku przed odmiennością. I niekoniecznie to jest rozwojowe, żeby tę swoją odmienność publicznie ogłaszać czy manifestować. Ale pozycji ludzi na najwyższych stanowiskach niewiele może zagrozić. – Myślę, że zmiana społeczna dokona się dzięki tej grupie. To nie będą ludzie w wieku 30. czy 40. lat, bo oni są jeszcze w jakiejś ścieżce swojego rozwoju. To będą pewnie osoby w wieku 50. – 60. lat, które już społecznie, zawodowo, rodzinie były w stanie dojść bardzo wysoko, z wykorzystaniem wszystkich swoich zasobów i możliwości – mówi dr Dobiąta.

– U nich być może będzie się rodziła potrzeba wsparcia środowiska związanego ze spektrum autyzmu. To zawsze jest indywidualna decyzja i to nigdy nie jest łatwe. Mam dużo szacunku dla osób, które zatrzymują diagnozę dla siebie i dla tych, które dają światu tę swoją historię.

KIEDY MIJA PIERWSZY SZOK

Duński przedsiębiorca Thorkil Sonne, ojciec chłopca z ZA, jako jeden z pierwszych na świecie zaczął wykorzystywać umiejętności osób ze spektrum, pośrednicząc w szkoleniu ich i zatrudnianiu w firmach takich jak Microsoft, Nokia czy Oracle. Dania od lat angażuje się w projekty, które mają na celu walkę z wykluczeniem społecznym. Oczywiście, w innych krajach osoby ze spektrum autyzmu również często pracują w branży informatycznej, tyle tylko, że nie mają oficjalnej diagnozy.

„Diagnoza dla czterdziestolatka” to jeden z rozdziałów książki *Patrz mi w oczy* Johna Eldera Robisona, inżyniera, konstruktora i pisarza. Zapytany, jak ją przyjął, odpowiedział: „Całe życie zakładałem, że przyczyną moich porażek w kontaktach z innymi ludźmi jest jakiś mój defekt. Wymyśliłem, że jestem po prostu zły z natury. Gdy dowiedziałem się, że jestem w porządku – ale po prostu mam zespół Aspergera, odczułem gigantyczną ulgę. Nie tylko wyjaśniło się, skąd brały się moje problemy, ale dowiedziałem się również, co mogę zmienić, żeby było lepiej. Kiedy już minął pierwszy szok, okazało się, że wiedza o tym, co się ze mną dzieje, wyzwoliła mnie i dała mi siłę”.

Podobnie w swojej książce *Kaktus na Walentynki* pisze geofizyk i matematyk, Peter Schmidt, który w przypadkowo obejrzanym filmie o chłopcu z zespołem Aspergera zobaczył siebie: „To jedno słowo (Asperger – *dopisek red.*) odpowiada na wszystkie piętrzące się odwieczne pytania „dlaczego?”, na pytania, która stawiają własne życie w kontekście innych ludzi. Odwieczne poszukiwanie i nigdy nie znalezione wyjaśnienia, teraz mam je wszystkie naraz”.

Czego chcą Agnieszka i Marek? Co spowoduje, że będzie im się żyło łatwiej w neurotypowym świecie? – Wyświechtane ostatnio słowo: świadomość. Tylko tyle. Ludzie nie rozumieją siebie nawzajem, lubią łatki, boją się pozornej nawet odmienności. Może to atawizm? – zastanawia się Agnieszka.

– Nie mówię, że chciałabym dożyć czasów, kiedy nasze zdolności i umiejętności będą doceniane, bo to niemożliwe, ale chcę mieć choć nadzieję, że tak będzie.

Podobnie uważa Marek – więcej świadomości i więcej tolerancji.

– Tolerancji, bo przecież nie każdy musi lubić small talk, nie każdy musi się tak samo ubierać, nie każdy musi utrzymywać ten słynny kontakt wzrokowy, a noszenie przyciemnianych szkieł w budynkach naprawdę nikomu nie szkodzi – mówi Marek.

– Statystyczna osoba, gdy słyszy „autysta”, wyobraża sobie małe dziecko, z którym nie ma żadnego kontaktu. Niestety, mało kto wie, że autyzm nie znika cudownie z nadejściem dorosłości. Mało kto wie również, że autysta – a szczególnie osoba z ZA – to bardzo często idealny pracownik. Niezwykle dokładny, uczciwy, szczery, logiczny, błyskawicznie się uczący. Jest zainteresowany pracą sensu stricto, a nie biurowymi gierkami społecznymi.

POCHŁANIAJĄ MNIE OBRAZY

Agnieszka nie chce być postrzegana jako zbiór deficytów, ale jako człowiek. To, że nie jest mistrzem szeroko pojętej sztuki oratorskiej, nie znaczy, że nie myśli. Wręcz przeciwnie, jej procesy analityczne i myślowe, kreatywność, zdolności poznawcze są wyjątkowo rozwinięte i bardzo szybkie.

– Po prostu „tylko” nie mówię, nie nadążam za myślami, a obrazy pochłaniają

mnie w całości. Blokady neurologiczne w zestawieniu ze stresem są również tak silne, że słowa to dla mnie udręka. Czasami myślę, że chciałabym potrafić przekazać to, co mam w głowie, jest mi wtedy ogromnie przykro, że osoby, z którymi zdarza mi się rozmawiać, stwierdzają często, że „ładnie mówię”... – opowiada.

Agnieszka chciałaby również, żeby system edukacji dostosować do trybu nauki każdego z dzieci, zgodnie z teorią umiejętności przyswajania wiedzy. Żeby dzieci mogły zdobywać od najmłodszych lat wiedzę z podstaw psychologii, działania ludzkich mózgów i rodzajów niepełnosprawności, a nie z podstaw bycia cwany, żeby wykorzystywać innego człowieka i móc zarabiać krocie.

– Oddałabym wiele, żeby ludzie potrafili słuchać siebie nawzajem, a nie tylko pławić w zbędnych słowach. Dyskutować bez sensu, licytować, sprzeczać. O ile mądrzejszy i cichszy byłby świat bez tego szumu... – mówi z żalem Agnieszka. Ale najważniejsze być może jest to, co dodaje na końcu:

– Potykam się o własne nogi, mówię niewiele, zdarza mi się mylić słowa i pojęcia, rozbijam się o framugi, mam nieadekwatną mimikę, zjadają mnie stereotypy, natręctwa i kompulsje, bolą mnie wszelkie bodźce zmysłowe i emocje. Ale poza tym mam w głowie niezliczoną ilość teorii i współzależności. Co z tego, że jestem dużym dzieckiem, że moja rozbieżność zainteresowań i ciekawość świata jest ponad normę? Że bywam naiwna, stronię od ludzi? Mam przecież swoją głowę, swój mózg, a w nim światy, których nie oddam za żadne cechy ludzi neurotypowych.

Agnieszka Warszawa pracuje w Poradni Zdrowia Psychicznego NZOZ APS MEDICA w Łodzi. Pracuje w domu, więc nie ma na co dzień styczności z ogromną ilością bodźców, które uniemożliwiają jej koncentrację, spokój myśli i pracę. Jest też tzw. „self-adwokatem”, współpracuje z fundacją JiM z Łodzi.

Marek Stankiewicz jest zatrudniony w szkole dla dzieci ze spektrum autyzmu. Wcześniej wiele lat pracował jako biolog terenowy – specjalista ds. ochrony przyrody. Fotografuje i ma już za sobą sporo wystaw. Prowadzi bloga <https://aspiphotography.wordpress.com/>

ZOBACZ W INTERNECIE >



Dzieci boją się wytworów własnej wyobraźni

| 123RF PICSEL

Kto się boi czarnej wołgi?

Aleksandra Bujas

Baba Jaga, dziad porywający dzieci, srogi policjant, czarna łapa, potwór spod łóżka, pielęgniarki wykonujące zastrzyki za niegrzeczne zachowanie... Niektórzy rodzice popisują się wyobraźnią, jakiej nie powstydziliby się scenarzyści filmów grozy.

JEDNI MAJĄ SVOJE DYŻURNE STRASZAKI, inni straszą maluchy czym popadnie. Czasami po prostu bez zastanowienia powtarzają to, co sami zasłyszeli w dzieciństwie. Wygląda na to, że opowiadanie historyjek z dreszczykiem jest skutecznym narzędziem służącym do dyscyplinowania dzieci. Zwłaszcza, gdy nie pomagają prośby czy tłumaczenia, inne środki zaradcze się wyczerpały, a opiekunowi puszczają już nerwy. Zazwyczaj efekt jest natychmiastowy. Oczy kilkulatka zamieniają się w spodki, a on sam rezygnuje z brojenia. Sukces pedagogiczny?

PO CO TO KOMU?

Straszenie najmłodszych różnymi postaciami to zjawisko stare i dobrze znane. Prawie każdy region Polski ma swoje własne, tradycyjne upiory, ale jest też kilka takich o zasięgu ogólnokrajowym. A gdzie nie dotarły strzygi i topielice, tam dojechała czarna wołga. Było się czego bać.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu zmory, mary, beboki i reszta menażerii stworzonej z myślą o konkretnej grupie docelowej, jaką są niegrzeczne dzieci, były niekiedy nieodłącznym elementem procesu wychowania. Zapracowani rodzice, na których barkach spoczywało gospodarstwo oraz ciężka praca w polu nie mogli pozwolić sobie na nieustanne doglądanie najmłodszych, zatem z pomocą przychodziły im istoty nadprzyrodzone. Dorośli zaludniali przestrzeń różnymi straszidłami, żeby ustrzec dzieci przed niebezpieczeństwami, dlatego studnię zamieszkiwał potwór, straszło w lesie i sadzawce, a także w zbożu, ale tam już po to, żeby maluchy „w szkodę nie wlażyły”.

Byty nadnaturalne przydawały się też do wyjaśniania maluchom niezrozumiałych zjawisk i zdarzeń oraz do dyscyplinowania pociech. W minionych latach, zwłaszcza w środowisku wiejskim beztroskie dzieciństwo kończyło się szybko. Kilkulatki miały swoje obowiązki, z czasem dochodziły kolejne, zwłaszcza opieka nad młodszym rodzeństwem. W takich okolicznościach rodzice potrzebowali skutecznego narzędzia do egzekwowania posłuchu. Karą za nieposłuszeństwo była perspektywa stanięcia oko w oko z demonem, wilkiem pożerającym pacholęta czy Babą Jagą. Od razu odechciewa się rozrabiać! Wydawać by się mogło, że w XXI wieku tego rodzaju strachy zestarzały się, ale nic bardziej mylnego.

GENERATOR KOSZMARÓW

Takie sposoby mają swoich zagorzałych zwolenników, którzy przekonują, że „przecież dziecko musi się czegoś bać”. Stylowej, czarnej limuzyny, więdźmy czy nawet sąsiada. Wszystko jedno, byle podziałało. Dlatego wyciągają z rekwizytorni grozy sprawdzone eksponaty, by traumatyzować dzieci tak, jak sami byli traumatyzowani. A potem dziwią się, że smyki nie chcą spać. Albo idąc do łazienki zapalają po drodze wszystkie światła. Czasem osobliwe metody wychowawcze będą rzutować na późniejsze życie straszonych. Nie brakuje wśród nas osób dorosłych, które zasypiają przy włączanej lampce, bo inaczej nie potrafią. W wielu przypadkach to efekt wieloletniego wysłuchiwania płynących z ust opiekunów opowieści o duchach. Niestety, z niektórych lęków się nie wyrasta.

Nie tylko rodzice straszą. Roztaczanie perspektywy zaklejenia rozgadanej buzi taśmą, to w niektórych przedszkolach wciąż smutny standard. Ale to jeszcze nic! Swego czasu w kilku placówkach wychowawczynie straszyły dzieci pozaszywaniem oczu. Z opowieści zaprzyjaźnionej mamy wiem, że w przedszkolu do której uczęszcza jej pociecha maluchy raczy się opowieściami o czarnej łapie, która ma zamieszkiwać jedno z tamtejszych pomieszczeń. Taka wizja niejednego dorosłego mogłaby przyprawić o dreszcze, a co dopiero kilkulatka! Dzieci tam uczęszczające podobno noc w noc moczyły prześcieradła i budziły się z płaczem.

Maluchy bywają na ogół łatwowierne, nie mają doświadczenia życiowego, więc komunikaty dorosłych odczytują 1:1. Nie rozróżniają zagrożeń realnych od nierealnych, a pracująca na pełnych obrotach wyobraźnia jeszcze ich lęki podsyca. Te zaś wzmacniane są kolejnymi zasłyszczanymi okropieństwami. Dzieci boją się przede wszystkim własnych wyobrażeń, gdy słyszą, że w piwnicy mieszka potwór, który ukarze je za niezjedzony obiad, są w stanie w to uwierzyć. Im wcale nie wydaje się to takie nedorzeczne. Zaczynają fantazjować na ten temat, dopisywać różne scenariusze. A potem przyjdą nieprzespane noce, bo smyki przestają czuć się bezpiecznie we własnym domu. To, co dobrze poznane i swojskie zaczyna być groźne.

Zdaniem wielu psychologów straszenie dzieci to rodzicielska droga na skróty, wykorzystywanie swojej uprzywilejowanej pozycji, a także forma przemocy psychicznej. Może skutecznie podkopać autorytet opiekunów – prędzej czy później



Sami nie straszmy i nie pozwalamy nikomu straszyć naszych dzieci

| 123RF PICSEL

młody człowiek zorientuje się, że najbliżsi opowiadali mu jakieś brednie. A zaufanie i wiara w ich słowa polecą na łeb, na szyję. Zresztą, czy mrożące krew w malutkich żyłach historie dostarczają kilkulatkom rzetelnej wiedzy o otaczającej rzeczywistości? Czy legendy o upiorze w studni mają walor edukacyjny? Oczywiście rodzicom chodzi o to, by miejsce potencjalnie niebezpieczne nie pociągało dzieci, choć znajdują się i takie, które zechcą sprawdzić, czy w rzeczonej studni naprawdę żyje potwór. Aby na pewno o taki efekt chodziło? Wszak maluchy lubią eksperymentować, a ciekawość niekiedy może być silniejsza niż lęki i rodzicielskie zakazy.

TA PANI CIĘ ZABIERZE

Niestety, wciąż dość powszechnym zjawiskiem jest straszenie dzieci policjantami („Jak będziesz niegrzeczny, to pan policjant przyjedzie po ciebie!"). To akurat nie wyraz pomysłowości, raczej skrajny brak wyobraźni. A co, jeśli w sytuacji autentycznego zagrożenia kilkulatek nie poprosi funkcjonariusza o pomoc, bo przez niemądre postępowanie opiekunów będzie się go bał? Jak ma zadzwonić pod numer

alarmowy, gdy coś złego się wydarzy? Zamiast straszyć malca uprowadzeniem przez mundurowych, należy mu od najwcześniejszych lat tłumaczyć, czym się zajmują. Stawiajmy sprawę jasno: policja ściga przestępców i pilnuje porządku, nie porywa dzieci. Koniec, kropka.

Równie fatalnym pomysłem jest straszenie maluchów lekarzami, pielęgniarkami bądź zabiegami medycznymi – łatwo przewidzieć, jakie będą tego skutki. Nie powinniśmy być zdziwieni, że pociecha dostanie spazmów w przychodni.

Czasem, chcąc ukarać smyka urządzającego sceny na ulicy lub, w innym wariancie, uchronić go przed niebezpieczeństwami czyhającymi poza domem, rodzice grożą maluchowi, że zabierze go ze sobą diad z worem, czarownica bądź ten czy inny przechodzień. Zgoda, trzeba uczyć dzieci zasady ograniczonego zaufania w stosunku do nieznajomych, niereagowania na ich zaczepki, trzymania się blisko mamy i tego, jak zachowywać się w przypadku próby porwania. Ale czy nie lepiej zamiast bezmyślnego straszenia podsuwać im konkretne scenariusze, jakie będą



Niestety, z niektórych lęków się nie wyrasta

| 123RF PICSEL

konsekwencje ich zachowań? Np. nie oddalaj się na zakupach, bo możesz się zgubić, nie rozmawiaj z nieznajomymi, nie zaczepiaj ujadających psów, etc.?

Nawet jeśli rodzice postępują zdroworozsądkowo, czasem z niechcianą pomocą przychodzą im „życzliwi” przechodnie. Zwłaszcza w sytuacjach, gdy pociecha rzuca się na sklepową podłogę lub głośno zapłacze. Wówczas zawsze znajdzie się ktoś chętny do działania, a rodzic musi naprawiać sytuację:

– Ostatnio moja zazwyczaj grzeczna córka zalała się łzami przy kasie w markecie, gdy odmówiłam kupna kolejnego batonika. W takich sytuacjach nie reaguję, przeczekuję. Młoda widzi, że histerią niczego nie wskóra i z reguły szybko się uspokaja. Tym razem podeszła do nas jakaś starsza pani. Chwyciła Asię za rękę i zawołała: „Teraz pójdziesz ze mną!”. Moje dziecko uderzyło w jeszcze większy płacz. Przytuliłam ją i zapewniłam, że nigdy i nikomu jej nie oddam. A nieznajomej poleciłam zająć się swoimi sprawami. Naprawdę trudno pojąć, co tymi osobami kieruje – wspomina pani Ewa, mama czteroletniej dziewczynki.

CIOS W PODBRZUSZE

Straszenie wydaje się być osobliwym sposobem na ochronę przed niebezpieczeństwami, czasem swoistym mniejszym złem. Niektórzy przekonują, że do trzylatków mogą nie trafić przydługie wywody o tym, że prąd jest niebezpieczny. Szybciej jest pogrozić im dziadem czy innym lichem. Ale czy sianie paniki to dobry sposób na przekazywanie najmłodszym wiedzy o świecie? Dlaczego mają dochodzić do życiowych prawd okrężną drogą?

Zakazanych czynności powinno się unikać nie ze strachu przed jakimś anonimowym dziadem, tylko z rozsądku. Przed najmłodszymi zasłaniamy gniazdko elektryczne, starszacom cierpliwie tłumaczymy, dlaczego dotykanie ich może być groźne, zamiast uciekać się do abstrakcyjnych pomysłów.

Jeszcze gorzej jest, kiedy otoczenie strasząc malucha przykręca śrubę i narusza absolutne podstawy dziecięcego poczucia bezpieczeństwa. – Moja starsza kuzynka wmówiła mi, że jestem adoptowana. Miałam wtedy dziewięć lat i zareagowałam na to histerią – mówi Justyna, studentka pedagogiki.

Choć brzmi to nieprawdopodobnie, niektóre dzieci słyszą od bliskich, że przez niegrzeczne zachowanie lub odmowę zjedzenia obiadu mama zachoruje lub umrze, przestanie je kochać albo odda do domu dziecka. Kto choć raz usłyszał tego rodzaju groźbę, z pewnością długo jej nie zapomni. Nie wiadomo, co z tego wyniknie, ile szkód można wyrządzić takimi opowieściami. Trudno bowiem wyobrazić sobie bardziej przerażające scenariusze. Jak czuje się malec żyjący w permanentnym strachu, że coś tak okropnego się wydarzy?

Jeśli będziemy chcieli rozbić dziecięcy upór lub wymusić posłuszeństwo i sięgniemy po tego typu straszaki, będzie tak, jakbyśmy użyli bomby atomowej na wojnie. Wygramy, owszem, ale jakim kosztem?

ZOBACZ W INTERECIE >



Józef Sowa

| fot. Marcin Rapacz INTERIA.PL

„Z niej już jest Niemka”

Ewelina Karpińska-Morek

Jasia ma siedem lat, Irka dwanaście. Uciekają z mamą. Mama ma długie, ciemne warkocze. Gienek, Józek i Piotrek widzą z podwórka, jak trzy sylwetki oddalają się w kierunku gospodarstwa Kaliszów. Niemcy strzelają, ale nie mogą trafić. Gdyby było chłodniej, z kominka wentylacyjnego ukrytego w polu – zaledwie kilkanaście metrów stąd – ulatywałaby para wodna, zdradzająca obecność sześciorga osób, ukrywanych w podziemnym bunkrze przez rodzinę Sowów. Jest 1 września 1943 roku.



RAMACH PIERWSZEJ POLSKO–NIEMIECKIEJ akcji, organizowanej przez Interię

i Deutsche Welle, poszukujemy osób, które jako dzieci stały się ofiarą polityki rasowej Heinricha Himmlera. Udzielamy im pomocy w odzyskaniu straconej tożsamości i dotarciu do krewnych. 70 lat po wojnie połączyliśmy siły z dziennikarzami z Niemiec, by wspólnie badać historię, rekonstruować losy rozdzielonych rodzin i pomagać najmłodszym ofiarom znaleźć odpowiedź na pytanie: kim jestem?

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan z siostrą Jasią?

– Pół godziny temu.

Do gospodarstwa Sowów, którego już nie ma, prowadzi szutrowa droga. Później skręca się w lewo i wjeżdżamy na polną dróżkę.

– Droga jest taka, jaką zostawił tata – mówi pan Józef. W tle słychać muzykę z kasy, którą dostał od szwagra Rolfa, męża Jasi.

Wkoło pole, dwanaście morg. Proso nie wyszło. Ale wyszły bławatki. Całe połacie chabrowych plam. Cud. Pośrodku tego cudu dół z wapnem, do którego Niemcy wrzucili mamę i tatę Józefa oraz pięciu Żydów, których ukrywała rodzina Sowów. I partyzanta Zyskowskiego.

– I tylko było słychać plusk, plusk. Wrzucali po kolei. Jednego Żyda ocalili, żeby im pomagał wrzucać ciała.

– Przeżył wojnę?

– Nie. Skatowali go na gestapo.

Dół przykryty dziś lastryko i marmurem. Tabliczka z napisem „Prosimy o westchnienie do Boga”. Obok wysoki krzyż.

Pan Józef zaprasza do swojego domu.

„Janko, jestem twoim bratem. Przeżyliśmy wszyscy wojnę: ja, Irena, Piotr i Eugeniusz. Znaleźliśmy cię. Wróć do nas, do Polski”.

Józef napisał w 1965 r. do odnalezionej po wojnie, wywiezionej do Niemiec i zgermanizowanej siostry. Po pół roku odpisała. Po niemiecku.

„Nie wiem, czy mam jakąś rodzinę w Polsce. Ja jestem stąd, jestem Niemką”.

Wszystkie dzieci Sowów wywieziono do III Rzeszy. Jasię zgermanizowano. Podobny los spotkał kilkadziesiąt, choć nawet mówi się o dwustu tysiącach polskich dzieci. Po wielu z nich ślad zaginął. Niemiecka organizacja Lebensborn e. V., realizując politykę Heinricha Himmlera, zabiegała o to, by każde dziecko, spełniające kryteria rasowe, zasiliło niemieckie społeczeństwo. Lebensborn prowadził osobne biura meldunkowe dla zrabowanych polskich dzieci i skutecznie zacierał ślady. Dzieci zabierano z domów – pod nieobecność rodziców, z ochronek, ze szpitali. Pozbawiano je tożsamości, zmieniano nazwiska, czasem postarzano w dokumentach, żeby zmylić trop.

Jasia była cicha, skromna, miała mniej niż 10 lat, a rodzina, która ją adoptowała, straciła córkę w wypadku i potrzebowała pomocy przy wyrobie butów dla wojska.

– Rano wstajemy. To było na jesieni 1941 roku. Na podwórku w słomie pochowali się ludzie. Ojciec był przerażony, noc cicha, pies, co ciekawe, nie szczekał. Jakoś go obłaskawiali. Byli zmarznięci, prosili o jedzenie i picie. Ojciec obudził mamę i mówi: „Franiu, Franiu, chodź no zobacz, na podwórku są ludzie”.

– Rodzice ich nakarmili, ale oni już nie chcieli iść. A przecież było pełno szpicli, i zaraz by poskarżyli, że po podwórku u Sowy chodzą Żydzi. Po radzie z mamą, dziećmi – choć mama w ogóle się nie zgadzała, ale ojciec mamę przekonał – pozwoliliśmy im zostać na trzy miesiące. Zostali dwa lata. Ojciec wybudował pod oborą solidny schron. Wyjście było w oborze pod żłobem konia. To byli już nasi

zaprzyjaźnieni Żydzi. Mieszkaliśmy razem, bawiliśmy się razem, opowiadaliśmy sobie historie. Kiedy rodzice wychodzili w pole, oni tajniacko wychodzili i się nami opiekowali.

– W okolicy działała grupa partyzantów, którzy ubijali Niemców na posterunkach. Bo tam, jak widać te drzewa, była granica Rzeszy. Tam już były Niemcy. Pechowo wtedy, kiedy grasowali partyzanci, jeden z nich przyszedł do nas na przechowanie. To było 1 września 1943 roku. Kawał draba. Tacy wszyscy byli wyrośnięci w rodzinie Zyskowskich. To co ojciec miał zrobić? Pozwolił mu wejść do bunkra, pozamykał wszystko i poszliśmy spać. Godzina 4:30. Szum, szczekanie psów. Niemcy pomylili domy. Poszli najpierw do sąsiada, do Sączka Jakuba. A później dotarli do nas. Przyjechały cztery samochody.

– Jasia, pamiętasz mamę? Jasia, tak mówię do siostry. W Niemczech jest Anita. Po niemiecku pytam. Janka nie pamięta polskiego, choć zabrali ją, jak miała 7 lat. Odnalazła się pod Hanowerem.

– Jasia, razem z mamą i Irką uciekałyście przez pole.

Janka nie pamięta.

– Jak może tego nie pamiętać?

– Mama upadła i przez chwilę myśleliśmy, że już jej nie mamy. Doleciały we trzy do piwniczki u sąsiadów. Sąsiedzi widzieli, co się działo. Przerażeni uciekli. Gdy Niemcy dobiegali do pustego gospodarstwa, w którym się ukryły, mama krzyknęła, żeby uciekały do pobliskiego lasu. Dziś to jest las, wtedy tam były krzaki. Mama miała długie czarne warkocze. Ciągnęli ją trzysta metrów po ściernisku.

Janka odpisała na list, ale nie dowierzała, że ma rodzinę. Józef pojechał więc po nią do Niemiec. Stanął na dworcu w Hanowerze i zaczął się rozglądać. Tylko kogo

szukał? Minęło blisko 20 lat. Szła pod rękę z jakimś mężczyzną. Ładna, młoda dziewczyna. Żona Rolfa, matka Jorga.

– W domu nas było pięcioro. Mama cały czas się martwiła, żeby ktoś z nas nie wygadał, że schronili się u nas Żydzi. Bolał ją od tego brzuch. Nikt nic nie powiedział.

– Tata 1 września też nic nie powiedział. Na naszych oczach rozwalili mu kolbę głowę. Mama również milczała. – Najbardziej mnie boli to, że tak ją skatowali. Była w szóstej ciąży.

Pan Józef pokazuje zdjęcie. – Tu jest Eugeniusz, tu ja, tu Irka, która zmarła w zeszłym roku, tu ten najmłodszy Piotr i ta nasza Jasia, ta zniemczona.

Jasia–Anita nosi się po niemiecku. Wygląda, zachowuje się jak Niemka. Brat nie może się pogodzić z tym, że siostra została wywieziona i skutecznie zgermanizowana.

– Wszyscy to widzimy, że z niej już jest Niemka.

Niemcy szaleli z wściekłości. Przeszukali całe gospodarstwo i nie mogli znaleźć partyzanta i Żydów. Nawet najmłodszy dwuipółletni Piotruś się nie odezwał.

– Wzięli Piotrusia za nogi i chcieli rzucić w ogień. Błagaliśmy. A jak się dowiedzieli, że na górze są króliki i kury, to mi kazali wejść do płonącego domu, żeby im wynieść, bo to przecież jedzenie. Już mi się portki zajęły ogniem. Zlitowali się. Nie wiem, czemu.

– Żeby wyjechać do Niemiec, do siostry, musiałem się stawić na UB. Dostałem odpowiedź odmowną. Myśleli, że chcę wyjechać do Niemiec. Ja? Do Niemiec? Po tym wszystkim, co tu przeszliśmy. Przeżyliśmy przecież. Po co miałbym jechać do

Niemiec?! Po siostrę jechałem. I chyba ten argument ich przekonał.

– Siostra i szwagier odebrali mnie z dworca. Usiedliśmy w ich domu przy stole. Opowiedziałem całą historię rodziny. Rolf, Niemiec, rozplakał się i wyszedł. Siostra mi powiedziała, że koniec tego opowiadania, bo obraziłem jej męża. Zjadłem obiad, który mi nie smakował, dotrwałem do śniadania, spakowałem walizki i chciałem wracać od razu do kraju. Ale mnie zatrzymali, później się trochę uspokoiło.

– Tu stał dom. Tam – pokazuje palcem – były drzewa owocowe, które osłaniały od



Józef Sowa i jego siostra Jasia, czyli Anita Dingethal

| INTERIA.PL

wiatru z pola. Obok domu warsztat. Tata był stolarzem kołodziejem. Za warszta-tem stodoła. Pod żłobem wejście do schronu. I kilkanaście metrów dalej nie wyższy niż trzydzieści centymetrów kominek wentylacyjny.

– To było całe życie Żydów przez dwa lata. Wieczorami wychodzili na spacer, żeby złapać trochę powietrza. Jedli to samo, co my. Zwykle zalewajkę na szczawiu. Czasem nawet lepiej, jakieś kartofle.

Posiedziałem u siostry dwanaście dni. Dwa dni krócej, niż pozwalała wiza. Spakowali mi jakieś używane, stare rzeczy. W przedziale siedzieli Niemcy, którzy komentowali całą scenę z peronu, śmiejąc się z tego, że mnie niemiecka rodzina obładowała gratami. Nie wiedzieli, że rozumiem i że również mówię po niemiecku. Więc im wytłumaczyłem, że wysłuchałem ich opowieści i zaoferowałem swoją – o mojej rodzinie i o tym, co Niemcy nam zrobili. Na początku słuchali, a jak opowiedziałem, w jaki sposób zamordowali mi rodziców, opuścili przedział.

– Ostukali podłogę stodoły widłami i po długich poszukiwaniach znaleźli wejście. Partyzant się zastrzelił. Najpierw wyszły żydowskie kobiety, później mężczyźni. Ustawili ich pod drzewami owocowymi w naszym sadzie i pluton egzekucyjny oddał strzały. Później podobijali ich kolejnym strzałem. Mama i tata, połamani, pogruhotani, siedzieli pod drzewem. Nas już wtedy z braćmi załadowano do wozu. Widzieliśmy wszystko przez małe okienko w samochodzie. Brat mi powiedział: Józiu, nie mamy już rodziców.

– Zaprosiliśmy Jasię do Polski. To też trwało, bo trzeba było dostać zgodę na wizytę obywatela z zagranicy. Zorganizowaliśmy przyjęcie, przyjechała rodzina.

Józef zabrał następnego dnia Jasię na grób rodziców. Wszyscy byli przeciwni. Że za dużo na jeden raz. Ale on się uparł. Pokazał, gdzie stał dom, którędy uciekały z mamą, gdzie było podwórko, drzewa owocowe. Pokazał miejsce, w którym znajdował się dół z wapnem, do którego wrzucili mamę i tatę. W tym miejscu stanął później prowizoryczny nagrobek – mała górka przykryta darnią. Jasia się wtedy rozpłakała. Dotarło do niej.



Rodzeństwo Sowów. Od lewej Eugeniusz, Józef, Irena, Janina i Piotr

| Z archiwum rodzinnego Józefa Sowy

– Jak się to wszystko stało, czekaliśmy z braćmi na Jasię i Irenę. Nie wiedzieliśmy, czy żyją. Przeżyły. Wszyscy przeżyliśmy. Tylko Jankę zabrali i przerobili na Niemkę.

– Próbuję Jankę za każdym razem trochę uczyć historii, opowiadam. Ale kiedyś mi wygarnęła, że to nie tak wszystko było, że to Polacy podbijali Europę, mordowali innych, że się na tych Niemców uwziąłem. Ale ona tego wszystkiego nie doświadczyła w takim stopniu, jak my. To nie chce uwierzyć.

– Lubił pan męża siostry, Rolfa?

– Tak, to był bardzo dobry człowiek.

– A wtedy przy stole, gdy opowiedział pan siostrze historię waszej rodziny rozplakał się, bo – jak uznała siostra – pan go obraził?

– Nie. On tę historię bardzo przeżył.

– Czy z synem Jasi, Jorgiem, ma pan kontakt?

– Tak, Jorg – czyli Grzegorz – zaczął przyjeżdżać do Polski. Interesują go jego korzenie.

Pan Józef ostrożnie wchodzi w pole – najpierw na podwórko, potem do swojego domu, do warsztatu taty, do stodoły. Pokazuje włącz do schronu, komin wentylacyjny. Odmierza odległości krokami. Opowiada, jak uprawiali bawełnę, jak mama przędła, a później robiła tkaniny. Z tych tkanin szorstkie ubrania dla dzieci. Tata robił powozy, woził żywność do getta.

Dotyka krzyża. – Do zobaczenia, rodzice.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Elvis Presley zmarł 40 lat temu, jednak niektórzy fani nie mogą się z tym pogodzić

| Courtesy Everett Collection East News

Elvis żyje? Szukają go (bezsukutecznie) od 40 lat

Daniel Kielbasa

16 sierpnia 1977 roku Stany Zjednoczone zamarły. Oto w mediach podano wiadomość, że Elvis Presley, największy gwiazdor amerykańskiego show-biznesu, zmarł w wieku 42 lat. Jak się jednak szybko okazało, śmierć rozpoczęła inną, dla niektórych dużo ciekawszą, a dla innych absurdalną, historię.

ELVIS PRESLEY zmarł 16 sierpnia 1977 roku w swojej posiadłości w Graceland w Memphis. Nieprzytomnego muzyka znalazła w łazience jego dziewczyna Ginger Alden. Próby odratowania Presleya nie powiodły się, a zgon stwierdzono o godzinie 15:30.

Oficjalną przyczyną śmierci Elvisa był zawał serca, wywołany przez śmiertelną mieszankę leków i narkotyków (poinformowano, że sekcja zwłok wykazała w jego organizmie kokainę, demerol, leki przeciwhistaminowe, uspokajające, kodeinę, a także barbiturany). W ostatnich latach swojego życia Presley zmagał się z wieloma dolegliwościami: jaskrą, chorobami jelita grubego i wątroby oraz nadciśnieniem.

Po tragicznej wieści o śmierci Elvisa tysiące ludzi zebrało się pod Graceland i opłakiwało swojego idola. Specjalną odezwę w związku z sytuacją wystosował prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter.

Presley pochowany został 18 sierpnia, a pod jego rezydencją ostatnią drogę legendy śledziło ponad 80 tys. osób.

GDZIE JEST POCZĄTEK?

W tym samym czasie do mediów dotarło zdjęcie Elvisa Presleya w trumnie. Fotografie opublikowała gazeta „National Enquirer”, a dostarczył ją kuzyn legendy Billy Mann.

To właśnie zdjęcie Presleya rozpoczęło falę domysłów i spekulacji. Fani gwiazdora byli bowiem przekonani, że na pierwszej stronie pisma wcale nie widzą Presleya, tylko... woskową figurę. Nie zgadzać miał się **m.in.** wygląd brwi i podbródka.

Dodać do tego trzeba fakt, że do dziś przyczynę śmierci stawia się pod znakiem zapytania, o czym po latach mówił osobisty lekarz artysty George „Nick” Nichopoulos. Ten jednak nie kwestionował samej śmierci Elvisa, a jej przyczynę (twierdził, że Presley zmarł w wyniku chronicznych zaparć). Sam raport medyczny, który według tropicieli spisków, wyjaśni wszelakie wątpliwości na ich korzyść, został utajniony przez ojca Elvisa, Vernona, aż do 2027 roku.

Do tego czasu piewcy hasła „Elvis żyje” musieli wspierać się innymi „dowodami”. Zaraz po śmierci zaczęto zbierać wypowiedzi muzyka.

„Nie wyglądam teraz zbyt dobrze, ale zapewniam, że będę się dobrze prezentował w trumnie” – miał mówić na jednym z koncertów Elvis, jednak nikt nie potwierdził tej, ani żadnej innej wypowiedzi, w której sam zainteresowany zapowiadał pośrednio swoją ucieczkę.

Fanów Presleya, a obecnie niektórych internautów zastanawia również fakt, że rodzina Presleya nigdy nie podjęła pieniędzy z ubezpieczenia „króla”.

POWÓD

Skoro według zwolenników teorii Presley uciekł, to powinien być również jakiś powód, dla którego zdecydował się na tak desperacki, a przy tym skomplikowany ruch. Najprostszym wytłumaczeniem jego psychofanów jest chęć zerwania Presleya z przeszłością. Muzyk według nich miał dość mediów i milionów sympatyków na całym świecie, którzy odbierają mu prywatność. Dlatego właśnie zdecydował się na nowe życie.

Oczywiście, jak często bywa przy teoriach spiskowych, nie jest to jedyna możliwość. Niektórzy twierdzą, że Elvis uciekał, gdyż miał problemy z mafią, inni znowu są przekonani, że ostatecznie spełnił swoje wielkie marzenie, czyli został tajnym agentem DEA.

POGOŃ ZA ELVISEM OBIEŻYŚWIATEM

Elvis sfingował swoją śmierć, a następnie wyruszył zwiedzać świat? Tak twierdzą osoby, które widziały gwiazdora po 16 sierpnia 1977 roku.

Presley miał pojawiać się w różnych miejscach na świecie, przedstawiając się jako John Burrows (tego nazwiska Elvis używał w pokojach hotelowych, gdy chciał uniknąć zainteresowania mediów), Jimmy Ellis lub Al Jefferies. Podobno widywano go m.in. w Buenos Aires, Kalamazoo w stanie Michigan, Ottawie, na Kubie, a także w Londynie i Sztokholmie.

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na autorkę licznych publikacji na temat

Elvisa Gail Brewer–Giorgio, nieustrudzonej popularyzatorki teorii o sekretnym, pośmiertnym życiu Presleya. W swoich tezach była na tyle przekonująca, że do swoich programów zaprosili ją m.in. Larry King i Oprah Winfrey. Gail twierdziła, że była w posiadaniu taśm, na których zarejestrowany został prawdziwy głos Elvisa po jego śmierci, a nagranie uwiarygadniać miał specjalista z Houston.

W kilku publikacjach Giorgio próbowała udowodnić swoje racje. Najgłośniejszą książką była ta z 1988 roku pt. *Is Elvis Alive?*, która odbiła się szerokim echem, co sprawiło, że w fanów teorii wstąpiły nowe siły.

Niemal w tym samym czasie w Kanadzie powstało stowarzyszenie o nazwie *The Elvis Sighting Society*, które odnotowywało każde pojawienie się „króla” na globie. W latach 90. w telewizji wyemitowano natomiast programy, w których Bill Bixby próbował udowodnić, że Presley od 1977 roku został objęty programem ochrony świadków FBI.

OSTATNIE DONIESIENIA

Powstanie sieci dało ludziom możliwość bezproblemowej komunikacji, co sprawiło, że zwolennicy teorii o sfingowanej śmierci Presleya mogli łączyć się ze sobą i powielać swoje wierzenia. Poza tym głoszenie swoich teorii stało się dużo prostsze, a wrzucanie filmów, na których „występował Presley”, łatwiejsze.

To właśnie w sieci wykuły się kolejne odnogi teorii o życiu Presleya. W ostatnich latach dużo mówiono na temat pojawienia się muzyka w filmie *Kevin sam w domu*. W jednej ze scen widać mężczyznę podobnego do Presleya (podobny kształt twarzy, zarost), jednak pod koniec 2016 roku reżyser produkcji Chris Columbus stwierdził, że gdyby miał Elvisa w obsadzie, na pewno, by o tym wiedział.

W 2016 i 2017 roku pojawiła się zupełnie inna teoria mówiąca, że gwiazdor wcale nie podróżuje po świecie, a najzwyczajniej stał się opiekunem swojej posiadłości w Graceland. Na wrzuconych do sieci filmikach widzimy siwego mężczyznę w czapce z daszkiem. Furorę w internecie zrobiło opublikowane nagranie, na którym Elvis miał pojawić się na rocznicy swoich urodzin (8 stycznia).

KTO W TO WIERZY? I KOMU NA TYM ZALEŻY?

Mimo iż teoria wciąż jest niezwykle chwytliwym tematem, to wbrew pozorom, nie zaprzęta ona głowy gigantycznej grupie ludzi.

Ostatnie badania sondażowe na temat tego, jakże „palącego” tematu przeprowadzono lata temu (w 1997 i 2002 roku). W 1997 roku cztery procent respondentów opowiedziało się za teorią o żyjącym Elvisie. W 2002 roku liczba ta wniosła siedem procent. Ciekawostką jest to, że wyniki tych badań zostały przypomniane w debacie publicznej ponad dekadę później. Zrobili to przeciwnicy Baracka Obamy, którzy wskazywali, że więcej osób wierzy w żyjącego Presleya niż w to, że ówczesny prezydent USA stworzy nowe miejsca pracy.

Telewizja Fox zwróciła natomiast uwagę, że mówimy mimo wszystko o 16 milionach osób. Przeprowadziła również własną ankietę, w której zapytała o opinię na temat wierzących w teorię o żyjącym Elvisie. Aż 81 procent stwierdziło, że osoby wierzące w spisek są szalone.

Według naukowców w tę i podobne teorie wierzą najczęściej osoby, które nie do końca kontrolują swoje życie.

Szeroko temat opisał **m.in.** Christopher French z uniwersytetu w Londynie, który stwierdził, że osoby wierzące w spiski dużo łatwiej przyjmują do wiadomości teorie, które są po ich myśli (tutaj możemy mówić o fanach, którzy woleliby, aby Elvis żył). Dochodzi także „skłonność do proporcjonalności”. Jeżeli bowiem wydarzy się coś dużego (śmierć legendarnego muzyka) powód tego zdarzenia nie może według niektórych zbyt błahy (rozpoczyna się więc szukanie drugiego dna).

Nie zapomnijmy, co może zabrzmieć jak spisek, że wielu ludziom zależy na ciągłym trwaniu teorii, gdyż na nich zarabiają, mówimy tutaj **m.in.** o brukowcach, autorach książek i wydawcach. Elvis, nawet po śmierci, jest kurą znoszącą złote jajka. W 2016 roku magazyn „Forbes” umieścił Presleya na czwartym miejscu najlepiej zarabiających, nieżyjących gwiazd (27 milionów dolarów).

ZOBACZ W INTERNECIE >



Warszawa, Gocław. Przeciętne gosp. domowe w Polsce zgromadziło majątek netto wart 257 tys. złotych

|ARKADIUSZ ZIOLEK East News

Polska. Kraj nierówności umiarkowanych

Michał Michalak

Z nierównościami społecznymi w Polsce jest jak ze szklanką do połowy pełną i do połowy pustą. Optymista powie, że nierówności majątkowe są na relatywnie niskim poziomie, nierówności dochodowe zmniejszają się, a program 500 plus dodatkowo przysłużył się zasypywaniu rozwarstwienia. Inaczej na to spojrzy pesymista. On zauważy, że miliony rodaków mają ujemny bądź zerowy stan posiadania, majątki tych bogatszych dopiero po okresie transformacji zaczęły się kumulować, a dochody rozwarstwione są bardziej niż unijna średnia.

JAKA JEST PRAWDA? Spróbujemy na to odpowiedzieć. W gospodarce rynkowej nierówności być muszą. Pytanie – w jakim stopniu powinny występować, by nie groziły gospodarczą i społeczną katastrofą.

– Nierówności mają pewną niezaprzeczalną pozytywną stronę – one po prostu mobilizują. Przesadne zmniejszanie różnic jest niekorzystne, bo odbiera motywację do inwestowania, rzetelnej pracy, kształcenia się. Problemem są nadmierne nierówności – wyjaśnia w rozmowie z Interią prof. Marek Garbicz ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Kłopoty pojawiają się więc wtedy, gdy nierówności zaczynają wymykać się spod kontroli. Gdy nagle budzimy się w kraju, w którym – celowo wyolbrzymiam – garstka najbogatszych ma wszystko, a cała reszta nie ma niczego.

DLACZEGO ZBYT DUŻE NIERÓWNOŚCI SĄ ZŁE?

Światowy kryzys finansowy z 2008 roku sprawił, że o nierównościach zaczęło się dyskutować. Przestały one być wymysłem „oszałałych socjalistów”, a stały się jednym z kluczowych tematów debaty ekonomicznej. Tym bardziej, że od lat 80. nierówności majątkowe i dochodowe w świecie zachodnim konsekwentnie rosną.

Kryzys spowodował, że nierówności zaczęto wreszcie porządnie badać.

Raport Międzynarodowego Funduszu Walutowego z 2014 roku jako pierwszy precyzyjnie wykazał, że duże nierówności hamują wzrost gospodarczy, a więc tracimy na nich wszyscy. Ale nawet przy szybkim, zadowalającym wzroście nie można odpuścić kwestii rozwarstwienia.

– Przy wysokim poziomie nierówności trzeszczy spójność społeczna, rozpada się wspólnota, ponieważ coraz większe grupy czują się wykluczone – wskazuje prof. Garbicz.

Kraje, które dopuszczają wysoki poziom nierówności, mają problemy z przestępczością, napięciami społecznymi, polityczną destabilizacją. Obywatele znajdujący się po niewłaściwej stronie przepaści zarobkowo–majątkowej żyją znacznie krócej, nie mają dostępu ani do edukacji, ani do kapitału. A im większe rozwarstwienie, tym więcej obywateli nie z własnej winy znajduje się po tej smutniejszej stronie przepaści.

ROZWARSTWIENIE MAJĄTKOWE W POLSCE



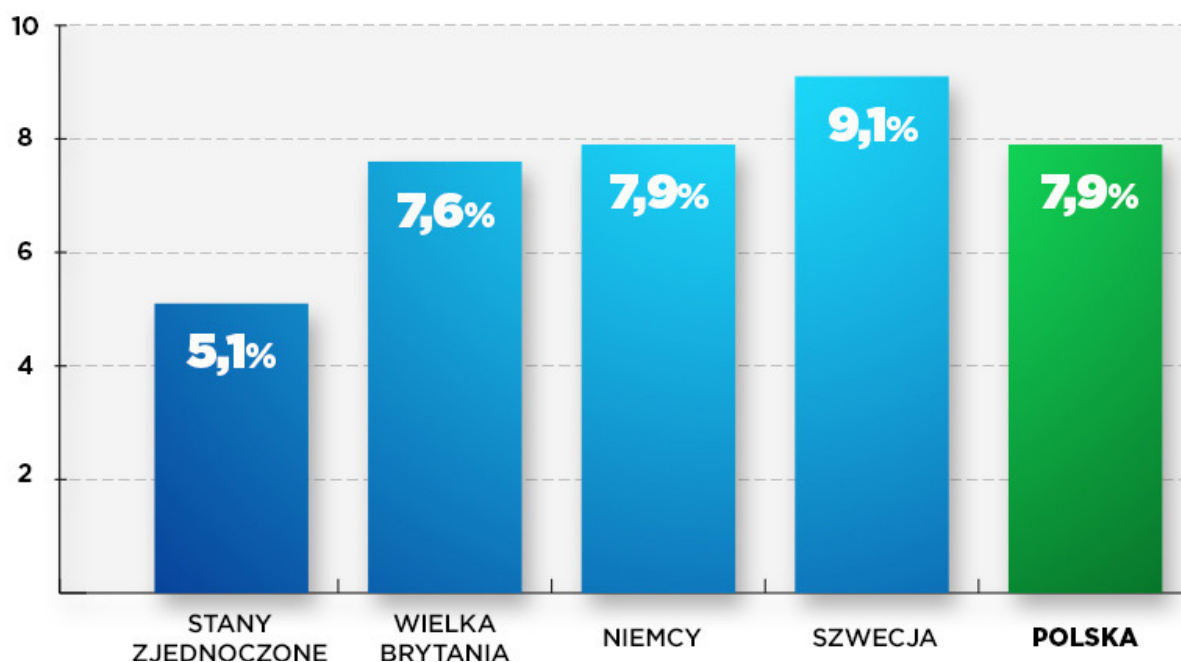
Dla **1 proc. populacji** najmniej zasobnych gospodarstw domowych wartość majątku netto nie przekracza **-4,5 tys. zł**. Przeciętne (medianowe) gospodarstwo domowe gromadzi **ok. 257 tys. zł majątku**, z kolei **1 proc. najbardziej majątnych** gospodarstw domowych znajduje się w posiadaniu majątku o wartości **co najmniej 2,8 mln zł**.

Źródło: NBP

Rozwarstwienie majątkowe w Polsce

| [INTERIA.PL](https://interia.pl)

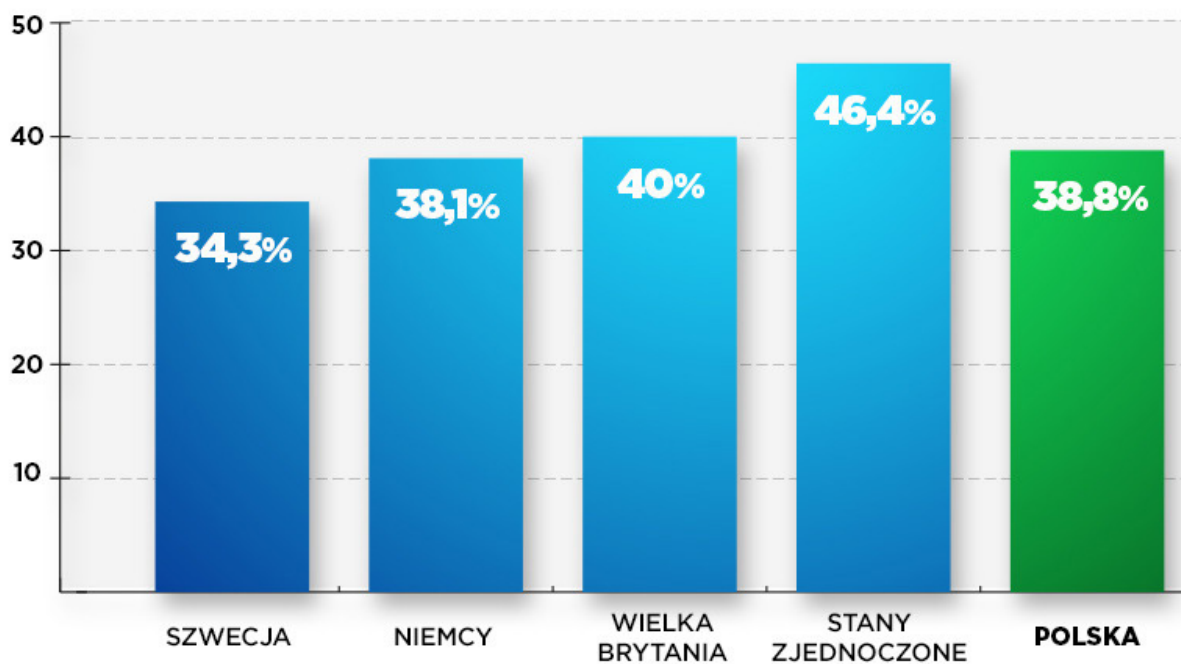
UDZIAŁ 20 PROC. NAJMNIEJ ZARABIAJĄCYCH OBYWATELI W DOCHODZIE NARODOWYM



Udział najgorzej zarabiających w dochodzie narodowym

| INTERIA.PL

UDZIAŁ 20 PROC. NAJWIĘCEJ ZARABIAJĄCYCH OBYWATELI W DOCHODZIE NARODOWYM



Udział najlepiej zarabiających w dochodzie narodowym

| INTERIA.PL

CZARNO NA BIAŁYM

Te wszystkie negatywne skutki odnajdziemy w statystykach. Czarno na białym. W najbogatszym państwie na świecie – Stanach Zjednoczonych – umiera procentowo więcej noworodków niż w jakimkolwiek innym rozwiniętym kraju – 6,5 zgonów na tysiąc urodzeń. Powód? Nierówności, które sprawiają, że klasy niższe nie mają dostępu do opieki zdrowotnej, ponieważ ich na to nie stać. I nie mówimy o bezrobotnych (bezrobocie w USA jest na niskim poziomie), tylko o całej rzeszy pracujących. Cóż więc z tego, że Stany są najbogatsze, skoro owoce tego bogactwa, ufundowanego w dużej mierze na niewolnictwie (a więc paradoksalnie – na nierównościach), trafiają do nielicznych, a kołem zamachowym wzrostu jest sektor finansowy – będący epicentrum nadużyć i nader przerośnięty, by można było mówić o zdrowej gospodarce.

Inaczej rzecz ma się w państwach i ich gospodarkach, które zwracają uwagę na skutki utrzymywania dużych nierówności i przeciwdziałają temu. Efekty są bardzo widoczne.

W rankingach szczęśliwości, długości życia, jakości edukacji i służby zdrowia czołowe miejsca zajmują państwa nordyckie – najbardziej egalitarne na świecie: Szwecja, Dania, Finlandia, Norwegia.

To kwestia obranego systemu – jedne rządy stawiają na „niewidzialną rękę rynku” (większe nierówności), inne nie stronią od mechanizmów redystrybucji (mniejsze nierówności). I wbrew obiegowej opinii nie trzeba być państwem bogatym, by mieć co rozdawać. Finlandia najpierw stała się egalitarna, a później zamożna.

ZBYT DUŻE, CZYLI JAK DUŻE?

Automatycznie nasuwa się pytanie, na które, niestety, nie ma precyzyjnej odpowiedzi: skoro nadmierne nierówności są złe, to na jakim poziomie powinny się zatrzymać? Wbrew pozorom, jest to pytanie nie tylko ekonomiczne, ale i etyczne.

Według Platona żaden człowiek nie powinien być czterokrotnie bogatszy od najbiedniejszego członka społeczności. Była to dla Platona kwestia moralności. Oj, zasmutiłby się, gdyby wiedział, że w żadnym z państw jego ideał nierówności nie został zrealizowany. Dziś mamy do czynienia z sytuacją, gdy blogerka modowa za jedno

zdjęcie z puszką Coca-Coli zarabia więcej niż sprzątaczką w kilka lat. Z kolei prezes, który doprowadził firmę na skraj upadku, odchodzi z wielomilionową odprawą. Ośmiu najbogatszych ludzi świata (z czego sześciu to Amerykanie) posiada tyle co połowa ludzkości. Platon nie lubi tego. A my podświadomie wyczuwamy, że coś tu jest systemowo nie tak.

Nie jesteśmy jednak całkowicie skazani na poruszanie się po omacku. Polska nie jest wyspą. Niech punktem odniesienia będą inne państwa. Z krajów rozwiniętych, jak wspomnieliśmy, najbardziej egalitarne są państwa nordyckie, a najbardziej rozwinięte – Stany Zjednoczone, a po nich Wielka Brytania. Mając do wyboru dwa różne modele, warto porównywać się z Północą jako możliwym kierunkiem rozwoju, za czym przemawiają też cytowane rankingi zadowolenia społecznego. Choć, oczywiście, nie ma państw i społeczeństw idealnych, pozbawionych biedy czy przestępczości.

LIBERAŁOWIE ZAMYKAJĄ OCZY

Filozofia, której podwaliny tworzył Milton Friedman, a którą realizowali charyzmatyczni przywódcy – Margaret Thatcher czy Ronald Reagan – głosi, że nierówności to naturalna konsekwencja kapitalizmu i nie należy z nimi walczyć, niezależnie od ich rozmiarów, ponieważ motywują do przedsiębiorczości, rozwoju i wydajniejszej pracy. Niech wolny rynek decyduje o wynagrodzeniach, majątku i awansie społecznym, a nie opresyjne państwo ze swoimi ciążącymi regulacjami – postulują liberałowie.

Jednak po kryzysie z 2008 roku luki w tej narracji stały się zbyt widoczne, by można było je tak łatwo zbywać, zwłaszcza w obliczu kolejnych badań ilustrujących zgubny wpływ rosnących nierówności na gospodarkę i społeczeństwo.

Gdy w 2016 roku przeprowadzałem wywiad z Leszkiem Balcerowiczem, każdą wzmiankę o nierównościach traktował nieprzychylnie. „Każdy ma zarabiać tyle samo?” – pytał retorycznie, a ideę podatku progresywnego oceniał jako próbę karanie za przedsiębiorczość.

Kiedy zacytowałem wspomniany raport MFW, Balcerowicz odparł: „Ta praca poddana została ostrej metodologicznej krytyce”. Zaraz jednak dodał: „Nie chciałbym się szczegółowiej wypowiadać na ten temat”.

Przytaczam tę scenkę, by zilustrować, że wobec kolejnych badań i analiz coraz trudniej jest liberałom przekonywać do ignorowania rozwarstwienia społecznego.

TRZY KATEGORIE NIERÓWNOŚCI

Skupmy się na trzech rodzajach rozwarstwienia w Polsce:

- nierównościach dochodowych, czyli o ile więcej zarabia twój szef,
- nierównościach majątkowych, czyli ilu Polaków ma wille z basenem, a ilu ledwo spłaca hipotekę na swoje mieszkanie,
- nierówności szans – np. na ile miejsce urodzenia ogranicza nasze możliwości awansu społecznego.

NIERÓWNOŚCI DOCHODOWE

– W Polsce mamy większe rozwarstwienie dochodowe niż średnia dla Unii Europejskiej. Ale gorsze wskaźniki notują np. kraje bałtyckie i niektóre kraje romańskie
– mówi nam prof. Garbicz.

Nierówności dochodowe w Polsce zilustrujemy na podstawie udziału najbogatszych i najbiedniejszych w podziale „tortu”, jakim jest dochód całkowity w Polsce.

Według danych zebranych w World Income Inequality Database, 10 proc. najlepiej zarabiających Polaków zgarnia 23,9 proc. dochodu całkowitego.

Dużo? Mało? Porównajmy. Na jednym biegunie mamy oczywiście USA, gdzie udział owych 10 proc. wynosi 30,2 proc. W Wielkiej Brytanii – która pod względem systemu gospodarczego i nierówności jest zawieszona pomiędzy Europą a Stanami – 25,2 proc., ale w Niemczech już mniej – 22,8 proc., a w Szwecji jeszcze mniej – 20,1 proc.

A teraz spójrzmy na udział 20 proc. najgorzej zarabiających. W Polsce trafia do nich 7,9 proc. dochodu narodowego. Sięgnijmy po te same punkty odniesienia. W USA najgorzej zarabiający mają... najgorzej. Ich udział w podziale tortu wynosi

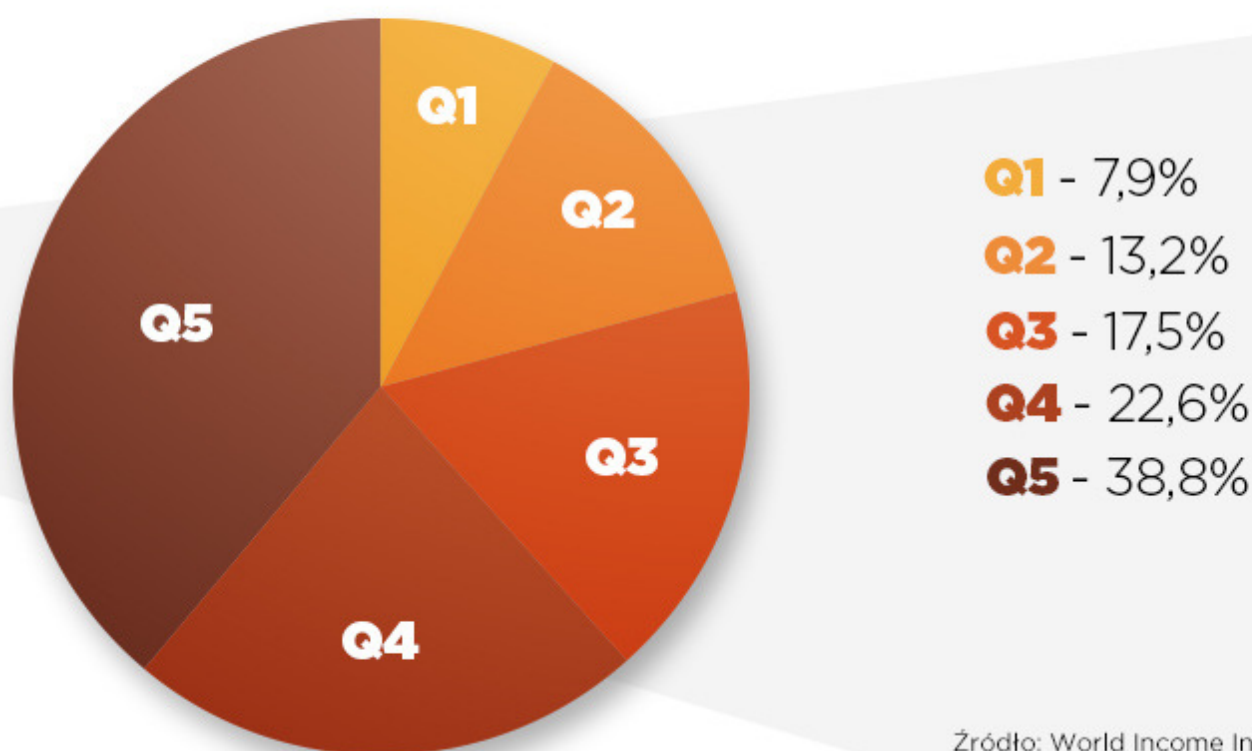
5,1 proc. W Wielkiej Brytanii jest on już wyraźnie wyższy – 7,6 proc., w Niemczech taki sam jak w Polsce – 7,9 proc., a w Szwecji oczywiście zdecydowanie wyższy – 9,1 proc.

Jak widać, rozwarstwienie zarobków w Polsce wygląda podobnie jak w Niemczech (ale oczywiście nie ich wysokość), daleko nam od nierówności amerykań-

ROZWARSTWIE NIE DOCHODOWE W POLSCE

Społeczeństwo podzielono na pięć równych grup.

Q1, czyli pierwszy kwintyl to 20 proc. najmniej zarabiających obywateli. **Q5** to 20 proc. obywateli, którzy zarabiają najwięcej. Numeracja kwintyli rośnie od najbiedniejszych do najbogatszych. Na wykresie podano udział poszczególnych grup w dochodzie narodowym.



Źródło: World Income Inequality Database

Udział poszczególnych grup zarobkowych w dochodzie narodowym

| INTERIA.PL

skich i odrobinę bliżej do szwedzkiego egalitaryzmu. Ale też wciąż rozwarstwienie dochodowe kształtuje się u nas powyżej średniej unijnej. Mniejsze nierówności mają choćby takie państwa jak Holandia, Francja, Węgry, Austria, Czechy czy Słowacja, a także, ma się rozumieć, Dania i Finlandia.

Jest też dobra wiadomość – według naszych rozmówców nierówności dochodowe w Polsce nieco maleją, a to za sprawą konsekwentnego spadku bezrobocia od czasu wejścia do Unii Europejskiej.

Nie ma się więc czym przejmować? Nie tak prędko. Polska wciąż jest krajem bogacącym się dzięki taniej sile roboczej i dopuszczającym klasę niższą i średnią do podziału tortu w znacznie mniejszym stopniu niż choćby nasi południowi sąsiedzi czy bratankowie z Węgier. Nie ma co osiadać na laurach – nie dlatego, że tak głosi wyświechtane powiedzenie, tylko dlatego, że o żadnych laurach nie może być mowy.

NIERÓWNOŚCI MAJĄTKOWE

Z rozwarstwieniem majątkowym jest w Polsce dokładnie na odwrót niż z dochodowym: jest ono dużo niższe niż na Zachodzie, ale też rośnie i będzie rosnąć.

– U nas nierówności majątkowe sytuują się na dość niskim poziomie w porównaniu do innych krajów europejskich. To wynika z faktu, że mieliśmy socjalizm, w którym majątki były odbierane. Dopiero teraz dosyć szybko się zaczęły się akumulować i ta nierówność majątkowa będzie rosła. Póki co, największe majątki w Polsce są dziesiątki, setki razy mniejsze niż w wysoko rozwiniętych krajach zachodnich. Dlatego nierówności majątkowe są u nas relatywnie niewielkie, ale one się powiększają – komentuje dla Interii ekonomista dr hab. Michał Brzeziński z Uniwersytetu Warszawskiego.

Do tej pory jedynym kompleksowym badaniem dotyczącym nierówności majątkowych w Polsce był raport *Zasobność gospodarstw domowych w Polsce z 2014 roku*, wydany przez Narodowy Bank Polski.

Co z tego raportu wynika? Znowu odwołajmy się do podziału tortu: 10 proc. najbardziej zasobnych gospodarstw domowych w Polsce posiada 37 proc. całkowite-

go majątku netto naszego kraju, podczas gdy w rękach najbiedniejszych 20 proc. społeczeństwa znajduje się tylko 1 proc. majątku.

Majątek netto to wartość posiadanych przez nas samochodów, mieszkań, oszczędności itd. pomniejszona o nasze długi – przede wszystkim kredyty. Dlatego też majątek netto aż 12 proc. Polaków jest zerowy, bądź ujemny.

Jeden procent najmniej zasobnych gospodarstw domowych jest „poniżej kreski” przynajmniej o 4,5 tys. zł. Z kolei majątek 1 proc. najbogatszych gospodarstw wynosi więcej niż 2,8 mln zł.

A jak to wygląda na Zachodzie, skoro tam rozwarstwienie majątkowe jest jeszcze większe? Przypomnijmy, w Polsce górne 10 proc. posiada ok. 37 proc. całkowitego majątku. Na Zachodzie jest to z reguły powyżej 50 proc., w Szwecji – blisko 60 proc., w Wielkiej Brytanii 70 proc., w Stanach – 76 proc.

BRAK MECHANIZMÓW HAMUJĄCYCH

Wszystko jednak wskazuje, że te różnice będziemy nadrabiać. Majątki wytworzone w latach 90. jeszcze nie napęcznieły, jeszcze nie przynoszą takiej renty jak na Zachodzie, jeszcze nie przeszły z pokolenia na pokolenie. Ale to będzie się działo.

Tym bardziej, że w Polsce brakuje mechanizmów, które mogłyby zahamować rosnące rozwarstwienie.

Wprowadzie znaczącą zmianę przyniósł program 500 plus, który, jak wskazuje Bank Światowy czy Główny Urząd Statystyczny, wydatnie przyczynił się do poprawy sytuacji biedniejszych rodzin wielodzietnych, ale samo 500 plus nie zapobiegnie odrywaniu się najbogatszych od reszty społeczeństwa.

– No ogół nie zdajemy sobie sprawy, że polski system podatkowy jest degressywny, tzn. im ktoś jest bardziej bogaty, tym mniejsze, proporcjonalnie, podatki płaci. System podatkowy nie niweluje nierówności – uważa prof. Garbicz.

Nie należy tutaj kierować się nominalnymi stawkami podatkowymi. Jeden z najbogatszych Polaków wyznał nie tak dawno w przyпіływie szczerości, że jako prezes nie płaci 32-proc. podatku dochodowego, tylko „spółka zleca mu zarządzanie firmą”, co pozwala odprowadzać znacznie niższe podatki.

Prezesi nie tylko pracują na śmieciówkach, ale i mają wybitnych prawników, które specjalnie dla nich zajmują się „optymalizacją podatkową”. A biorąc jeszcze pod uwagę, że, jak wykazywał francuski ekonomista Thomas Piketty, dochody z kapitału rosną szybciej niż dochody z pracy (raz zgromadzony majątek sam na siebie zarabia), to nie ma innego scenariusza dla Polski, jak znacznie szybsze bogacenie się najbogatszych.

Z powyższych powodów nierówności majątkowych w Polsce nie należy rozpatrywać na podstawie obecnego ich stanu, ale raczej pod kątem pułapu, do którego zmierzamy – czy będzie to pułap bliższy szwedzkiemu czy może brytyjskiemu.

NIERÓWNOŚĆ SZANS

Nierówności dochodowe i majątkowe można ładnie policzyć, porównać i przeanalizować, ale jest jeszcze trzeci rodzaj nierówności, o którym nie można zapominać: to nierówność szans.

Co ważne, problem nierówności szans dostrzegają zarówno liberałowie, jak i egalitaryści. Chodzi o to, by szanse na sukces pojawiały się niezależnie od miejsca urodzenia, zasobności rodziców czy płci i wynikały bezpośrednio z talentu, pracy i przedsiębiorczości.

– Prawie wszyscy akceptują ideał równości szans, tylko problem w tym, że jest on czasem różnie rozumiany. Jeżeli się jednak pokaże, że szanse na sukces są nierówne, to pojawia się pole, by różne strony sporu polityczno–ekonomicznego się zgodziły, że trzeba ten rozkład korzyści ekonomicznych korygować, żeby zwiększyć równość szans – uważa dr Michał Brzeziński.

W Polsce o równości szans mowy być nie może.

– W różnych badaniach okazuje się, że od 15 do aż 50 proc. istniejących nierówności pochodzi od okoliczności niezależnych od nas – wskazuje dr Brzeziński.

Trzeba też mocno podkreślić, że nierówność szans jest ściśle powiązana z nierównością dochodową i majątkową – jako przyczyna i zarazem skutek.

Dość powiedzieć, że nie ma państwa, w którym mielibyśmy do czynienia z wysokim poziomem rozwarstwienia dochodowego i majątkowego, a jednocześnie moglibyśmy mówić o równych szansach.

Rosnące nierówności dochodowe niemal automatycznie powodują utratę szans dla kolejnych grup społecznych.

Przykłady? Dziecko lepiej zarabiającego rodzica może zyskać przewagę np. uczęszczając na kurs językowy; zdolny licealista z małego miasteczka nie pojedzie na studia do Warszawy, bo jego rodzice nie będą w stanie udźwignąć kosztów utrzymania; „golec” z fantastycznym pomysłem na biznes nie zawsze dostanie szansę (kredyt), by go zrealizować, a w tym czasie dziedzic fortuny cztery razy doprowadzi swoje firmy do bankructwa i nadal będzie uchodził za genialnego biznesmena. Ponadto najbogatsi dysponują niebagatelnym kapitałem wpływów i znajomości – rzecz nie do przecenienia, dodatkowo potęgująca nierówność szans.

NIEDOBÓR DANYCH

Badający nierówności w Polsce naukowcy skarżą się, że pracują na szczątkowych danych. Rozwarstwienie szacowane jest na podstawie badań ankietowych, a przecież badani nie zawsze mówią prawdę, mogą być też źle dobrani, jeśli chodzi o ich reprezentatywność.

Tymczasem ekonomiści z innych krajów otrzymują oficjalne dane z fiskusa. Polskie Ministerstwo Finansów nie udostępnia jednak liczb, które pozwoliłyby oszacować rozwarstwienie dochodowe.

Nie mówiąc już o tym, że na temat rozwarstwienia majątkowego dysponujemy jednym wiarygodnym badaniem. Dlatego nasi rozmówcy podkreślają, że w stosunku do Zachodu nauka o nierównościach w Polsce jest w powijakach.

JAK SIĘ ZABRAĆ DO ZMNIEJSZANIA NIERÓWNOŚCI

Nie jesteśmy skazani na bycie wyłącznie widzami w spektaklu powiększających się nierówności. Choć logika samego kapitalizmu prowokuje ich narastanie, to państwa, a więc sami obywatele, dysponują narzędziami, które pozwalają korygować kurs i nie dopuścić, by okręt nie zderzył się ze skałą napięć społecznych.

Takim narzędziem jest wspomniana już polityka podatkowa. Państwa nordyckie znane są z progresywnych podatków – zarobki powyżej określonych pułapów

opodatkowane są według wyższych stawek. To wiąże się również z niskimi podatkami dla mniej zarabiających i wysoką kwotą wolną od podatku. Taki mechanizm nie tylko hamuje wzrost nierówności, ale i znacząco zwiększa wpływy do budżetu, a więc, przy dobrym, mądrym zarządzaniu, przyczynia się do lepszej ochrony zdrowia, infrastruktury czy edukacji, umożliwia transfery socjalne, a także wspieranie biedniejszych regionów kraju, co z kolei niweluje nierówność szans.

Płaca minimalna to bodaj najbardziej oczywiste z narzędzi zmniejszających rozwarstwienie dochodowe. Praktyka pokazuje, że warto ją sukcesywnie podnosić wbrew protestom przedsiębiorców. Za każdym razem straszą oni, że podniesienie płacy minimalnej spowoduje plagę bezrobocia i upadek firm. Tymczasem choćby na polskim przykładzie widzimy, że podniesienie płacy minimalnej nie zwiększyło bezrobocia, przyczyniło się natomiast do wzrostu konsumpcji, dzięki czemu firmy mogą produkować więcej i się rozwijać. Na marginesie: jeśli firma upadnie, bo nie jest w stanie zapłacić 100 złotych więcej najgorzej zarabiającym pracownikom, to może nie warto płakać nad Januszem biznesu, który minął się z powołaniem?

Nad nierównościami majątkowymi można z kolei zapanować, opodatkowując spadki czy same majątki – ale i tu trzeba uważać, by nie uderzać w klasę średnią i klasy niższe. Należy unikać sytuacji, gdy ktoś np. dziedziczy dom rodzinny, ale musi go sprzedać, bo nie jest w stanie odprowadzić podatku spadkowego od jego wartości.

Spółeczeństwu na dobre wyjdzie również opodatkowanie zysków kapitałowych czy spekulacji. Nie uderzy to w pracujących, a jedynie ograniczy nieco sektor finansowy, który i tak rozrósł się do rozmiarów zagrażających stabilności światowej gospodarki.

Państwa muszą także zmierzyć się z problemem rajów podatkowych, do których wyprowadzane są zyski wypracowane **m.in.** w Europie. Mówimy o 7–8 bilionach dolarów! Wymaga to ścisłej międzynarodowej współpracy – pierwsze kroki są już ku temu czynione, ale należy pamiętać, że z rajów podatkowych korzystają największe i najbardziej wpływowe koncerny na świecie, które nieraz już torpedowały niekorzystne dla siebie legislacje. Bez ukrócenia rajów podatkowych nie mamy

nawet co marzyć o egalitaryzmie.

W debacie publicznej nad nierównościami pojawiają się również idee jeszcze śmielsze, takie jak bezwarunkowy dochód podstawowy, spadek powszechny czy państwowy, dziecięcy fundusz powierniczy. Wszystkie te pomysły wychodzą z jednego założenia: skoro państwo się bogaci, to dlaczego z owoców mają korzystać tylko nieliczni?

WYBIERZMY SOBIE PRZYSZŁOŚĆ

Po latach 90., w których ton nadawali liberałowie i prezentowany przez nich darwinizm społeczny (neoliberalna filozofia promowała myślenie „bieda to kara za brak pracowitości”), nastąpiła wyraźna korekta kursu. Władzę w Polsce przejęło środowisko, które stara się dowartościować przegranych transformacji i które zaryzykowało gigantyczny transfer socjalny w postaci 500 plus. Ale korekta miała miejsce już wcześniej, gdy Donald Tusk zaczął odchodzić od swoich liberalnych korzeni, koalicja podnosiła płacę minimalną, a sam Tusk wyznał w pewnym momencie, że jest „trochę socjaldemokratą”. Jednocześnie ta zmiana jest chaotyczna i niepełna. To przecież Tusk przyłożył rękę do „uśmieciowienia” rynku pracy, a pierwszy rząd PiS obniżył górną stawkę podatkową z 40 do 32 proc. Z kolei obecny rząd, znany przecież z hiperaktywności, wcale nie pali się, by majstrować przy podatku dochodowym, choć aż prosi się o jak największą kwotę wolną od podatku w zamian za podniesienie górnej stawki; mile widziane przez finanse publiczne byłoby także ukrócenie prezesowskich „śmieciówek” i samozatrudnienia top menedżerów. Nie mówiąc o ukróceniu śmieciówek w ogóle.

Wydaje się jednak, że zrobiliśmy pierwszy, cokolwiek nieśmiały krok w stronę modelu egalitarnego. Zawracamy czy idziemy dalej?

ZOBACZ W INTERNECIE >



Abstynencja nie jest już jedynym sposobem na pokonanie uzależnienia

| Piotr Jędzura, Reporter

„Chcę pić, ale tak normalnie”

Łukasz Szpyrka

– Przychodzi do mnie człowiek i mówi, że „chce pić, ale tak normalnie”. Bardzo często ludzie używają takiego określenia. Dodają, że chcą się zachowywać jak pozostali – pójść na imprezę, wypić dwa piwa, poczuć się dobrze i wrócić do domu. Taka osoba nie chce abstynencji, ale chce kontrolować to, co robi, gdy pije. To dla niej jest program ograniczania picia – o szerzej nieznanym rozwiązaniu w leczeniu uzależnienia od alkoholu opowiada Barbara Wojewódzka, specjalista psychoterapii uzależnień.

ŁUKASZ SZPYRKA, INTERIA: Długo mówiło się, że jedynym sposobem na rozwiązanie problemu alkoholowego jest abstynencja. Pani zna inne rozwiązania. Czym są programy ograniczania picia i redukcji szkód?

BARBARA WOJEWÓDZKA, specjalistka psychoterapii uzależnień, założycielka Pracowni Terapeutycznej Jednia w Gnieźnie: – Mogę mówić jedynie o swoim doświadczeniu i praktyce. Swego czasu, przez 10 lat, pracowałam w Krakowie. W ośrodku nie było jeszcze programu ograniczania picia, ale było coś podobnego – program redukcji szkód, choć jeszcze wtedy tak się nie nazywał. Był skierowany do osób, które wielokrotnie próbowały utrzymać abstynencję, ale im się nie udało. Dla tych, którzy mieli problem z lokalnym otoczeniem, bo po powrocie do domu znów pili z kolegami z podwórka. Te osoby znajdowały się w programie, który dziś nazywa się „redukcją szkód”. Mieliśmy takie przeświadczenie, że dla takich ludzi jest ratunek – nie przez abstynencję, ale przez ograniczenie możliwych szkód po spożyciu alkoholu. Mieliśmy wówczas informację zwrotną, że nasze działanie jest skuteczne.

– Teraz, od kilku lat, w różnych miejscach w Polsce, wprowadza się programy redukcji szkód i ograniczania picia. Środowisko terapeutyczne bardzo ostrożnie do tego podchodzi. Nadal dominuje abstynencja, bo większość pracowników była szkolona w czasach, gdy celem i warunkiem terapii była abstynencja. Tacy terapeuci przyzwyczaili się, że osobie uzależnionej można zaoferować tylko takie rozwiązanie. Zresztą, proszę spojrzeć, jeszcze niedawno używało się na dużą skalę słowa „alkoholik”, ale przecież nie ma takiego medycznego określenia. Można powiedzieć „osoba uzależniona od alkoholu” – przecież zupełnie inaczej to brzmi, dużo lepiej. Część osób tego nie chce, tak jak i nie chce przychodzić na grupy terapeutyczne, na mityngi, całkowicie zrezygnować z alkoholu. To dla nich trudne, bo grupy wymagają mówienia o sobie, o bardzo osobistych sprawach. I takiemu podejściu wychodzi naprzeciw program ograniczania picia.

Który jest oferowany tylko w 24 ośrodkach w Polsce. To mało.

– Jeśli statystycznie przypadałoby na województwo 1,5 ośrodka, który oferuje ten

program, to nie byłoby źle. Większość moich pacjentów nie myśli w ogóle o abstinencji. Jeśli mówią, że zgadzają się na abstinencję, to tylko dlatego, że jest to „poprawne politycznie”. Niektórym jest to potrzebne m.in. do otrzymania zaświadczenia dla pracownika socjalnego, kuratora sądowego, komisji ds. rozwiązywania problemów alkoholowych, jest warunkiem np. przy zawieszonych karze pozbawienia wolności. Są też inne powody, które takiemu pacjentowi po prostu się opłacają.

Na czym polega więc program ograniczania picia?

– Najpierw zgłaszamy się do poradni, w której jest POP (program ograniczania picia – przyp. red.). Umawiamy się na wizytę, rozmawiamy z terapeutą. Do POP kwalifikowani są ci, którzy nie mają tak bardzo głębokiego uzależnienia. W tej chwili uważnie się to diagnozuje szczegółowymi pytaniami. Głównie są to ludzie młodszy, którzy jeszcze nie weszli na „wyższy poziom zaawansowania” picia. Przede wszystkim jednak muszą to być ludzie, których celem jest ograniczenie i kontrolowanie picia. Wielu ma natomiast przeciwwskazania zdrowotne. Zakwalifikowany na każde zajęcia musi przychodzić trzeźwy. Program ograniczania picia nie oznacza, że na zajęcia z terapeutą można przyjść np. po dwóch piwach. Terapia zazwyczaj trwa kilka tygodni, najczęściej 8–12. Spotkania mają różny charakter, grupowe i / lub indywidualne. Pacjent dostaje też dużo zaleceń do domu, by ograniczyć spożywanie alkoholu.

Jakich?

– Taka osoba nie powinna na przykład pić w miejscach, w których wcześniej piła nadmiernie. Inne zalecenie to unikanie znajomych, którzy nadużywają alkoholu. Sugeruje się też, by nie nosić ze sobą zbyt dużo pieniędzy. Zaleca się, by pacjent ustalał sobie limit drinków do wypicia, pił alkohole niskoprocentowe. Wszystkie limity ustalane są indywidualnie w trakcie terapii. To bardzo trudna technika, bo taka osoba będzie w sumie cały czas koncentrować się na alkoholu. Musi pamiętać, że jest cel, by się nie upić, by kontrolować spożycie, by nie przekroczyć bezpiecznych limitów.

Jakie to limity?

– To standardowe limity stworzone przez WHO. Są inne dla kobiet i mężczyzn. Mężczyzna, który pije okazjonalnie, nie powinien jednorazowo wypić więcej niż trzy półlitrowe butelki piwa lub 200 ml wódki. Tak naprawdę to nie jest dużo. Proszę zwrócić uwagę, że w trakcie oglądania meczu często mężczyzna wypija tego piwa więcej. Gdy pije kilka razy w tygodniu, limity już są inne. Nie da się jednak stworzyć archetypowego uczestnika programu. Bo np. można wypić dwa piwa dziennie, ale taki człowiek nie powinien pić od rana. Pomiędzy każdą ilością wypitego alkoholu powinien wypić napój bezalkoholowy, zrobić dwa dni przerwy w piciu (najlepiej jeden po drugim). Technik i zaleceń jest bardzo dużo. Często się udaje. Kiedy takim ludziom proponuje się abstynencję, to nie wykazują zainteresowania. Taki człowiek może potem zmienić swój cel i ostatecznie zmierzyć się z abstynencją.

Co powinno być finałem takiej terapii?

– Ograniczenie picia do takiego stopnia, by alkohol nie zakłócał sposobu życia. Pod każdym względem – zdrowia, relacji prywatnych, relacji zawodowych. Żeby pacjent pił w sposób, który mu nie szkodzi.

Nie zawsze jednak udaje się nauczyć tego w trzy miesiące.

– Ten program na początku jest intensywny, ale potem taki pacjent ma indywidualny kontakt z terapeutą. Później ćwiczy swoje możliwości i wciąż się uczy. Są to często zajęcia z komunikacji, asertywności. Bardzo ważne są też sesje rodzinne, by rodzina przynajmniej w 1–2 spotkaniach wzięła udział. W każdym programie jest to ważne, by bliscy wiedzieli, o co chodzi. Nie jest to łatwe, ale bardzo ważne. Czasem jest tak, że rodzina dopiero wtedy dostaje pierwsze rzeczowe odpowiedzi. Ma okazję zadawać pytania.

Bardzo konkretny przykład: idę na wesele. Widzę na stołach mnóstwo butelek wódki. Jak będę się zachowywał po ukończeniu terapii?

– Odpowiedź nie jest zerojedynkowa. Osoby będące w terapii często najpierw dokładnie rozważają, czy w ogóle na takie wydarzenie pójść. Dlatego, że jest to sytuacja wysokiego ryzyka. POP zakłada, że dana osoba będzie omijała miejsca, w których jest narażona na picie większej ilości alkoholu. Czasami jest tak, że ci ludzie sami rezygnują z takiego wesela, jeśli to jest możliwe. Będą brali pod uwagę różne warianty, a decyzję podejmą sami. Jeśli ktoś rozpoczyna terapię, która trwa maksymalnie trzy miesiące, a później decyduje się na taką imprezę, musi liczyć się z tym, że będzie mu bardzo trudno. Może być tak, że nie da rady cały czas skupiać się na kontrolowaniu ilości i częstotliwości podnoszenia kieliszków. Jeśli jeszcze usiądzie obok takich, którzy namawiają, może się wszystko skończyć klapą. Zwyczajnie może to być wielka porażka.

Czyli przesadzi i zacznie pić do końca?

– Może tak to wyglądać.

Czym różni się program ograniczania picia od programu redukcji szkód?

– Redukcja szkód to propozycja dla tych, którzy wielokrotnie byli w terapii i wciąż mają problem z utrzymaniem abstynencji. Wciąż dają się namówić, ale mimo wszystko dążą do zmiany. Redukuje się szkody, że krócej pije, mniej intensywnie. Grupy często mają charakter grup wsparcia. Wszystkie starania mają zadbać o stronę socjalną, zdrowotną.

– Ograniczanie picia samo w sobie redukuje szkody. Pokazują to badania. Na poziomie formalnym uczestnicy programu POP inaczej funkcjonują niż ci, którzy są w programie redukcji szkód. Zazwyczaj to młodzi ludzie, dobrze funkcjonujący w społeczeństwie, mający wsparcie, aktywni zawodowo. Można więc powiedzieć, że ci na redukcji szkód są „bardzo zaawansowani”, a ci z POP są „mniej zaawansowani”.

Gdy opowiada pani znajomym o POP, zająwiają się tym pomysłem?

– Często wywołuje to duże kontrowersje. Pytają: „No jak? Będzie chodził na terapię i pił alkohol?”. „No tak, właśnie tego ma się nauczyć” – odpowiadam. Jest część osób, które jeszcze nie są uzależnione od alkoholu. Jeszcze. Może to być młoda osoba, która pije w sposób szkodliwy, bo wpływa to na jej funkcjonowanie, ale nie ma objawów uzależnienia. Jeśli dalej będzie ryzykować, to może się to skończyć uzależnieniem. Taka osoba sama chce nauczyć się, jak kontrolować picie. Dla młodych ludzi to gehenna, gdy słyszą: „Jest pan uzależniony. Musi pan przestać pić”. Przecież są po 20. roku życia, a w tym wieku idzie się na imprezę, a alkohol stanowi część takich wydarzeń. A tu nagle, często w wieku 22 lat, masz pogodzić się z tym, że do końca życia nie będziesz pić. Gdy taki młody człowiek usłyszy te słowa, to znika z terapii. Zresztą, wielu późniejszych pacjentów wspomina, że nie pamiętają pierwszej diagnozy – dla tych ludzi to gigantyczny stres.

– Jeśli terapeuta potrafi słuchać, rozpoczyna rozmowę z pacjentem. Ten mówi, że „chce pić, ale tak normalnie”. Bardzo często ludzie używają takiego określenia. Dodają, że chcą się zachowywać jak pozostali – pójść na imprezę, wypić dwa piwa, poczuć się dobrze i wrócić do domu. Taka osoba nie chce abstynencji, ale chce kontrolować to, co robi, gdy pije. I wtedy taki pacjent słucha tego, co terapeuta ma do powiedzenia. Słucha, bo go to interesuje. Pacjent mówi o tym, czego potrzebuje, a my terapeuci jesteśmy po to, by z nim to przegadać, zweryfikować możliwości i ewentualnie pomóc. Nie możemy dyrektywnie oceniać, co jest dobre, a co złe.

W świadomości ludzi istnieje przekonanie, że jedynym rozwiązaniem w walce z uzależnieniem od alkoholu jest abstynencja. Jak się okazuje, są inne opcje.

– Dla wielu sposobem na ratowanie życia jest po prostu abstynencja. Alkohol działa na tych ludzi tak destrukcyjnie, że często abstynencja jest dla nich jedyną możliwą formą. Gdy przychodzą na terapię słyszą najpierw diagnozę, która okazuje się dla nich przerażająca. Moje doświadczenie pokazuje, że ludzie przychodzący do terapeuty oczekują informacji, że nie jest tak źle, że coś jeszcze da się zmienić.

Najczęściej słyszą, że mają objawy uzależnienia od alkoholu i w ich konkretnym przypadku zalecana jest abstynencja. Ale co to takiego? Abstynencja oznacza „nic”, więc sformułowanie „całkowita abstynencja” jest kompletnie nietrafione.

– Miałam kiedyś na terapii wybitnego naukowca, z którym dużo rozmawiałam. Mówił, że rozumie, że abstynencja oznacza całkowite wycofanie spożywania alkoholu. Z tym że dla niego osobiście picie piwa nie jest łamaniem abstynencji, ponieważ piwa nie uważał za alkohol. Było dla niego napojem chłodzącym.

Jaka była pani odpowiedź?

– Nie mówiłam, że się myli, bo w stereotypach większość ludzi uzależnionych nie traktuje piwa jako alkohol. Większość moich pacjentów jest zdania, że tylko to, co ma powyżej 40 proc. można uznać za alkohol. Więc co mogłam mu powiedzieć? Zdanie „piwo to nie jest alkohol”, niesie ze sobą emocje. Wmawiający to sobie czuje ulgę, że może się napić piwa do posiłku, po posiłku, przy oglądaniu meczu. Jeden pije napój energetyzujący, a inny piwo. Zresztą kolejny mit to stwierdzenie, że „nic tak nie gasi pragnienia jak piwo”. Nie trzeba być terapeutą, by słyszeć takie zdania.

To jednak terapeuci słyszą słowa: „Chcę zmienić swoje życie, ale nie chcę rezygnować z alkoholu”. Jakich odpowiedzi mogą spodziewać się pacjenci?

– Różnych, bo to zależy od ośrodka i terapeutów. Do niedawna w Polsce funkcjonowała wyłącznie abstynencja, jako jedyna oferta radzenia sobie z problemem alkoholowym. Teraz to się zmieniło.

Zdarza się, że niektórym pacjentom na pierwszej wizycie mówi pani:

„Wszystko z tobą w porządku. Wracaj do domu, do rodziny”?

– Zdarza się, ale bardzo rzadko. Jeśli nie ma dla mnie jednoznacznych objawów uzależnienia, co często dotyczy ludzi młodszych, kobiet lub osób, które piją alkohol w sytuacji wyjątkowo stresowej, traumatycznej. W takich przypadkach diagnozuję bardzo ostrożnie. Jeśli na karcie choroby takiego pacjenta wpiszę „zespół zależ-

ności od alkoholu”, często ma to ważne konsekwencje i będzie praktycznie nie do zmiany. Po prostu nikt nie podważy diagnozy specjalisty i jedynie w tym kierunku będzie prowadzone leczenie pacjenta. Każdy następny lekarz lub terapeuta, nawet jeśli coś mu nie będzie pasować, będzie brał pod uwagę tę diagnozę. Trzeba więc bardzo powściągliwie je stawiać. Może być tak, że taka osoba pije, z tego co mówi wygląda na osobę uzależnioną, bo np. traci kontrolę nad piciem albo raz mu się udaje kontrolować samego siebie, a raz nie, ale w takim wypadku zamiast utraty kontroli ma upośledzenie kontroli. Mówi, że na drugi dzień nie poszedł do pracy, bo bardzo źle się czuł, opisuje objawy. Mówi, że przestał interesować się swoimi pasjami, które jeszcze niedawno były ważne, a teraz przestały.

– Kiedy się tego słucha, to zgodnie z klasyfikacją ICD–10, można sklasyfikować uzależnienie od alkoholu. Klasyfikacja przedstawia sześć objawów, a jeżeli przynajmniej trzy z nich wystąpiły w ostatnim roku picia, to sprawa powinna być jasna. Kontekst zmienia jednak rozpoznanie. To były np. osoby, które miały traumatyczne przeżycia, a alkoholem leczyły objawy cierpienia. Spokojniejsze diagnozowanie pokazuje inny obraz takiego człowieka. Nie zawsze tacy ludzie są uzależnieni, a może wystarczyć terapia psychologiczna.

Co stoi na przeszkodzie, by programy takie jak POP stały się powszechniejsze?

– Większa otwartość terapeutów na ich realizację. Od nas, terapeutów zależy, czy chcemy oferować takie usługi naszym pacjentom. Gdyby w małych poradniach pojawiły się informacje na temat POP, to przypuszczam, że wiele osób chciałoby się chociaż dowiedzieć, na czym on polega. W tym wszystkim ogromnie ważny jest tzw. model zmiany zachowań. Uwzględnia się w pracy z pacjentem etap procesu zmiany. Bardzo często przychodzą do terapeuty pacjenci, którzy są na etapie zaprzeczania. Nie widzą nic złego, a widzi to ich otoczenie. Jeśli taki człowiek przychodzi i słyszy, że jest uzależniony, musi zaprzeczyć. Nie ma innej opcji. Gdyby jednak terapeuta zasiał w nim niepewność, jak on widzi swoje picie, wzbudził w nim emocje i nie naciskał, to być może ten pacjent przeszedłby do drugiego etapu, czyli kontemplacji. Żeby zasta-



Barbara Wojewódzka
| (archiwum prywatne)

nowił się, że być może coś z jego piciem jest nie tak. Ktoś, kto zaczyna to rozważać, to wtedy łatwiej przyjmie informacje na temat oferty. I niech sam przyjmie to, czego chce. Terapeuta ma tylko przedstawić propozycję, a później starać się mu pomagać. Nawet jeśli widzimy, że dany program nie jest dla niego, niech to on zdecyduje. Jeśli nawet będzie chciał przerwać terapię, niech tak będzie, bo decyzja należy do niego i musimy mu to umożliwić. Z jednego prostego powodu – należy mu się szacunek jako człowiekowi.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Figurki z Ćmielowa to najpiękniejsze polskie bibeloty

| East News

Pięć hitów PRL-u, które wracają do łask

Gabriela Kurcz

Puste półki w sklepach, buty relaksy i szare, smutne ulice – oto z czym najczęściej kojarzy nam się epoka PRL-u. Czy słusznie? Wielbiciele dobrego wzornictwa i ponadczasowych projektów epokę PRL-u wspominają z żalem i nostalgią. To właśnie wtedy polscy twórcy osiągnęli coś, czym szczycimy się po dzień dzisiejszy – dogonili światową czołówkę.



NIKALNE PROJEKTY polskich projektantów lat 50. i 60. są dziś często na wagę złota, jednak jak przyznaje Ewelina Kowalczyk ze sklepu Rze3, warto pokusić się o weekendowe wypadki na targi staroci oraz czujnie śledzić, co ląduje na śmietnikach dużych osiedli. Można tam znaleźć perły polskiego dizajnu, które od kilku lat cieszą się ponownie ogromną popularnością i coraz częściej pojawiają się w mieszkaniach młodych Polaków, obok mebli rodem z Ikei. Oto pięć hitów PRL-u, które wróciły do łask i mają się całkiem nieźle!

TALERZE NA ŚCIANACH

To było prawdziwe szaleństwo! Wzorzyste talerze lądowały na ścianach i do dziś uważane są za jeden z symboli PRL-u. Te najpiękniejsze i najbardziej popularne pochodziły z Włocławka i do dziś znajdują się na liście pożądanych przez kolekcjonerów perełek tej epoki. Fajansowe talerze, najczęściej w odcieniach brązu i błękitu były ręcznie malowane, a wieszano je na kuchennych ścianach w przeróżnych kompozycjach.

Tradycja ich produkcji sięga aż 1873 roku, ale dopiero w PRL-u stały się one największą dumą gospodyń domowych. Panie z namaszczeniem wieszały je na ścianach – niektóre z nich były w posiadaniu naprawdę sporych kolekcji!

Fajansowe talerze wróciły właśnie do łask i coraz częściej zdobią ściany mieszkań współczesnych trzydziestolatków. W modzie są również tapety z motywem talerzy, ale przecież nic nie zastąpi oryginału...

FOTELE

Bezdiskusyjnie ikoną epoki PRL-u jest słynny fotel „366” autorstwa Józefa Chierowskiego. Projektant związany z Dolnośląską Fabryką Mebli w Świebodzicach zaprojektował go w 1962 roku – po kilku latach fotel był już obowiązkowym wyposażeniem każdego polskiego domu.

„366” charakteryzuje bardzo wygodne tapicerowane siedzisko i lekka forma. Miłośnicy mebli vintage i polskiego wzornictwa cierpliwie polują na oryginalne egzemplarze „Chierowskiego” – mebel przed renowacją można dziś zdobyć nawet za

kilkaset złotych. Cena rynkowa odnowionych foteli wynosi ok. 1000 zł za sztukę. „366” idealnie wkomponowuje się we wnętrza inspirowane stylem skandynawskim, doskonale prezentuje się również w towarzystwie innych perełek z lat 60. oraz słynnych przedstawicieli dizajnu duńskiego.

Ciekawostką jest fakt, że „Chierowski” wrócił do regularnej produkcji – obecnie produkuje go marka 366 Concept Design&Lifestyle – jednak co oryginał to oryginał, prawda?

MEBŁOŚCIANKI

Kto by pomyślał, że znienawidzona przez nasze babcie słynna meblościanka doczeka się wielkiego powrotu w mieszkaniach wnuków? Być może takie marzenie przyświecało Bogusławie i Czesławowi Kowalskim z Poznania, którzy zaprojektowali pierwszą polską meblościankę. Słynne małżeństwo architektów stworzyło mebel, który wielbicielom rodzimego dizajnu śni się dziś po nocach.

Meblościanka Kowalskich zadebiutowała w 1963 roku i szybko została wprowadzona do masowej produkcji stając się symbolem wielkiej, społecznej zmiany.



Meblościankę Kowalskich można dziś zobaczyć w Muzeum Narodowym w Krakowie

| East News

Polacy opuścili stare kamienice i podupadające domy i przenieśli się do mieszkań w nowoczesnych blokach z wielkiej płyty, tam jednak napotkali jeden podstawowy problem – brak miejsca. Była prosta, zgrabna i ergonomiczna – wręcz stworzona do polskich mieszkań epoki PRL-u. W latach siedemdziesiątych zastąpiono ją niestety ciężką, wysoką pod sam sufit i wykończoną również na wysoki połysk meblotą, której daleko było do swojej starszej siostry. Słynny mebel Kowalskich to dziś prawdziwa gratka – jego ceny sięgają nawet 5 000 zł (przed renowacją).

FIGURKI Z ĆMIELOWA

Można spokojnie zaryzykować stwierdzenie, że Polacy od zawsze kochają figurki z Ćmielowa. Trudno się dziwić – pełne uroku i gracji projekty to chyba najpiękniejsze polskie bibeloty! W latach 60. można je było spotkać prawie w każdym polskim domu. Ówczesni projektanci udowodnili, że zwykła porcelanowa figurka może być prawdziwym dziełem sztuki – mieli rację, dziś wielbicie polskiego dizajnu polują na nie jak na najprawdziwsze białe kruki.

Słynny na cały świat serwis „Dorota”, nazywany „serwisem idealnym” to przykład projektu, który uwzględniał prawa mechaniki, cechy fizyczne płynów i ergonomię. W Paryżu został nagrodzony złotym medalem i zachwycił samego Philipa Rosenthala! Obecnie dostać go można za ok. 5 000 zł. Ćmielów to również słynne grzybiarki, tancerki i zwierzątka, których kształty zachwycają po dziś dzień.

DYWANY

Dywany wracają do łask – to wiemy od dawna, ale to, że hitem są dziś oryginalne dywany z PRL-u to już spora niespodzianka! Wzorzyste, kolorowe tkaniny były obowiązkowym wyposażeniem mieszkań naszych dziadków i wbrew pozorom był to w pewnym okresie towar luksusowy. By słynny turecki dywan mógł pojawić się w mieszkaniu, trzeba było nierzadko spędzić w kolejce nawet kilkadziesiąt godzin.

Dywany z PRL-u ogrywa się we współczesnych wnętrzach na kilka sposobów – można je nawet zobaczyć w kuchniach. Trzeba jednak przyznać, że słynny „turek” prezentuje się najlepiej w minimalistycznych wnętrzach w stylu skandynawskich lub „u siebie” – najlepiej w tradycyjnym mieszkaniu babci.

CI,

KTÓRYCH

PODZIWIAMY



Adam Bielecki

| fot. Mieszko Stanislawski, East News

Adam Bielecki: nie jestem już nieśmiertelnym nastolatkiem

Dariusz Jaroń

Kiedyś wbijałem się w ścianę w Tatrach i mając do wyboru biwak bez sprzętu i śpiwora na półce skalnej, byle rano zrobić jeszcze dwie długości liny i zaliczyć zrobioną drogę, lub powrót do schroniska, nocowałem na ścianie. Teraz zjechałbym i wrócił innego dnia – z himalaistą Adamem Bieleckim rozmawia Dariusz Jaroń.

JEST JEDNYM Z NAJBARDZIEJ utytułowanych i cenionych polskich wspinaczy. Brał udział w pierwszych zimowych wyprawach na ośmiotysięczniki Gaszerbrum I (8068 m n.p.m.) i Broad Peak (8051 m n.p.m.), latem zdobył m.in. szczyt K2 (8611 m n.p.m.) i Makalu (8481 m n.p.m.).

Spotykamy się w poniedziałkowy wieczór w kawiarni w rodzinnym mieście Adama Bieleckiego – Tychach (spotkanie odbyło się w listopadzie 2017 r. – przyp. red.). Rozmowa szybko schodzi na temat zbliżającej się wielkimi krokami polskiej wyprawy na niezdobyty dotąd zimą szczyt K2, drugą najwyższą górę świata.

DARIUSZ JAROŃ, INTERIA: Jak podchodzisz do K2 zimą?

ADAM BIELECKI: Z pokorą. K2 jest bardzo trudną górą. To drugi co do wysokości szczyt na Ziemi, ale dużo trudniejszy od Everestu. To nie jest góra, na którą można sobie wejść, trzeba się na nią wspiąć. Śmiem zaryzykować, że wierzchołek K2 zimą, nie licząc jakichś ekstremów typu wnętrze wulkanu czy dno Rowu Mariańskiego, to jedno z najbardziej nieprzyjaznych człowiekowi miejsc na naszej planecie.

Jakie warunki panują tam w zimie?

– Średnia temperatura waha się między 40 a 50 stopni Celsjusza poniżej zera, temperatura odczuwalna jest o wiele niższa, a wiatr może hulać nawet 400 km na godzinę. Oczywiście w takich warunkach nie ma mowy o wspinaniu, będziemy czekać na tak zwane okna pogodowe, o ile w ogóle nadejdą. To bardzo duże wyzwanie, jedno z największych współczesnego himalaizmu. Bardzo dużo będzie zależeć od przyjętej taktyki, zespołu, a na końcu – głównie od pogody.

Żaden człowiek na szczycie K2 w zimie jeszcze nie był. Jak przygotowujesz się do czegoś, czego nikt jeszcze nie dokonał?

– Robię to od dwudziestu kilku lat, bo całe moje dotychczasowe wspinanie jest przygotowywaniem pod kolejne wyprawy. Ciężko nawet odróżnić trening od samego wspinania, bo wspinanie jest treningiem, chociaż ostatnio to się u mnie zmieniło. O ile wcześniej nawet pół roku mogłem spędzać w górach, cały czas się

wspinając, obecnie więcej czasu poświęcam na trening na nizinach. O moją formę dba zespół specjalistów z „Formy na szczyt”. Trenuję pięć dni w tygodniu, taka codzienność zawodowego sportowca.

K2 zimą to taki święty Graal dla wspinaczy?

– Pewnie tak, natomiast świat na zimowym zdobyciu K2 się nie kończy.

Polski Himalaizm Zimowy – K2 to ostatni niezdobyty zimą ośmiotysięcznik i cel sportowy programu „Polski Himalaizm Zimowy im. Artura Hajzera 2016–2020”. Sukcesy polskich wspinaczy zimą w najwyższych górach świata mają bogatą historię, począwszy od wejścia na Mount Everest 17 lutego 1980 roku przez duet Leszek Cichy – Krzysztof Wielicki. Łącznie Polacy zdobyli zimą 10 z 14 ośmiotysięczników (jedna wyprawa polsko–włoska). Do zamknięcia tego rozdziału w historii himalaizmu pozostaje zdobycie piekielnie wymagającego K2.

Ale kończy pewną epokę. To ostatni ośmiotysięcznik do zdobycia w zimie.

– To prawda, ale nawet jeśli go zdobędziemy, to nadal będziemy mieli co robić. Żyję równocześnie innymi projektami wspinaczkowymi. Taką moją idee fixe jest poprowadzenie nowej drogi na jakimś ośmiotysięczniku. Dwa razy się nie udało, zamierzam próbować dalej. To rozpala moją wyobraźnię. Natomiast w wymiarze symbolicznym byłoby wspaniale, gdyby nam się udało. Polacy rozpoczęli erę zdobywania Himalajów i Karakorum zimą, i to zaczęli od mocnego akordu, bo od zdobycia Mount Everestu, gdybyśmy zamknęli ten rozdział historii, byłoby pięknie.

Z czego to wynika, że akurat Polacy są tak dobrzy zimą w najwyższych górach świata? Masz swoją teorię?

– W czasach złotej ery podboju Himalajów przez Polaków nie było mnie jeszcze na świecie, mogę tylko bazować na opracowaniach innych ludzi. Badacze problemu mają kilka odpowiedzi. Jedna z nich mówi, że gdy Polacy w końcu mogli wyjechać ze względów politycznych za granicę, to era pierwszych wejść w Himalajach i Karakorum była już zakończona. Między 1950 a 1964 rokiem zdobyto wszystkie ośmiotysięczniki. Polacy stanęli przed dylematem: co zrobić, żeby zapisać się w historii?

– I tu wchodzi drugi czynnik, mianowicie nasze małe, przepiękne Tatry. Latem nie są bardzo poważnym celem wspinaczkowym, ale w zimie nabierają charakteru wysokogórskiego. Brakuje tylko lodowców i szczelin, mamy natomiast inne atrakcje typu alpejskiego, czyli długie i trudne technicznie ściany, lawiny, pyłówki, długie podejścia. To świetna szkoła i ogródek, w którym wychowały się całe pokolenia wspinaczy. Z powodu charakterystyki Tatr, przejście zimą danej drogi zawsze było w Polsce cenione najwyżej. Było nawet takie powiedzenie w środowisku: a kto to



Chodzimy po górach, bo są.

| East News

zrobił zimą? Anegdota głosi, że przy rozmowie o Evereście takie pytanie rzucił Andrzej Zawada, późniejszy lider udanej wyprawy z 1980 roku na najwyższy szczyt Ziemi.

Wcześniej nikt nie wpadł na to, żeby zdobyć ośmiotysięcznik zimą?

– Każdy pomysł jest prosty, jak już ktoś na niego wpadnie. Zawsze było tak, że najpierw mieliśmy pierwsze wejście na dany szczyt, potem przejście kolejnych grani, coraz trudniejszych ścian i dróg i wreszcie pierwszą wyprawę zimą. Andrzej Zawada stwierdził, że ten sam schemat trzeba powtórzyć w górach najwyższych, chociaż sir Edmund Hillary, pierwszy zdobywca Everestu w 1953 roku, twierdził, że człowiek zimą nie jest w stanie przeżyć powyżej ośmiu tysięcy metrów. Mylił się. Poza tym sprzęt od jego czasów mocno się zmienił.

17 lutego 1980 roku na szczycie Mount Everestu – po raz pierwszy zimą – stanęli Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy. Jak świat wspinaczy zareagował na coś, co miało być niemożliwe?

– Na początku nie bardzo zareagował. Mam wrażenie, że międzynarodowa społeczność wspinaczkowa dopiero w XXI wieku zorientowała się, że wchodzenie zimą na ośmiotysięczniki jest ciekawą koncepcją, dlatego w latach 80. ubiegłego wieku mogliśmy sobie spokojnie kolekcjonować góry z zimowej korony Himalajów i Karakorum. Dopiero w XXI wieku konkurencja w postaci takich wspinaczy jak Simone Moro, Denis Urubko czy Alex Txikon nagle sprawiła, że te ostatnie niezdobyte jeszcze ośmiotysięczniki stały się bardzo łakomym kąskiem.

Również dla ciebie. Co cię do tego motywuje? Mówimy o dość ekstremalnym wykraczaniu poza strefę komfortu i bezpieczeństwa...

– Zbrodnią byłoby dla mnie sprowadzanie sensu mojego życia do kilku czynników. Tego się nie da tak spłycić. Jest cały szereg przyczyn i odpowiedzi. Bo to jest tak naprawdę pytanie o to, po co my chodzimy po górach? Co nas tam ciągnie? Jest parę zgrabnych odpowiedzi, które pomagają spławić natrętnego interlokutora.

Bardzo proszę.

– Chodzimy po górach, bo są. Można też powiedzieć, że jak ktoś ma jakąkolwiek pasję, to nie trzeba mu tego tłumaczyć, a jak nie ma, i tak nie zrozumie. To są oczywiście odpowiedzi wymigujące. Cała paleta czynników sprawia, że jeżdżę w góry i kocham wspinanie nie tylko w Himalajach, ale też w Rzędkowicach koło Zawiercia, z których wróciłem tuż przed naszym spotkaniem. Góry mają dla mnie wymiar estetyczny, duchowy, międzyludzki, fizyczny, sportowy... Wszystko to sprawia, że uważam, że wspinanie coś mi daje, że warto to robić pomimo tego, że jest niebezpieczne. Dla wielu ludzi jest to pewnie trudne do zrozumienia.

Dlatego prowokacyjnie pytam o motywacje. Często, gdy zdarza się wypadek w górach pojawiają się komentarze na jedną modłę: po co tam poszedł? Trzeba to widać wielu ludziom wyjaśnić...

– Nie ma we mnie już takiej potrzeby wyjaśniania, czy tłumaczenia się z tej pasji. Nie uważam też, że himalaizm jest superzajęciem i wszyscy powinni to robić. Jeżeli ktoś mi powie, że to jest kompletnie bez sensu, dobra, może i jest. Nie rób tego absolutnie, ale pozwól mi robić to, na co mam ochotę, skoro nikogo przy tym nie krzywdzę i robię to za prywatne pieniądze. To jest po prostu mój wybór.

Miałeś idoli?

– Od dziecka chciałem zostać alpinistą, dlatego moje dzieciństwo było pełne bohaterów wspinaczkowych. Inspiracją były książki, przygody wspinaczy... Cała litania nazwisk, nie sposób wymienić jedną osobę.

A styl? Ktoś szczególnie ci imponował?

– Na przykład Walter Bonatti czy z Polaków Wojtek Kurtyka. Zawsze imponował mi tym, że jest bardzo wszechstronnym wspinaczem. Jak na ówczesne czasy osiągał bardzo dobre wyniki we wspinaczce sportowej, ale też we wspinaczce na ośmiotysięcznikach, a jego osiągnięcia do dzisiaj się bronią. Autorytetem był dla mnie Artur Hajzer, uczyłem się od niego wysokogórskiego rzemiosła, dzięki niemu trafiłem też w najwyższe góry.

Nie wypominając wieku, bo jesteśmy z jednego pokolenia, masz 34 lata. Wśród topu himalaistów to niewiele. Przy swoim dorobku i doświadczeniu jesteś bardzo młodym człowiekiem.

– W Himalaje i Karakorum rzeczywiście trafiają najczęściej ludzie starsi ode mnie, ale nie ma reguł. Himalaizm to sport wytrzymałościowy. O ile z wiekiem siła maksymalna nam spada, to wytrzymałość wzrasta. Poza tym, poza wydolnością sportową, bardzo duże znaczenie odgrywa w wysokich górach głowa, doświadczenie, a tego z wiekiem przybywa. Na ostatniej wyprawie na Annapurnie spotkałem wspinacza o imieniu Rick. Ma 62 lata i udowadnia, że wiek to tylko metryka, i za każdym razem trzeba ją rozpatrywać indywidualnie, bo można się solidnie zdziwić.

Na przykład widząc ciebie, 17–letniego wówczas chłopaka, jak zdobywasz swój pierwszy siedmiotysięczny szczyt. Spotykasz tak młode osoby równie wysoko w górach, czy jednak byłeś ewenementem?

– To było możliwe tylko dzięki temu, że mam wyjątkowych i wspaniątych rodziców. Dorastaliśmy jeszcze w czasach, kiedy tej samodzielności dzieci dostawały więcej niż obecnie. Dziś rodzice bardziej chronią swoje dzieci. Piszą do mnie osoby w młodym wieku, że chciałyby zająć się poważniejszą wspinaczką.

Co im radzisz?

– Zawsze piszę: zapisz się na kurs skałkowy, kurs taternicki, idź do klubu, poznaj ludzi, czyli... zupełnie inaczej niż sam postąpiłem. Wypomniałeś mi wiek, i to teraz zabrzmi staro, bo chciałem powiedzieć, że za moich czasów początki wspinania wyglądały inaczej niż obecnie.

A gdyby dzisiaj napisał do ciebie 17–latek z zamiarem wdrapania się na siedem tysięcy metrów?

– Zapytałbym, jakie ma doświadczenie wspinaczkowe. Gdzie do tej pory był? Kiedy jechałem w 2000 roku na Chan Tengri wspinałem się już cztery lata, z czego od dwóch latem i zimą w górach. Zdobyłem trzy czterotysięczniki alpejskie, w tym

uchodzący za dosyć trudny i poważny Matterhorn, zrobiłem to samodzielnie, będąc pełnoprawnym członkiem zespołu. To już brzmi trochę inaczej, prawda? Z tych wszystkich księzek jako dzieciak wyczytałem, że w góry prowadzi pewna ustalona droga, która wiedzie poprzez skałki, Tatry latem i zimą, Alpy, Kaukaz albo Andy czy Tien-szan, i dopiero potem człowiek jest gotowy, żeby jechać w te góry najwyższe. I ja wszystkie te szczebelki górskiej edukacji przeszedłem. Poza ostatnim, pokonałem je bardzo szybkim tempem.

W książce *Spod zamarzniętych powiek* piszesz sporo o wielkim wsparciu i przyzwoleniu na realizację pasji, jakie zapewnili ci rodzice. Jak sam patrzysz dziś – jako tata dwójki dzieci – na troskę o ich bezpieczeństwo, a jednocześnie na zezwalanie na szukanie ich własnej drogi?

– Myślę, że do pewnego momentu możemy próbować wychowywać dzieci, ale potem nasza rola się zmienia, możemy je wspierać, służyć radą, lecz to na nich będzie spoczywać zadanie wymyślenia sobie tego, co chcą w życiu robić. Czasami mam wrażenie, że to, co jest najtrudniejsze w wychowywaniu dzieci to powstrzymanie się od działania, pozwolenie na to, żeby dzieci eksplorowały, podejmowały również błędne decyzje. Byłem wychowywany w duchu samodzielności, odpowiedzialności, ponoszenia konsekwencji za swoje nie zawsze najmądrzejsze wybory, to samo chciałbym przekazać swoim dzieciom. Chociaż jeżeli w zapytasz, czy chciałbym, żeby mój syn został himalaistą, to odpowiem, że pewnie nie.

Z czego to się bierze?

– Ze strachu. Natomiast jeśli mój syn taką podejmie decyzję, nie będę mu tego zabraniał, ani rzucał kłód pod nogi.

W tym przyzwoleniu rodziców najtrudniejsza jest chyba utrata kontroli.

Martwimy się, że dziecku może stać się coś złego...

– Regularnie tracimy tę kontrolę. Dziecko zawsze może zrobić coś głupiego, nie sposób je kontrolować 24 godziny na dobę. Moje zadanie nie polega na tym, żeby nauczyć moje dzieci strachu przed wodą, tylko pływać, bo jak do tej wody wpadną,

to sobie poradzą. Myślę, że to jest lepsze działanie, niż wpajanie dzieciom, że woda jest niebezpieczna.

Rozmawiałeś ze swoimi rodzicami o ich strachu o ciebie?

– Tak, rozmawiałem. Ale to jest pytanie do nich.

Studiowałeś psychologię. Wykształcenie pomaga tam na górze?

– Nie wiem, jaka część naszego oglądu świata wynika z tego, co studiowaliśmy, a na co wpływ mają inne czynniki. Czy psychologia pomaga? Wydaje mi się, że nieszczególnie, chociaż można szukać pewnych tropów. Wspinacze często mają bardzo silne charaktery, to ludzie uparci, pewni siebie. W sytuacji ciągłego zagrożenia, kiedy pojawia się napięcie, stres, a trzeba podejmować trudne decyzje rodzą się konflikty. Być może dzięki temu, że jestem psychologiem łatwiej przychodzi mi to zrozumieć i lepiej reaguję w trudnych chwilach, mniej daję się ponieść emocjom, ale to raczej wynika z mojej natury. Studiowałem hobbystycznie wiedząc, że moim codziennym zajęciem będzie wspinanie.

Porozmawiajmy o dojrzewaniu himalaisty. Czujesz się dziś ukształtowanym wspinaczem?

– Uczyć się będę przez całe życie. Nabyłem już pewien zakres wiedzy, który wystarcza mi, żeby się bezpiecznie poruszać w górach, teraz muszę nadążyć za nowymi wynalazkami, tym, co się zmienia w stosunku do tego, czego ja byłem uczony.

Masz na myśli technikę?

– Tak, techniki linowe, nowinki sprzętowe. Nie mogę pozostać w tyle. Mam poczucie, że okres uczenia się wspinania, zbierania batów i lekcji pokory, mam za sobą. Zebrałem tego całkiem sporo. Widzę w sobie taką różnicę, że dzisiaj określiłbym się mianem wspinacza bezpiecznego, ostrożnego. Kiedyś tak nie było.

Czym to się objawia? Częściej potrafisz dziś zawrócić do obozu?

– Najprościej to zobrazować w ten sposób: kiedyś wbijałem się w ścianę, np. w Tatrach, i mając do wyboru biwak bez sprzętu i śpiwora na półce skalnej, byle rano zrobić jeszcze dwie długości liny i zaliczyć zrobioną drogę lub powrót do schroniska, nocowałem na ścianie. Teraz zjechałbym i wrócił innego dnia.

Odkąd masz rodzinę bardziej uważasz w górach?

– Jeśli chodzi o poziom akceptowalnego ryzyka, ostrożność, to myślę, że nie, bo to jest następstwo procesu, który zaszedł wcześniej. Dostałem wystarczająco dużo ostrzeżeń w swoim wspinaczkowym życiu, że musiałem zacząć myśleć inaczej niż 15–16 latek, któremu wydaje się, że jest nieśmiertelny. Największa różnica jest taka, że tęskni mi się za domem. Jest mi dużo trudniej wyjechać niż kiedyś. Dwu–trzy miesięczna wyprawa nie stanowiła dla mnie problemu, dziś jest tęsknota za dziećmiakami i żoną.

Tych kilka miesięcy w rozwoju małego dziecka to bardzo dużo. Sporo możesz stracić.

– Dlatego odkąd urodził się Tymek na tak długiej wyprawie nie byłem.

Jak sobie poradzisz z tęsknotą na K2?

– Zobaczymy.

Wspomniałeś, że mierzysz w wytyczanie nowych dróg. Myślisz o konkretnej górze?

– Mam kilka pomysłów na przyszłość. Wspinanie to bardzo pojemne pojęcie, z jednej strony to bouldering, czyli robienie kilku bardzo trudnych ruchów wspinaczkowych bez liny na wysokości do dwóch metrów nad ziemią, ale też chodzenie z kijami na Mount Everest. Te aktywności nie mają ze sobą wiele wspólnego, nawet lina ich nie łączy. Chociaż najbardziej kojarzony jestem z himalaizmem, to tak naprawdę wszystkie inne formy aktywności wspinaczkowej też uprawiam, w każdej z nich wyznaczam sobie cele.

– Staram się je realizować, wspiąć coraz lepiej, być szybszym, bardziej wytrzy-



Dostałem wystarczająco dużo ostrzeżeń w swoim wspinaczkowym życiu.

| East News

małym wspinaczem niż w poprzednim sezonie. Kluczem do tego, żeby się tym cieszyć i bawić jest to, żeby ścigać się ze sobą, a nie z innymi. Nie jest najlepszy ten, co robi najtrudniejsze drogi, tylko ten, co ma z tego najwięcej przyjemności. To jest podstawowy cel wspinania, próbuję o tym nie zapominać.

Żeby mieć na to wszystko pieniądze, żeby wokół byli sponsorzy, reklamodawcy i media, musisz być stale obecny w najwyższych górach świata czy inne formy wspinaczki też się zaczynają bronić?

– Chcę wierzyć, że tak się staje, ale gołym okiem widać, że ośmiotysięczniki z jakiegoś względu są najciekawsze, chociaż Polacy robią świetne rzeczy na niższych szczytach, mamy też Marcina Dzieńskiego, mistrza świata w wspinaniu na czas. Robimy fajne drogi wielkościanowe na całym świecie, jest tych przejść coraz więcej, a o tym się nie słyszy. Mam nadzieję, że to się będzie zmieniać.

Wspinaczka sportowa na sztucznej ścianie będzie na olimpiadzie.

– Może to wpłynie na zainteresowanie. Póki co himalaizm sprzedaje się najlepiej, co też nie oznacza, że łatwo.

Chcesz rozmawiać o Broad Peak?

– Pytaj.

Jak sobie poradziłeś z traumą?

– Wiesz co... Umarł ci ktoś bliski?

Tak, ale to była śmierć naturalna. Mogłem się przygotować.

– Odbiłem ci pytanie, żeby pokazać, że to wszystkich spotyka, a na tak zadane pytanie bardzo trudno odpowiedzieć.

Masz rację, ale oprócz poradzenia sobie ze śmiercią Macieja Berbeki i Tomasza Kowalskiego musiałeś zmierzyć się z medialną burzą w kraju.

– Problem nie był taki, że wokół mnie było sporo hejtu czy krytyki, tylko to, że dwóch moich przyjaciół nie wróciło z góry. Tym się przejmowałem przede wszystkim, a cała ta burza medialna, oczywiście przykra i trudna, nawet bardziej dla moich bliskich niż dla mnie, była trochę zewnętrzna wobec mnie. I patrząc z zewnątrz mogła się wydawać bardziej poważna niż była w rzeczywistości.

Co masz na myśli?

– Od powrotu z Broad Peak nie miałem ani jednej nieprzyjemnej sytuacji twarzą w twarz, a nie schowałem się przecież w domu. Robiłem prelekcje, jeździłem w Tatry, wspinałem się, jeździłem na festiwale górskie. W realnym świecie, w kontrze do internetowego hejtu, spotkało mnie bardzo dużo empatii i słów wsparcia. To pomogło mi nabrać dystansu do tego negatywnego feedbacku.

– Nie miałem natomiast złudzeń. Są przecież pewne mechanizmy medialne, lubimy też hejtować, a to była idealna historia, odpowiedni plot medialny: najpierw walczą, zdobywają szczyt, jest wielki sukces z Polską flagą w tle, a potem ktoś ginie, jest tragedia, a na końcu jeszcze mamy winnego. Samograj. Gdzieś w tym

wszystkim byliśmy ofiarami zainteresowania medialnego, które wcześniej sami wykreowaliśmy po to, żeby zdobyć fundusze na wyprawę. I to się obróciło przeciwko nam.

Masz żal do mediów?

– Można się na te mechanizmy zżymać, możemy sobie ponarzekać, jakie to smutne, że w mediach najlepiej sprzedają się dramaty i tragedie, ale taka jest prawda.

Był też raport Polskiego Związku Alpinizmu.

– No był.

Bardzo krytyczny wobec ciebie.

– Raport rzeczywiście był dla mnie najbardziej nieprzyjemny, ale mam wrażenie, że to już historia, łącznie z tym, tak myślę, że ci którzy go napisali, żałują dziś, że on ma taki kształt, że dali się wmanewrować. Dla mnie ważne było to, co mówili ludzie, którzy byli w takich warunkach, wiedzą z czym wiąże się przebywanie zimą na tej wysokości w Karakorum. Na świecie jest ich kilka. I dostałem od nich wsparcie. Nie ujmuję niczego członkom komisji, ale tylko dwie z pięciu osób były kiedykolwiek na ośmiu tysiącach metrów, ale żadna z nich zimą. Dla nich to była czysto teoretyczna sytuacja, nie mieli kompetencji żeby tę sytuację rozsądzać.

A tak z perspektywy czasu, zrobiłbyś coś dzisiaj inaczej?

– Masę rzeczy. Takie wypadki zdarzają się czasami z powodu jednego błędu, ale najczęściej są sumą małych pomyłek, które po przekraczaniu masy krytycznej przeradzają się w tragedię. Tak było w naszym przypadku. Późno wyszliśmy, chociaż to miało swoje uzasadnienie, mogliśmy zawrócić... Sporo rzeczy mogliśmy zrobić inaczej, ale dzisiaj jest to tylko gdybanie.

Nic nie zmieni.

– Ale trzeba wyciągnąć wnioski na przyszłość. Dla mnie bardzo silnym wnioskiem było to, że każdy może się pomylić. Miałem wielkie zaufanie do Krzyska Wielickiego

i Maćka Berbeki, a wydaje mi się, że mój osąd sytuacji, mój strach, to, że chciałem się wycofać dwukrotnie z ataku szczytowego był lepszy od ich oceny. Brakło mi pewności siebie, żeby to przeforsować.

Jak to funkcjonuje tam na górze? Czy powiedzenie przez jednego z was „wracamy” coś zmienia? Czy jednak decyzje podejmuje się indywidualnie?

– Każda decyzja ma wpływ na zespół. Na Kanczendzondze na przykład powiedziałem „chłopaki, uważam, że wszyscy powinniśmy schodzić. Jak stwierdzicie, że idziecie dalej, to beze mnie”. To jest konkretny komunikat, moi partnerzy muszą go przetrwać i podjąć decyzję.

I co zrobili?

– Akurat wtedy wszyscy zawrócili. Każda tego typu sytuacja jest inna. Nie ma żadnego wzorca postępowania.

Łatwo się natomiast te wybory ocenia.

– Szczególnie na poziomie morza. Zapominamy, że tam na górze mamy 30 proc. tlenu. Gdyby kogoś z nas teleportować, bez aklimatyzacji, na osiem tysięcy metrów, zostałoby mu 10 minut życia. Na wysokości wierzchołka K2 nasza wydolność to jest jakieś 20 proc. mocy z poziomu morza. Dotyczy to również naszego umysłu. Nie mam wątpliwości, że my tam jesteśmy w odmiennym stanie świadomości. Euforia szczytowa i inne zjawiska sprawiają, że mamy zaburzony osąd sytuacji. Brakuje pamięci operacyjnej. Kiedy człowiek jest odwodniony, zmęczony, niedożywiony, niedotleniony, podejmuje decyzje inaczej niż na dole.

Przytrafiło ci się odcięcie świadomości? Pisziesz w książce o dziewczęcym głosie, który ostrzegał, że zamarzniesz.

– Słyszałem gwizdanie, które zmusiło mnie do podjęcia lepszej decyzji. To była ważna lekcja z Makalu, że na pewnej wysokości nie można zaufać swojemu osądowi, trzeba się odnieść do czynników zewnętrznych. Najczęściej jest to czas.

– Psychiatra i alpinista Zdzisław Ryn bardzo ładnie o tym pisze. Według niego

w sytuacji skrajnego wyczerpania organizmu pojawia się mechanizm ostatecznej szansy na ratunek w postaci choroby lub halucynacji. Zdarza się doświadczanie obecności drugiej osoby, która pomaga wspinaczowi, czy też to, że himalaista gotuje w obozie herbatę i rozlewa do dwóch kubków, uświadamiając sobie, że przecież nikogo tam nie ma. Bardzo dużo jest podobnych relacji.

A może to nie halucynacje, ale jakaś poważniejsza metafizyka? Jesteś w górach romantykiem, czy nie ma na to miejsca w takich wyprawach?

– Łatwo byłoby mi teraz ten romantyzm strywalizować, spłycić, gdybym się w takie kategorie próbował wpasować.

Zgoda, ale są himalaiści, którzy podchodzą do wspinaczki wybitnie sportowo, inni doszukują się w tym głębszych przeżyć duchowych.

– Zarówno ten aspekt sportowy jest dla mnie ważny, jak i duchowy. Postawiłbym nawet znak równości, one razem składają się na pełnię doświadczenia, jakim jest wspinanie.

Czy w ramach tej duchowości wracasz z gór inny?

– Tak. Widzę wyraźne zmiany osobowościowe pod wpływem gór, widzę że staję się lepszym człowiekiem po powrocie. Mam więcej cierpliwości. Dużo bardziej jestem nastawiony na odbiór, a nie nadawanie. W górach wyciszam się, mam też czas, żeby pomyśleć. To jest dla mnie czas budujący, moi bliscy, tak myślę, też dostrzegają tę przemianę jako coś pozytywnego. Mam poczucie, że jak wracam z gór promienieję, potem ten blask przygasa, potem się frustruję, aż wreszcie zaczynam być nieznośny nawet sam dla siebie.

I co robisz?

– Wtedy żona mówi: Adam, jedź się powspinać.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Maryla Rodowicz podczas Sylwestra Marzeń z Dwójką w Zakopanem

| AKPA

Maryla Rodowicz: uwielbiam prowokacje

Jarek Szubrycht

2017 to był dla niej wyjątkowo aktywny i burzliwy rok. Maryla Rodowicz opowiedziała Interii o *Ach świecie*, swojej nowej płycie, a także o zamieszaniu wokół festiwalu w Opolu, swoich ulubionych piosenkach, jubileuszowej trasie koncertowej i sylwestrowej nocy w Zakopanem. Poza tym tekst zawiera: seks, łzy, internetowe komentarze i plotki korytarzowe.

JAREK SZUBRYCHT, INTERIA: Zaczniemy od ostatniego Opola. Dużo zdrowia cię to kosztowało?

MARYLA RODOWICZ: – Dużo zdrowia psychicznego. W przygotowanie tego koncertu zaangażowana była duża grupa ludzi. Oprócz ekipy z telewizji byli młodzi artyści, którzy uczyli się piosenek, dwie osoby pisały aranżacje, powstawały kostiumy. Festiwal miał się odbyć, jak zwykle, na początku czerwca, więc spotkania zaczęliśmy już w kwietniu.

A w maju wybuchła afera.

– Zaczęło się od tego, że na jednym ze spotkań z ekipą, która miała realizować koncert, usłyszałam: „Nie mamy Kayah”. Dlaczego? Jest jakiś oficjalny zakaz? „Nie. Jest plotka korytarzowa”. Co jest? Dzwonię więc do Kasi, pytam: „Jak to jest z tą czarną listą? Jutro idę do Kurskiego, żeby o ciebie zawalczyć”. Gadałyśmy przez godzinę, ale Kayah nie powiedziała mi, że tak czy owak zamierza się wycofać.

– Następnego dnia rzeczywiście poszłam do Kurskiego. Od progu pytam: „O co chodzi z tą czarną listą?”. A on do mnie z kwiatami: „Jaka czarna lista? Nie ma żadnej listy! Ja kocham panią Kayah. Ona przecież z Woronicza nie wychodzi. Jest w każdym programie, w „Jaka to melodia?”, w kolędach...”. Sypie tymi nazwami, jak z rękawa, a obok już kamera przygotowana. „Skoro już pani tu jest, to może zaprosimy widzów do oglądania Opola?”. No i dałam się wpuścić. Uległam jego urokowi.

Chwilę później wszystko się posypało.

– Najpierw Kayah. Wycofała się w ramach protestu przeciwko cenzurze, bo nie chcieli puścić w TVP teledysku Dr. Misio. Chwilę później to samo zrobiła Kasia Nowowska, która miała zaśpiewać w moim koncercie „Niech żyje bal” – ona też protestuje. Audiofeels również się wycofali.

– Moja mama umarła 19 maja, w swoje urodziny. Przyjechał do mnie syn Jędrek... i doszliśmy do wniosku, że czas to zakończyć. Wysmażyliśmy oświadczenie, że śmierć mamy i sytuacja polityczna wokół festiwalu nie pozwalają mi wziąć

udziału w tym koncercie. Mama mi trochę pomogła swoim odejściem. Niemniej było to wszystko bardzo przykre. Miałam mieć jubileusz pięćdziesięciolecia na festiwalu w Opolu, który jest dla mnie naturalnym miejscem do świętowania. To było moje 37. Opole, pół życia tam spędziłam. Telewizja publiczna ten festiwal przecież wymyśliła i organizowała, od początku lat 60., trudno było to rozdzielić. Poza tym jubileusz 50 lat na scenie obchodzi się raz na 50 lat.

Kiedy powrócił pomysł na opolski jubileusz?

– W lipcu jeszcze nie było tematu Opola. Pojawił się nagle w sierpniu. Miałam we wrześniu jeden wolny termin i właśnie wtedy miałyby się odbyć mój koncert jubileuszowy – 15 września, w piątek, na otwarcie festiwalu. Mówię im: „Jeżeli pojawią się wszyscy artyści, którzy mieli wystąpić, to i ja wystąpię”. Do końca sierpnia trwały rozmowy. Kasia Nosowska i Kayah zdecydowanie nie chciały, Audiofeels też nie, Margaret chciała, ale nie mogła, bo miała w tym czasie koncert nad morzem. Cała reszta była dostępna. Zgodziłam się – i na moim Facebooku pojawił się taki hejt, że gorszy miałam tylko rok temu na Euro, kiedy po meczu z Portugalią powiedziałam, że nasza reprezentacja nie była waleczna. Wtedy chcieli mnie pozbawić obywatelstwa. (śmiech)

– Hejt opolski nie był aż tak zajadły, ale też był: „Sprzedałaś się Kurwizji, ty szmato, ty taka i owaka”. Co robić? Wycofuję się! Jest koniec sierpnia, ogłaszam to na zebraniu, ale Bolek Pawica, reżyser koncertu, protestuje: „Maryla, nie rób tego, cokolwiek zrobisz i tak będzie hejt!”.

Myślałam, że się już uodporniłaś na internetowe komentarze.

– Internetem się nie martwiłam. Bałam się, że ludzie nie kupią biletów na koncert, bo tak zapowiadali w komentarzach, więc codziennie pytałam, czy idą bilety. Okazało się, że był full. Wtedy zaczęłam się bać, że przyjdą do amfiteatru i będą gwizdać. Z tym nie umiałabym sobie poradzić. Co będzie, jak wyjdę na scenę w tej swojej kosmicznej kreacji, a tu gwizd?

– Dwa razy w życiu mnie to spotkało. Raz w Opolu, w połowie lat 80. Przede mną

występował wtedy Pietrzak, śpiewający „Żeby Polska była Polską”, bisował chyba z 50 razy. Krzysiek Materna zapowiedział mój występ – a tu gwizd. Jeszcze raz – gwizd. Wrócił więc za kulisy i zaproponował Jankowi, żeby ze mną wyszedł. Dzięki temu trochę się uspokoiło.

– Wcześniej wygwizdano mnie w Mrągowie, na festiwalu country. Moi muzycy, którzy tam grywali, ostrzegali mnie, że oni tam mają swoich artystów, których kochają, a ja będę pani z telewizji, do wygwizdania. I mówili: „Pamiętaj Maryla, śpiewaj tylko po angielsku, bo będzie padaczka”. Ale ja przecież byłam świeżo po festiwalach country w USA, gdzie mnie oklaskiwano, nagradzano, więc byłam pewna swego. Miałam w repertuarze kilka standardów country, więc wychodzę i zaczynam „Will the Circle be Unbroken”... a tu jeden gwizd! To było straszne! To było takie przeżycie, że w nocy dostałam gorączki. Bałam się więc, że coś podobnego spotka mnie w Opolu, a ja tego nie dźwignę. Popłaczę się i zejść ze sceny.

Weszłaś pomiędzy dwa zwaśnione plemiona i dziwisz się, że oberwałaś?

– W listopadzie byłam na Różach Gali. Specjalnie na tę okazję kupiłam sobie suknię w Toronto, piękną, w kolorze okładki płyty *Ach świecie*. Posadzili mnie w pierwszym rzędzie, obok Krysi Jandy. W kategorii Muzyka nominowana była moja płyta, singel Kayah, Organek, Wojtek Mazolewski i Nergal z Porterem. Myślę sobie, że nie dość, że mam pięćdziesięciolecie, to jeszcze zrobili mi właśnie dużą sesję do „Gali”. Pewnie dostanę tę Różę.

– Robert Kozyra wręczał. Zaczyna mówić: „Jedyna, niepowtarzalna...”. Myślę sobie: „To o mnie!”. Ale jak zaczął mówić o postawie obywatelskiej, to już wiedziałam, że Kayah. Tylko co ma postawa obywatelska do Róży Gali? Za chwilę Żebrowski wręczał nagrodę specjalną. Zapowiada: „Dla artystki wyjątkowej...”. To może nagrodę specjalną dostanę? (śmiech) Okazało się jednak, że aktorka i – jak to zaznaczył na końcu – „Polka!”. Znowu podtekst polityczny? Po co jakieś Róże Gali mieszać do polityki?

Teraz wszystko jest polityczne.

– Nie wiedziałam, że aż tak. Poczułam się trochę upokorzona, tym bardziej, że posadzili mnie w pierwszym rzędzie. Swoją drogą, planowałam na weekend kolację, jedną z tych, na które zapraszam sąsiadów i Kayah też miała przyjść. Odbierając nagrodę zagaiła do mikrofonu: „Marylka, nie wiem, czy w tej sytuacji zaproszenie jest aktualne?”. „Waham się!” – odkrzyknęłam. (śmiech)

Wróćmy na chwilę do Opola. W amfiteatrze przyjęcie miałaś gorące, dyskusja w internecie szybko zgasła. Głosy krytyczne po koncercie dotyczyły zresztą głównie tego, że goście byli nieadekwatni do rangi imprezy...

– Mnie się podobało właśnie to, że byli młodzi, że Ukeje czy Mateusz Ziółko wyszli na scenę i zrobili to po swojemu. Kasia Popowska z gitarką – fajnie. Doda bardzo się przyłożyła, naprawdę się starała. Cieszyłam się, że nauczyli się moich piosenek, że sprawiło im to przyjemność.

Kiedy ktoś wykonuje twój numer nie włącza ci się zaborczość? Nie myślisz: źle to robi, tylko ja wiem, jak to ma być!

– Nie lubię, kiedy inni artyści śpiewają moje piosenki. Uważam, że wszyscy je psują. (śmiech) Wiesz, ten koncert opolski był specyficzny. Jubileusz, pięćdziesięciolecie. Nie oceniałam tego, jak te piosenki były wykonane, ale doceniałam starania.

Była też inna linia krytyki, nazwijmy ją obyczajową. Jak śmiałaś...

– ...pokazać majtki. (śmiech) Miałam tylko frędzelki, a pod nimi majtki. Strasznie mnie to rajcowało. Ten taniec z Klimentem ćwiczyłam dwa miesiące. Minutowy fragment! Tempo było ekstremalnie szybkie. Najbardziej mnie jednak cieszyło to, że będzie skandal. Prowokacja jest podstawą mojej działalności. Jak mam miarę nowego kostiumu, pierwszy raz spotykam się ze stylistką, zawsze powtarzam: „Ania, pamiętaj, musi być seks. I prowokacja. Musi szokować. Jak z przodu zakryte, to z tyłu niech będzie pół ciała na wierzchu”. Uwielbiam prowokacje.

I komentarze po tobie spływają?

– Czytam je z zaciekawieniem. Trochę zdenerwował mnie tylko ten filozof w „Polityce”...

Jan Hartman. Rzeczywiście, poświęcił twojemu tańcowi cały felieton.

– Tak, Hartman. Dowiedziałam się, że jest znaną w Krakowie mendozą. Popisując się bardzo trudnym słowami wyraził pretensje o to, że wzdychał do mnie w latach 70., a ja teraz pokazałam majtki. Ideał sięgnął bruku. Spadaj!

Mam wrażenie, że pod inną szerokością geograficzną zebrałabyś oklaski za odwagę.

– Niestety, nie urodziłam się w Stanach, ani w Rosji, gdzie artysta jest bogiem. Czasami myślę sobie jednak, że to dobrze. Artysta w Stanach poddawany jest gigantycznej producenckiej presji. Musi być cały czas w gotowości, musi robić rzeczy niemożliwe, dać się wycisnąć jak cytrynę...

Czyli właśnie to, co robisz. Różnica polega na tym, że sama to sobie narzucaś.

– Teraz gram trasę *Diva Tour*, promuję nową płytę. Początek był niemrawy, ale się rozkręciło, mam fulle. Koncerty mamy zaplanowane do końca stycznia – ale co będzie dalej? Nie wiem. Nasz show-biznes jest nieobliczalny, a rynek mały.

Dlaczego podtytuł tej trasy brzmi „finałowa”?

– Organizatorzy szukali jakiegoś haczyka. Chcieli nazwać to „pożegnalną trasą”. Boże, nie! Ale moi fani i tak pytają, czy to już koniec. Pytają też, czemu w piosence *W sumie nie jest źle* śpiewam: „Na tyle lat, co już mam, całkiem niezły jest mój stan”. Jak to całkiem niezły? Przecież dla nich ja jestem petarda. Przyjeżdżają na koncerty i pod sceną ładują swoje akumulatory. (śmiech) Nie żegnam się więc, ale pomyślałam, że jeśli to ma pomóc sprzedaży, jeśli mają być fajne koncerty, jakoś przełknę ten „finał” w nazwie. Oficjalna odpowiedź brzmi więc, że tą trasą podsumowuję swoje 50 lat na scenie, a w styczniu zacznę kolejną pięćdziesiątkę.

Takie jubileusze sprzyjają podsumowaniom. I wychodzi na to, że dorobiłaś się potężnego repertuaru, chyba nikt inny w Polsce nie ma tylu ever-greenów na koncie.

– Wiesz dlaczego? Polskie Radio było tylko jednym radiem w kraju i grało polską muzykę, bardzo chętnie. W latach 70., 80. i nawet 90. grało wszystko, co im się przyniosło, dzięki czemu mogłam wypromować kilkadziesiąt przebojów. Ryszard Poznakowski miał kiedyś taką teorię, że utwór zagrany 15 razy dziennie staje się przebojem – teraz to absolutnie niemożliwe. Zetka i RMF właściwie mnie nie grają, mają jakieś swoje enigmatyczne badania, którymi uzasadniają odmowy. Po prostu miałam szczęście, że zaczęłam śpiewać w latach 70. Teraz trudno wylansować nowy utwór. Radia artystów nie wspierają, w telewizji w ogóle nie ma muzyki, zostaje internet, w który ja osobiście bardzo wierzę.

Nie czujesz się zakładniczką własnego repertuaru? Jedziesz w trasę z nową płytą, ale wiesz, że jest długa lista utworów, które ludzie muszą usłyszeć.

– Nie mam z tym problemu. Żeby zaśpiewać taki numer jak *Małgośka*, który nie jest łatwy, muszę się przed koncertem trzy godziny rozśpiewywać, żeby wszystkie te dźwięki osiągnąć. I chociaż śpiewałam już tę piosenkę tysiące razy, za każdym kolejnym cieszę się, że wciąż potrafię sięgnąć tego górnego C. Zresztą na moich koncertach ludzie domagają się też utworów z *Ach świecie*, na przykład *Hello* i tytułowego. Co innego na festynach, gdzie chcą słyszeć tylko stare przeboje – ale to nie jest wyłącznie moja publiczność. Przychodzą, bo chcą się zabawić.

Wydałaś kiedyś płytę 50, z utworami, na których się wychowałaś. A rzeczy późniejsze? Są jakieś nowe piosenki, które uwielbiasz?

– Oczywiście. Bardzo podoba mi się to, co robi Pharrell Williams. Jak usłyszałam *Happy* to od razu chciałam taką płytę nagrywać, jakie to radosne! *Blurred Lines* Robina Thicke też bardzo mi się podoba. Fantastyczny teledysk – trzech facetów i te laski w majtkach. Podobają mi się też niektóre numery Beyoncé i to, jak potrafi

sprzedać na scenie swoją urodę. Madonna niekoniecznie, ale już Lady Gaga tak, podoba mi się. Świetne produkcje i teledyski. No i wokal.

Nie ucichły jeszcze komentarze po imprezach sylwestrowych. Czy na takich festynach, gdzie część publiczności jest już podchmielona, a ty występujesz pomiędzy gwiazdą z Zachodu, która jedzie z playbacku, a wiązanką pieśni discopolowych, nie masz poczucia, że nie warto się starać? Bo wyściecie te fascynujące stroje, kombinujecie z nowymi aranżami hitów, z duetami... a ludzie skaczą przy numerach puszczonych z taśmy. Czy to nie deprymujące?

– Liczyłam na to, że te sto tysięcy chóralnie odśpiewa ze mną moje numery. Niestety, nawet publiczność nie była nagłośniona i śpiewało się jak do ściany. Przede mną śpiewał Zenek Martyniuk *Oczy zielone* – i nie słyszałam owacji. Taka publiczność jest przypadkowa.

– Zresztą widziałam w internecie wypowiedzi ludzi, wszyscy mówili tylko o Sławomirze. Nie wiedziałam, kto to jest. W nocy go wygooglowałam i teraz wiem, aczkolwiek nie rozumiem, co to rock polo. Dla mnie to to samo, co Zenek, a ludziom jest wszystko jedno, czy grają żywi muzycy, czy podkład z parapetu, czyli klawisza. No, ale przede mną cały styczeń moich koncertów na trasie *Diva Tour* i się nacieszę brawami.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Zuza Jabłońska podczas przesłuchań w programie *The Voice Kids*

| materiały prasowe

Trochę oryginalna wokalistka

Monika Szubrycht

Mała królewna była piękna i zdolna. Niestety, czarownica rzuciła na dziewczynkę zły urok. Każdy zna tę bajkę. Okazuje się, że może być prawdziwa. Wystąpią tylko małe różnice – królewną będzie Zuza, a czarownicą – jej mózg.

KIEDY ZUZANNA skończyła 14 miesięcy, pomaszerowała śmiało do żłobka. Mówiła pięknie, całymi zdaniami, w dodatku, jak na swój wiek, dość niskim głosem. Z tego powodu opiekunki nazywały ją żartobliwie Hanką Bielicką.

Wygadanie pomogło w przedszkolu. Dostawała role we wszystkich możliwych występach. Poza tym nauka przychodziła jej łatwo, ze względu na znakomitą pamięć. Inne dzieciaki garnęły się do Zuzy, bo była wesoła i otwarta na nowe znajomości. Sielanka trwała do II klasy szkoły podstawowej.

– Któregoś dnia po powrocie do domu Zuzia zaczęła nienaturalnie wykrzykiwać buzię i pochrzkiwać. Po kilku dniach obserwacji stwierdziliśmy, że trzeba się skonsultować z lekarzem. Po wizycie u neurologa i szeregu badań, została postawiona diagnoza: zespół Gillesa de la Tourette’a. Dla nas to był nas szok, Zuzia raczej nie była świadoma, co się z nią dzieje – wspominają rodzice.

Zespół Tourette’a jest wrodzonym zaburzeniem neurologicznym. Objawia się zespołem tików głosowych i ruchowych. Pierwszy opisał je pod koniec XIX wieku francuski lekarz, stąd nazwa jednostki. Zaburzenie dotyka przeciętnie 4,3 osób na 10 tysięcy, a pierwsze objawy mogą pojawić się między drugim a piętnastym rokiem życia. Człowiek dotknięty zespołem Tourette’a nie jest w stanie zapanować nad mimowolnymi ruchami twarzy i wydawaniem pewnych odgłosów, np. pochrzkiwań. Krzywdzącym, za to chętnie powielanym przez media, stereotypem jest utożsamianie zespołu Tourette’a z koprofalią. Tymczasem przymus wypowiedziania wulgaryzmów spotyka tylko piętnaście procent ludzi dotkniętych tym zaburzeniem.

Rodzice Zuzy musieli zmierzyć się z diagnozą. Dziecko – z dokuczaniem, poniżaniem i wyzywaniem w szkole. Z radosnej, uwielbiającej zabawy na podwórku dziewczynki, Zuza stała się załęczoną, uciekającą przed rówieśnikami ośmiolatką, która tylko w domu mogła znaleźć schronienie. Bała się otoczenia. Wydawała z siebie dźwięki co 10–15 sekund, aż w domu szyby drżały.

– Życie w tym czasie uratowali nam sąsiedzi, którzy mają syna Jurka, starszego o rok od Zuzi. Unikał dzieci, ale jedyną osobą, którą tolerował, była nasza córka – opowiada Arkadiusz Jabłoński, ojciec dziewczynki. Sąsiedzi zapraszali ją na wspólne gry planszowe i nie zwracali uwagi na tiki. Zuza zaczęła się wyciszać,

a Jurek otwierać na rówieśników. Zmuszona była jednak zmienić szkołę. Trafiała do mniejszej, społecznej, gdzie na jej przyjście zostali przygotowani i nauczyciele, i uczniowie. W nowej placówce czuła się bezpieczniej, bo była akceptowana. Mimo wzlotów i upadków nikt z niej nie szydził. Rodzice rozmawiali z Zuzą otwarcie o jej problemach, okazywali wsparcie.

– Oczywiście mieliśmy chwilę załamania, które próbowaliśmy ukryć. Ale wydaje mi się, że dzieci są tak czujne, że nawet jak dorosły ukrywa zmartwienie, dziecko i tak je wyczuje. Mój mąż jest taki bezpośredni, nie robił jej złudzeń. Mówił: „Tak się stało, z tym musisz żyć, musisz się tego nauczyć. Są inne ważne rzeczy – opowiada Sylwia, mama Zuzanny. Dziewczynka dostała silne leki, bo stwierdzono, że pomagają na tiki. Pomogły na krótki okres czasu. Potem objawy wróciły. Do tego bardzo przytyła, co spowodowane było zażywaniem neuroleptyków. Z niejadka stała się dzieckiem, które w nocy szuka w lodówce jedzenia. – Zobaczyliśmy, co leki potrafią zrobić z człowieka. W porozumieniu z psychiatrą odstawiliśmy medykamenty – tłumaczy ojciec. Uważa, że leki zakłamywały rzeczywistość, ale nie leczyły.

MUZYKA POMAGA

– Śpiewać Zuzia zawsze lubiła. Znajomi namawiali nas już dawno, żeby zapisać ją gdzieś na zajęcia. Zwracali uwagę na jej nietypowy jak na dziecko głos – opowiada mama. – Zauważyliśmy, że Zuzia nie ma tików, kiedy śpiewa, albo są bardzo małe, prawie niezauważalne. Bardzo się wtedy wycisza i uspakaja. Zaczęliśmy szukać informacji na ten temat. Po rozpoznaniu rynku trafiliśmy na prywatną szkołę muzyczną Akademia Rocka w Gdańsku.

Decyzję podjęli wspólnie z Zuzą, ale przed pierwszą lekcją córka poprosiła, by wytłumaczyli nauczycielowi, co się z nią dzieje. Sama wstydziła się powiedzieć o tikach. Na szczęście trafiła pod opiekuńcze skrzydła Patrycji Jackowskiej, która od razu zauważyła potencjał uczennicy. – To ona spowodowała, że Zuzia wróciła do „żywych”. Patrycja, oprócz studiów w Akademii Muzycznej w Gdańsku, równolegle studiowała neurobiopsychologię. Zuzia chyba lepiej trafić nie mogła – opowiadają państwo Jabłońscy, którzy pierwszą nauczycielkę śpiewu Zuzanny nazywają dziś swoją przyjaciółką. Obecnie dziewczynę prowadzi Patrycja Gola, znakomita wokalistka i pedagog.

NA SCENIE

Nowa nauczycielka zabierała swą podopieczną na różne konkursy. Sypały się nagrody. Z programu telewizyjnego *Mali Giganci* Zuza odpadła jednak w pierwszym odcinku. To jej nie załamało. Ciężko pracowała, by pokazać się w przedstawieniu *Oliver Twist*, który wystawiała Akademia Artystyczna w Gdańsku pod kierownictwem Magdaleny Gabriel.

Rok 2015 był wyjątkowy ze względu na udział Zuzy w festiwalu piosenki „Integracja malowana dźwiękiem”, organizowanym w Bochni przez Marka Piekarczyka. – Ideą tego festiwalu jest tworzenie duetów muzycznych osoby zdrowej z osobą niepełnosprawną. Tam następuje zderzenie dwóch światów. Każdy młody wokalista powinien tego doświadczyć i zobaczyć, w jaki sposób miłość do muzyki łączy ludzi. Zuzia, zauroczona klimatem imprezy, zagościła tam kolejny raz w ubiegłym roku – opowiadają rodzice. – Za każdym razem zgłaszała się jako dziecko zdrowe twierdząc, że jej przypadek nie jest aż taki beznadziejny.

– Kiedy Zuza zdobywała już pewne obycie sceniczne, powtarzałem jej cały czas: „Dziecko, to jest choroba, którą będziesz miała do końca życia. Czy cię ludzie zaakceptują? Tego nie możesz wiedzieć” – wspomina pan Arkadiusz. To była łyżka dziegciu w całym oceanie wsparcia, które okazywał córce. Mówił jej: „Okazało się, że masz talent. Wykorzystaj go i pokaż innym, że można. Choroba nie musi powodować zamknięcia z domu i izolacji”. Tymczasem osoby z zespołem Tourette’a nie chcą wychodzić z domu. Nierzadko spędzają w nim całe swoje życie. Boją się odrzucenia.

Państwo Jabłońscy pamiętają, jak jeździli z córką metrem. Miała wtedy silne tiki ruchowe. – Ludzie patrzyli na nią jak na dziwne zwierzątko – wspomina ojciec. Mała taksowała obcych wzrokiem i uciekała w telefon. Teraz już nie odwraca głowy. Śpiewa sobie. Zuza otwarcie mówi o swojej chorobie. W nowej szkole zrobiła prelekcję na temat zaburzenia, występując w koszulce: „Mam zespół Tourette’a, ale Tourette nie ma mnie”. Cała klasa płakała. Dzieci podchodziły do niej i mówiły: „wielki szacunek”.

WYSTĘP W PROGRAMIE

Tików nie dało się nie zauważyć. Producent programu *The Voice Kids* zapytał rodziców, czy o chorobie dziewczynki można mówić otwartym tekstem. Zuza stwierdziła wówczas, że lepiej powiedzieć od razu, niż słuchać komentarzy: „Zobaczcie, jak ta w zielonym wykrzywia ryja”. Ojciec Zuzy doskonale pamięta to zdanie – mała miała na sobie zieloną bluzkę. Rodzice postawili tylko jeden warunek – żadnego brania na litość. Ma obronić się własnym śpiewaniem. Okazało się, że decyzja była słuszna.

– Zauważyłam, że dzieci między sobą rozmawiają, czym jest zespół Tourette’a. Młodzi ludzie zaczęli interesować się, co to takiego? Jeden drugiemu przekazuje informacje. Stają się przez to bardziej świadomi niż my, dorośli – opowiada Sylwia Jabłońska. Po emisji odcinka, w którym wystąpiła Zuza, zaczęli do niej pisać różni ludzie. Nie tylko ci z zespołem Tourette’a, ale też z innymi chorobami i niepełnosprawnościami.

– Mówią, że jestem dla nich inspiracją, że im pomagam. Naprawdę bardzo miło mi się zrobiło z tego powodu, że mogę komuś pomóc – opowiada Zuza. – To jest piękne, że mogę pomóc im podnieść głowy i powiedzieć: nie bójcie się, nie chowajcie, walczcie, a przede wszystkim się nie poddawajcie. Nie pozwólcie, żeby wasza przypadłość, choroba, czy cokolwiek to jest, zabrało wam szczęście, marzenia i ograniczało was.

DYSTANS JEST WAŻNY

Komentujący 1: Zuza ma zespół? To fajnie!

Komentujący 2: Ale to zespół Tourette’a, taka choroba.

Komentujący 1: To teraz ma dwa zespoły! Śpiewa i mi się podoba!

Rodzice opisują różne zabawne historie związane z udziałem córki w *The Voice of Kids*. I podkreślają, że sami z Zuzą też żartują na temat choroby, żeby odreagować, przekuć ten balon.



Jurorów zachwycił występ Zuzi

| materiały prasowe

CO DALEJ?

Zuzanna Jabłońska chciałaby zostać piosenkarką, związać swą przyszłość z muzyką. Chciałby dostać do BRIT School w Londynie. Tam uczyły się m.in. Amy Winehouse, Jessie J i Adele. Łatwo nie będzie, bo w każdym roczniku może być tylko 10 proc. uczniów spoza rejonu, który obejmuje okolice Londynu. Rodzice wiedzą, że to największe marzenie Zuzy i jeśli będzie trzeba, przeprowadzą się z córką za granicę. Ojciec śmieje się, że w najgorszym wypadku pójdzie pracować na zmywak. Chciałby, żeby Zuza robiła to, co kocha.

Czy Zuza ma inne marzenia, niezwiązane z muzyką? – Jeśli ktoś zapytałby mnie o marzenie, to niektórzy, zanim bym odpowiedziała, mogliby pomyśleć, że byłoby dobrze, żebym nie miała tej choroby. Ale gdy się nad tym zastanawiałam, to nie chciałabym jej nie mieć. Myślę, że dzięki niej jestem trochę oryginalna i inna.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Dmitrij Głuchowski

| materiały prasowe

Dmitrij Głuchowski: szukamy mroku, bo jesteśmy znudzeni jakością życia

Adam Wieczorek

My, Rosjanie, nie potrafimy żyć, my musimy walczyć o przetrwanie. Historia Polski w XX wieku była może ciut miłsza niż nasza. No dobra, widzę twoją minę, ale nie mordowaliście się sami tak skutecznie, jak my. Wy możecie winić nas, a my już nie bardzo wiemy kogo. Nacierpieliśmy się od naszego rządu – podkreśla w rozmowie z Adamem Wieczorkiem rosyjski pisarz Dmitrij Głuchowski.

DMITRIJ GŁUCHOWSKI. Roczniak 1979. Rosyjski pisarz, dziennikarz i felietonista. Międzynarodową sławę przyniosła mu postapokaliptyczna powieść „Metro 2033”, którą zaczął pisać w wieku zaledwie osiemnastu lat. Spotkaliśmy się niedawno w Krakowie przy okazji premiery polskiego wydania jego najnowszej książki pt. *Tekst*.

ADAM WIECZOREK, INTERIA: Gdy czytam twoje książki mam wrażenie, że nie wierzysz w ludzkość i świetlaną przyszłość.

DMITRIJ GŁUCHOWSKI: – Pisanie książek to jedna sprawa, a postrzeganie rzeczywistości to druga. Nie obawiam się wielkiej katastrofy i raczej optymistycznie patrzę w przyszłość. Sądzę, że to raczej nasi ojcowie czy dziadkowie spoglądali w ciemność. Mam wrażenie, że szukamy mroku, bo jesteśmy znudzeni jakością naszego życia. My, Rosjanie, nie potrafimy żyć, my musimy walczyć o przetrwanie. Historia Polski w XX wieku była może ciut miłsza niż nasza. No dobra, widzę twoją minę, ale nie mordowaliście się sami tak skutecznie, jak my. Wy możecie winić nas, a my już nie bardzo wiemy kogo. Nacierpieliśmy się od naszego rządu. Trudno to przebić. Może Khmerowie w Kambodży czy rewolucja kulturalna w Chinach były na podobną skalę, ale XX wiek dał nam w kość.

– Dlatego dobrobyt XXI wieku było czymś, czego się nie spodziewaliśmy. Ludzie zaczęli się nudzić i szukać mroku gdzie indziej, choćby w horrorach. To w sumie dotyczy nie tylko Rosjan, bo przecież chemia naszego organizmu jest nastawiona na wykrywanie zagrożeń i ucieczki przed nimi. Nie jesteśmy sekwojami czy zbożem. Jesteśmy bardzo niespokojnymi zwierzętami, które cały czas walczą o terytoria, kobiety i samców. A teraz mamy czas dobrobytu, gdzie się nudzimy i czujemy zagubieni. Straciliśmy perspektywę i poczucie celu. Boga w zasadzie już nie ma i musimy się zmuszać, by wierzyć. Wiesz, że Szwedzki kościół zaleca unikanie formy męskiej słowa Bóg, bo to może być ona? Kompletnie się pogubiliśmy. Staramy się przewidzieć, co czeka nas w przyszłości i mroczniejsze historie spełniają nasze oczekiwania. W Rosji czujemy, że dobrobyt lat 2000 nie może trwać zbyt długo. Nigdy nie było czegoś takiego. Musi się to źle skończyć i kończy.

Jak to?

– Mamy czwarty rok kryzysu, a sytuacja polityczna też nie jest dobra, zwłaszcza po aneksji Krymu. Wraz z inwazją w Donbasie, stały się przyczyną niespotykanej kampanii propagandowej. Na początku określano nowe władze Ukrainy jako nazistów i cały proces jako kontynuację II wojny światowej. Twierdzono, że u władzy są teraz ukraińscy naziści, a w Donbasie są rosyjscy partyzanci i trzeba im pomóc. Tak samo zajęcie Krymu miało na celu ochronę Rosjan przed Ukraińcami i Amerykanami, którzy tylko czekali, żeby zaparkować całą piątą flotę w Sewastopolu. Było to agresywne i prowadzone we wszystkich kanałach telewizyjnych, wiadomościach i talk show. W efekcie zostaliśmy odseparowani od świata, ale przede wszystkim od Ukrainy.

– Pamiętajmy, że oni nie są dalekimi krewnymi, ale rodziną. Są praktycznie wszędzie. Tak jak Rosjanie są w ich rządzie, tak Ukraińcy są w naszym. Są w nauce, polityce, kulturze – słowem wszędzie. Możemy mówić, że Rosja była krajem kolonialnym, ale Ukraina była współtwórcą tego kolonializmu. Może mniejszościowo, ale była. Breżniew, Chruszczow i mnóstwo innych polityków pochodziło w Ukrainy. Zawsze tam byli. Żyliśmy w symbiozie, mimo pewnych tarć. Ten nowy konflikt między dwoma narodami, przebiega też przez wiele rodzin. To był trudny czas, choć teraz wydaje się, że jest spokojniej. Wiemy, że Putin będzie wybrany ponownie w przyszłym roku i werble wojenne zagrają po reelekcji.

Rozumiem, że nie masz wątpliwości, że zostanie wybrany ponownie?

– Jeśli będzie kandydował, to zostanie wybrany. Chyba, że wystąpią jakieś problemy zdrowotne, które mu to uniemożliwią. To jest człowiek, który stawia wszystko na jedną kartę. Jest zakładnikiem własnej polityki. Sądzę, że tu wiele może się zmienić, bo już raz prawie nie wyszło, gdy Miedwiediew posmakował władzy. A przecież był tylko figurą. W czwartym roku rządów wierzył, że znaczy coś więcej. Teraz, po sześciu latach prezydentury, ktokolwiek trafi na ten stołek, będzie musiał uporać się z administracją prezydenta, bo to oni sprawują faktyczną władzę. To koledzy Putina z przeszłości.

– Pamiętajmy, że Putin nie jest najgorszym, co nas spotkało. Tak długo, jak sytuacja jest stabilna, nie będzie się wtrącał w życie ludzi. Propaganda zaczęła się przecież dopiero wraz z kryzysem, który był powodem tego wszystkiego. Strach przed Majdanem w Rosji wywołał falę. Do tego spadały ceny ropy naftowej i ekonomia się zachwiała. Trzeba było jakoś odwrócić uwagę ludzi i skierować ich do ideologii. Zrobili badania i nostalgia za imperium była silna i szczerą. Dlatego tego użyli. To była ryzykowna i kosztowna decyzja. Zostaliśmy w izolacji, spadły na nas sankcje i podupadła ekonomia. Paradoksalnie była to decyzja racjonalna. Jednym ciosem rozwiązać wiele problemów, ale pojawiły się inne.

W Polsce też trwa nawrót do nacjonalizmu. Wydaje się, że tak się dzieje na całym świecie. Pewnie dlatego, że jak mówisz, jesteśmy znudzeni. W najnowszej książce pokazujesz Rosję z perspektywy ludzi, którzy walczą o przetrwanie, jak Ilia i jego matka. To normalni Rosjanie, którzy nie mają na nic wpływu i cierpią próbując przeżyć z dnia na dzień. Czy rzeczywiście tak wygląda życie w Rosji?

– Znam ludzi z wielu kręgów. Niektórzy członkowie mojej rodziny mieszkają pod Moskwą i dla nich kredyt 1000 euro jest węzłem na szyi. Przychodzą do nich komornicy i nie pozwalając im żyć. Taka kwota jest nierozwiązywalnym problemem. Staram się pomagać jak mogę, ale problem powraca, bo muszą brać kredyty, gdy nie wystarcza im pieniędzy na życie. Wpadają w spiralę długów i jest jeszcze gorzej. Ludzie walczą, żeby przeżyć, zarabiając może 200 euro miesięcznie. Jedzą warzywa, które hodują w ogródkach. Moskwa jest trochę bogatsza, ale to tylko niewielki wycinek rosyjskiego społeczeństwa. Reszta kraju walczy z kryzysem i sytuacja stale się pogarsza. Tak jest od 2014. O ile reszta świata zaczyna z niego wychodzić, o tyle Rosja ma problem z sankcjami i pozostaje w izolacji. Nie może skorzystać z zagranicznej pomocy, żeby ratować system bankowy. Wszystko leci w dół i ludzie mają coraz ciężiej.

– Gdy wychodził *Tekst*, jedyne uwagi, jakie dostawałem dotyczyły nie tego, jak opisałem życie ludzi, ale tego, że dorzuciłem głównemu bohaterowi dodatkowy

dramat na samym starcie. Przyznaję, że to może było ciut za dużo, ale chciałem pokazać osobę, która jest zdesperowana. Wszystko inne, co dotyczyło mieszkania jego matki, jej dochodów, kredytów, jedzenia itp., a także przepaści między ludźmi w systemie i poza nim jest dokładne i precyzyjne. Konsultowałem opowieść z więźniami i byłymi więźniami, którzy korygowali opisy związane z pobytem Ilia w łagrze. Rozmawiałem też z policjantami działającymi w terenie, którzy pomagali wyklarować pewne rzeczy, zwłaszcza z punktu widzenia psychologii postaci. Włożyłem dużo wysiłku, aby książka była jak najbliższa rzeczywistości, jak to tylko możliwe. Mimo, że ma pewne elementy akcji, to jest jednak przykładem podróży wewnętrznej bohatera. Krytycy docenili tę książkę za ukazanie obrazu współczesnej Moskwy, kultury telefonów komórkowych i różnic między ludźmi w systemie i poza nim.

Wydaje się, że książka działa na dwóch płaszczyznach. Jedna to nasze uzależnienie od telefonów komórkowych, które zawierają całe nasze życie. Drugi to właśnie ta wewnętrzna podróż bohatera, trochę jak współczesna *Zbrodnia i Kara*. Oczywiście Ilia to nie Raskolnikow, który podchodzi do zbrodni metodycznie, ale podróż bohaterów jest w końcu podobna. I od początku wiedziałem, że nie może się dobrze skończyć.

– Dziękuję! Bardzo mi schlebia to porównanie. Przyznam, że *Zbrodnię i Karę* czytałem tylko raz, w szkole. Niestety, gdy czyta się coś w tamtym okresie, trudno to zapamiętać. Mam hipotezę, dlaczego wstawili ją do programu szkolnego. Dlatego, że jeśli nie przeczytasz jej wtedy, to nie przeczytasz jej nigdy. No chyba, że pójdziesz na filologię. Problem polega na tym, że jeśli czytasz to będąc nastolatkiem, to kompletnie cię to nie obchodzi, bo nie ma związku z twoim życiem. Może szukasz tam romansu, albo wojny. Cała filozofia, obraz świata i społeczeństwa, to coś, co cię nie obchodzi. To kwestia naszego aparatu poznawczego. Interesują nas tylko rzeczy, które możemy odnieść do naszych przeżyć.

– Raskolnikow w końcu poczuł skruchę. Mój bohater tego nie miał. Zaczął współczuć swojej ofierze, ale nie czuł skruchy. U Dostojewskiego były to rozważania teoretyczne. Moja historia jest bardziej ludzka. Myślę też, że *Zbrodnia i Kara* wyglą-

dałaby inaczej, gdyby Dostojewski dożył do bolszewików i ich zbrodni. Raczej nie bawiłby się w takie rozważania patrząc na morze przelanej krwi. Rzeczywistość, która nastąpiła w czasie rewolucji, pokazała jak bardzo się mylił w ocenie ludzkich motywacji.

Nie chcę za dużo ujawniać z twojej książki, ale naprawdę liczyłem, że Ilia skończy inaczej.

– Robiłem co mogłem, żeby mu się ułożyło. Chciałem dać mu wybór między ucieczką, a zapłatą za swoje czyny. Jego matka była głosem, który mówił, że musi zapłacić za wszystko. Pokazałem też dwa modele wychowania. Jeden, gdzie wszystko jest dozwolone, bo matka kocha cię bezwarunkowo i ojca, który chce wychować drapieżnika, bo tylko silny przetrwa w naszym świecie. Drugi, to model matki, która pokazuje, że za wszystko trzeba w życiu zapłacić. Które wychowanie sprawdza się lepiej w kraju takim jak Rosja lub w jakimś kraju Trzeciego Świata? Próbowałem dać bohaterowi szansę, ale o tym co wybrał czytelnik musi przekonać się sam.

Odejdźmy na chwilę od najnowszej książki. Próbowaleś już postapo, science-fiction, realizmu magicznego, a teraz książka osadzona mocno we współczesności. Zostaniesz już w tych klimatach czy wrócisz jeszcze do fantastyki?

– Mam mnóstwo pomysłów. Chodzi mi po głowie technothriller, pomieszany z science-fiction. Pojawia się też saga sięgająca do korzeni mojej rodziny, będąca osobistym realizmem magicznym w atmosferze rosyjskiej prowincji, skupiająca się wokół chęci odkupienia domu mojego dzieciństwa. Miejsca, gdzie mieszkają duchy i wspomnienia. Gdy masz 40 lat i osiągnąłeś już większość celów materialnych, orientujesz się, że nie wszystko da się kupić. To tego typu opowieść. Waham się między powieścią metafizyczną, a nastawioną bardziej na akcję, która oczywiście będzie miała mocne podłoże filozoficzne, ale nie podjąłem jeszcze decyzji.

– Mam też dwa pomysły na scenariusze filmowe. Jeden to dramat rodzinny, a drugi rasowy thriller. Myślę, że jeszcze jest za wcześnie, abym dokonał wyboru

czy chcę być autorem poważnych powieści, czy facetem od rozrywki. Może po pięćdziesiątce będę w stanie się określić i zrezygnować z różnych gatunków. Gdy ukazał się *Tekst* zauważyło mnie wielu krytyków, którzy dotąd mnie ignorowali. Zaczęli mówić, że nieoczekiwanie Głuchowski stał się dobrym pisarzem. Czuję presję ze strony ludzi, którzy myślą, że odrzuciłem głupie dziecięce opowiadanki na rzecz poważnego pisarstwa. Mam się stać dorosłym. Zastanawiam się, co będzie, jeśli wrócę do science-fiction. Czy będą rozczarowani? Wydawcy będą szczęśliwi, bo na pewno będzie się to sprzedawać lepiej. Ale intelektualiści pewnie stwierdzą, że nie można mnie traktować poważnie.

Myślę, że to coś z czym spotykają się wszyscy autorzy. Decyzja i tak należy do ciebie.

– Otóż to. W końcu zrobię to, na co będę miał ochotę i energię. Historię, która będzie dla mnie ważna, emocjonalna, wizjonerska i najbliższa. Może najpierw zrobię technothriller, a potem historię rodzinną, gdy skończę 40 lat. To będzie dobry moment, żeby spojrzeć na życie z perspektywy półmetka.

A czy *Metro* już się dla ciebie skończyło?

– Zdecydowanie skończyło. Spędziłem w nim 20 lat. Zacząłem wcześniej i stąd pewnie uczucie, że wycisnąłem wszystko, co tylko mogłem z tej metafory. Dla mnie *Metro* jest opowieścią o życiu na ruinach imperium – pozostałości życia w resztkach świata. Najlepszą rzeczą w tym świecie jest swoisty powrót do średniowiecza. Tak jak oni, moi bohaterowie sądzą, że wszystko co dobre już minęło. Złoty wiek się skończył i nie czeka ich nic poza ciemnością. To była esencja *Metra 2033*. Z kolei *Metro 2035* to kolejna metafora – życia w bunkrze i braku chęci wyjścia z niego. Napisałem to pod wpływem wydarzeń na Krymie i gotowości rosyjskiego społeczeństwa na zaakceptowanie putinowskiej propagandy, rodem z czasów zimnej wojny. Przewróciłem tę historię do góry nogami. Myślę, że mam już dość. Nie jestem w stanie wycisnąć z tego więcej. Nie ma tam dość materiału na książkę. Powieść nie jest tylko historią i pomysłami, ale też conceptami, podłożem filozo-

ficznym i artystycznym. Historia będzie żyła w grach czy telewizji, ale nie będzie dość dobra na książkę.

Uniwersum jednak pozostało. Wychodzi mnóstwo nowych książek.

– To projekt, który żyje własnym życiem. Już się w niego nie mieszam. Zależało mi na zdjęciu z barków presji czytelników, którzy domagali się kontynuacji. Myślę, że to był świetny krok z mojej strony. Wielu autorów tonie w oparach sukcesu i nawet, gdy w końcu próbują się wyrwać, to czytelnicy i wydawcy domagają się kontynuacji. Z obawy przed utratą dochodów, robią to dalej, ale to droga donikąd. Nie chciałem tak skończyć. Wolałem zająć się rzeczami, które naprawdę chciałem robić. Rozpocząłem projekt i przekazałem do wydawcom na całym świecie. Nie wymaga to już mojej uwagi. Każdy może napisać książkę w tym świecie. Dla wielu osób był to sposób na zaczęcie kariery literackiej. Mnie to pasuje.

Czytasz te wszystkie powieści?

– Już nie. Przeczytałem i redagowałem pierwsze trzydzieści. Potem musiałem przestać, bo zajmowało to za dużo czasu. W Rosji wychodzi jedna książka miesięcznie – to jak miesięcznik. Musiałem przestać i przekazać to innym. Nie mógłbym napisać innych książek. Chciałem pozostać autorem i skupić się na własnych opowieściach. To była kozacka decyzja. Nie każdemu udaje się znaleźć sposób ucieczki z takiej sytuacji. Mieć ciastko i zjeść ciastko.

Jak oceniasz gry w świecie *Metra*? Grałeś w nie?

– Grałem, ale nie przeszedłem całych, bo były za trudne. Uważam, że były dobrymi adaptacjami, z niesamowitą atmosferą. Nie zawsze pasowały do mojej wizji, ale ja też nie żyję obrazami. Nie muszę wymyślać wszystkich detali. W przeciwieństwie do Sapkowskiego, jestem zadowolony z wizji artystycznej i efektu marketingowego, bo gry ściągnęły mi mnóstwo nowych czytelników.

Właśnie miałem zapytać czy podtrzymujesz swoje zdanie na jego temat.

– Przyznaję, że nie miałem pełnego obrazu sytuacji, gdy nazwałem, go tak, jak nazwałem. Myślałem, że był po prostu aroganckim starcem, który nie rozumie współczesności. Teraz wiem, że urodził się za wcześnie, żeby dostrzec, dokąd zmierza rynek gier. Sprzedał prawa do książek za tanio, bez procentów. Teraz jest rozczarowany, bo *Wiedźmin* stał się światową marką, a on dostaje tylko przychody z książek. Jest to zapewne dość, ale uważa, że to nie fair, że nie dostaje procentów od gier, bo przecież wykorzystują jego pomysły. Myślę, że gdyby CD Projekt Red odpalił mu jakiś procent, stałby się zajadłym zwolennikiem gier. To nie jego wina, że tak się stało.

– Ja dostrzegłem wagę gier, bo wyrastałem w ich otoczeniu. Mam te trzydzieści lat mniej i od początku wiedziałem czym są. Marzyłem o takiej wersji moich książek, tak samo mocno, jak o ekranizacji. Gdy twórcy gier poprosili mnie o pomoc, natychmiast się zgodziłem. Omawialiśmy wszystkie elementy fabuły, pomagałem przy dialogach i interesowałem się całym procesem. Jestem zadowolony z efektu. Uważam, że to bardzo utalentowani ludzie. Biorąc pod uwagę, jak niewielkie mieli zasoby, udało im się zrobić tytuł, który śmiało stawiał w szranki z największymi na świecie. Wcześniej rosyjskie czy ukraińskie gry nie odnosiły takich sukcesów.

Jeśli mówimy już o adaptacjach. Myślisz, że doczekamy się filmu *Metro*?

– Już w to nie wierzę. Staram się doprowadzić do tego, aby powstał. Walczę o to od siedmiu lat i jak na razie bez rezultatu. Chyba już wszystkie studia w Hollywood widziały projekt, ale nie wiem gdzie tkwi problem. Było już kilka podejść. Od tego czasu powstało *Futu.re* i *Tekst*. Na tę ostatnią książkę dostałem już chyba dziesięć ofert od rosyjskich producentów. To zdecydowanie tańszy projekt i mocna historia. Myślę, że zanim zobaczę *Metro* na ekranie, trafią tam inne moje książki. Wolę skupić się na tworzeniu nowych rzeczy, zamiast marnować czas i energię na rzeczy, na które nie mam wpływu. Nie jestem optymistą w tym zakresie. Będzie, co będzie.

Jako częstego gościa w Polsce, znającego zawilóści naszej wspólnej historii, chciałem zapytać czy wierzysz, że uda się zbudować dobre relacje polsko–rosyjskie?

– Myślę, że wszystko jest możliwe. Popatrz na stosunki Rosji z Turcją. Odkąd do władzy doszedł Erdoğan, już dwa razy byliśmy zajadłymi wrogami i przyjaciółmi. Ludzie mają krótką pamięć, jeśli nie jest podsycana propagandą. Kto pamięta o Polakach w Moskwie w XVII wieku? Oczywiście pamięć o obecności Sowietów w Polsce jest żywsza, ale wszystko może się zmienić. Cokolwiek pokażesz w telewizji, ludzie w to uwierzą. Prawdziwa pamięć historyczna dotyczy tych, którzy stracili bliskich członków rodzin w wojnach. Dla nich to sprawa osobista, a nie teoretyczna. Myślę, że minęło już sporo czasu od naszych ostatnich starć. Jak tylko politykom będzie pasować nasze zbliżenie, to ono nastąpi. Będziemy się kochać, jak nigdy dotąd.

– Nie czuję wrogości ze strony polskich czytelników. Podczas tej wizyty spotkałem ponad dwa tysiące czytelników i tylko jeden powiedział coś dziwnego – że jestem jedynym Rosjaninem, którego on szanuje. Fakt, że gość był w typie podwórkowego sportowca, więc zachowałem dystans. Podziękowałem i stwierdziłem, że to też dobry fundament, na którym możemy budować. Naprawdę spotkałem się z życzliwością. Ciężar historii to tylko instrument manipulacji polityków, który zwykli ludzie mają w dupie. Nie powinniśmy się tym przejmować. Przeszłość to przeszłość.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Maria Dąbrowska-Majewska

| fot. Beata Zawrzet, REPORTER East News

Maria Dąbrowska-Majewska: więzienie to Polska w mikroskali

Izabela Grelowska

Dokonali złych czynów i ponoszą za to karę.
Jakie jest ich życie za kratami? Jacy będą, kiedy wyjdą?
Rzadko zadajemy sobie te pytania, ale
Maria Dąbrowska-Majewska żyje nimi na co dzień.

MARIA DĄBROWSKA–MAJEWSKA jest założycielką Fundacji Zmiana, która zajmuje się między innymi dostarczaniem książek do więzień. Nie tylko po to, by więźniowie mogli poczytać, ale i po to by mogli stać się innymi ludźmi. I to działa. Za swoją działalność została w tym roku odznaczona medalem św. Jerzego, który Tygodnik Powszechny przyznaje za walkę ze smokami zła. W rozmowie ze **Styl.pl** opowiada o tym, jak książki mogą zmienić człowieka i dlaczego warto o nich rozmawiać. Także w więzieniach.

IZABELA GRELOWSKA, STYL.PL: Czy książki mogą zmienić człowieka?

MARIA DĄBROWSKA–MAJEWSKA: – Mogą i zmieniają. Dzięki książkom można zyskać dużo większą refleksję nad swoimi przeżyciami i nad swoim doświadczeniem. Pozwalają przeżyć miłość w znacznie głębszy sposób. Dają nam dużo imiesłówów i przymiotników, które pozwalają nam opowiedzieć o tym, co się z nami dzieje, gdy jesteśmy zakochani. Dzięki nim widzimy świat szeroko, nawet jeśli czytamy proste opowieści. Możemy na chwilę stać się Niemcami, Rumunami, Francuzami lub Brazylijczykami. Mnie zmieniły „Miłość w czasach zarazy” i „Sto lat samotności”, a przecież to nie jest nasze doświadczenie kulturowe. A jednak są to genialne opowieści o człowieku i dzięki temu są czytelne dla wszystkich.

– A najfajniejsze w książkach jest to, że kiedy damy sobie przestrzeń na mówienie o dobrych rzeczach, które wyczytaliśmy w książkach, to stosunki między nami są prostsze. Często łatwiej nam jest mówić o tym, co złe i nie jesteśmy w stanie rozmawiać o tym, co piękne. Książki to zmieniają. I myślę, że gdyby nie rozmowy o książkach, to nie byłibyśmy w stanie się zachwycać tym, że na drzewach są liście.

Książka jest wstępem do rozmowy?

– Zazwyczaj chcemy się z kimś podzielić tym, co przeczytaliśmy. W jednej z grup, które prowadzę w więzieniach, rozmawialiśmy o tym, że są książki, które były dla nas osobiście ważne, bardzo nas kształtowały, ale są też takie, o których wiemy, że są bardzo mądre, przymierzamy się do nich przez lata, ale są z jakiegoś powodu

dla nas za trudne. I nie można ich wtedy czytać samemu. Dla mnie taką książką była *Wola* Hanny Arendt. Zaczynałam ją wielokrotnie, ale nie mogłam się skupić i gdyby nie to, że czytaliśmy jej fragmenty wspólnie z grupą, to nie wiem, czy zmierzyłabym się z tą lekturą. Książki rzeczywiście zmieniają, ale przez czytanie nie można stać się złym człowiekiem. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto przeczytał kryminał i został gangsterem.

A czy można stać się dobrym człowiekiem dzięki czytaniu?

– A czy ludzie są tylko źli albo tylko dobrzy? Można stać się lepszym człowiekiem. Książki uczą pokory. Książki uwrażliwiają. Książki powodują, że dostrzegamy dużo więcej szczegółów. Bez książek pewnie nigdy nie zwróciłabym uwagi, że biedę widać w butach i to w różnorodny sposób. Inaczej w tych starych znoszonych, inaczej w nowych, kupionych za 20 zł. Dzięki książkom możemy to wszystko zobaczyć, bo one uczą nas drugiego człowieka.

Czy trudno było zachęcić więźniów do czytania?

– To bardzo proste. Proszę pamiętać, że książka jest przyczynkiem do awansu społecznego. Z książką każdy – czy to w tramwaju, na ulicy, czy w domu – czuje się po prostu lepszy. To jest doświadczenie ogólnoludzkie. Książki zaspakajają nasze aspiracje do bycia z lepszego świata. Dlatego uważam, że czytelnictwa nie trzeba promować, wystarczy ułatwić ludziom dostęp do książek.

Jak to się stało, że pomyślała pani o tym, by ten dostęp ułatwiać właśnie w więzieniach?

– Pracowałam wcześniej przy projekcie *Powrót na prostą*, dużo rozmawiałam z więźniami i wiedziałam, że tam jest grupa odbiorców. Dużo się wtedy mówiło o tym, że ludzie nie czytają. Czytają, tylko trzeba z nimi o tym pogadać i dać im te książki.

Kto uczestniczy w tych spotkaniach? Więźniowie zgłaszają się dobrowolnie czy są wyznaczani? Zachęcają się nawzajem?

– Więźniowie uczestniczą dobrowolnie, ale za zgodą służby więziennej. Pracujemy z grupami, które nam zaproponowano, a my starliśmy się je zachęcić i tak już zostało. Czasami przybywają nowe osoby, ale to też za zgodą.

Ale wydaje mi się, że nie są to łatwe grupy. Jaki miała pani pomysł na to, żeby do nich dotrzeć?

– Długo o tym myślałam i przygotowywałam się. Zrozumiałam, że każdy z nas ma dobre wspomnienia i na tym musimy się skupić. Chciałabym, abyśmy nie demonizowali więzienia. Nie siedzą tam ludzie obarczeni genami zła. To jest Polska w mikroskali. W więzieniu siedzimy my – nasi mężowie, byli mężowie, ciotki, wujkowie, sąsiedzi. To są bardzo różni ludzie, podobnie jak różnych ludzi mijamy na ulicy, nie są to sami profesorowie uniwersytetu i intelektualiści.

– Stygmat bycia więźniem lub byłym więźniem jest gorszy niż bycia alkoholikiem czy narkomanem. Ludzie mówią o tym, że znają kogoś, kto siedział w więzieniu w najgłębszej tajemnicy. To oznacza, że jest to straszna kara, a przecież wielu ludzi znalazło się tam przez przypadek. Jest takie wyobrażenie, że w więzieniu dzieje się Bóg wie co, ale tam dzieje się to samo, co za murami. Dlatego w więzieniu rozmawia się tak samo. Również o książkach.

A jak pani rozmawia z więźniami o książkach?

– Dla mnie istotne jest czytanie nielinearne, czyli przejście na wyższy poziom edukacji, kiedy nie czyta się tylko po to, żeby się utożsamić z bohaterem i zobaczyć siebie w tekście, bo to może być nawet nudne.

– Z kobietami w więzieniu czytałam Harlequiny i wiele romansów, ale tak, aby się nie utożsamiać z główną bohaterką, co mogłoby budzić zazdrość. Czytałyśmy to jako piękną opowieść – również o tym, że każdej z nas należy się miłość i, być może, złoty mercedes. Ale zwracałam im też uwagę na szczegóły: że zanim bohaterka wsiadła do mercedesa, to miała czyste majtki, pedicure, była umyta. Nie wy-

gląda jak „oberkurwiszon”. Te proste historie mogą pokazać, że jest droga, którą trzeba przejść, aby coś osiągnąć. Jest to taki smrodek dydaktyczny, ale w końcu jestem pedagogiem.

Czy zawsze wygląda to podobnie?

– Pracowałam z wieloma grupami i próbowaliśmy czytać na różne sposoby. Kiedyś więźniowie powiedzieli mi, że robią „dekonstrukcję tekstu”. Zaczęłam się śmiać i zapytałam: „Skąd wam się to wzięło?”. Oni również się śmiali: „Przecież nas tego nauczyłaś”. Nie ważne czy użyjemy takich słów na pierwszym drugim spotkaniu, czy wrócą one do nas po roku.

– Ale nie jest tak, że spotykamy się i robimy analizy tekstów, to raczej pretekst do rozmowy. Kiedy czytaliśmy fragment o przyjaźni w *Sztuce wojny*, okazało się, że z ich doświadczeń wynika, że przyjacielowi nie można ufać. Zapytałam, czy to oznacza, że w ogóle nie ma przyjaźni. Trzeba nadać znaczenie słowu i się nad tym zastanowić. Tak wyglądają te rozmowy.

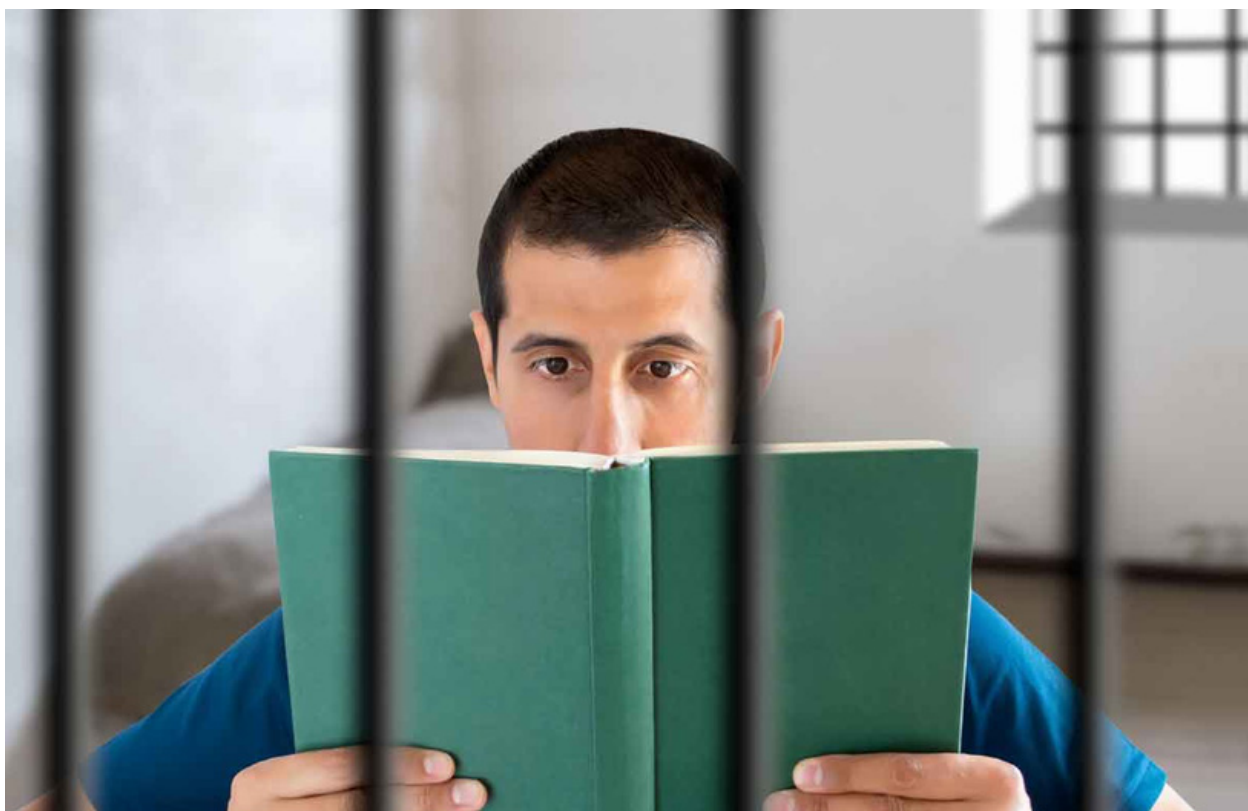
Czy miała pani trudności z przekonaniem władz więziennych do tej akcji?

– Służba więzienna była bardzo przychylnie nastawiona samego początku, ponieważ doskonale wie, że im więcej kontaktów ze światem zewnętrznym podczas pobytu w więzieniu, tym lepsze rokowania na przyszłość.

– Jest mało takich programów, bo dominuje podejście, że w ramach resocjalizacji więźniów ma przestać pić, zdobyć zawód i nauczyć się pracować. Ale później wychodzi z tym zawodem i nikt go nie chce zatrudnić. Służba więzienna wie, że czytanie to idealny projekt zastępowania agresji, bo ma tego namacalne dowody na co dzień – zwłaszcza, że my pracujemy przede wszystkim z osobami, które dostały duże wyroki.

Dlaczego akurat z takimi?

– Jeśli ktoś idzie do więzienia na 5 lat i nie jest recydywistą, prawdopodobnie wyjdzie po 2,5 roku. W takiej sytuacji potrzebne są inne projekty. A ja mam słabość do



Nie ma wyroku na dostęp do kultury

| 123RF PICSEL

dużych wyroków. Świadomość spędzenia 25 lat lub nawet całego życia w więzieniu musi być potworna. Poza tym lubię wyzwania i taka praca pozwala mi zobaczyć rezultaty w długiej perspektywie. Pilnujemy, żeby uczestnicy tych spotkań nie poszli siedzieć z powrotem i w około 80 procentach to się udaje.

Prowadzi pani statystykę?

– Dobrze się orientuję, ponieważ te działania nie obejmują dużej grupy. Są skuteczne, kiedy możemy nawiązać bezpośredni kontakt. Wiem to też od służby więziennej, która potwierdza, że oni zaczynają być innymi ludźmi.

Podtrzymuje pani kontakt w więźniami, którzy wyszli?

– Tak i jako Fundacja Zmiana zachęcamy ich do tego. Po wyjściu mogą się do nas nigdy nie zwrócić, ale dobrze aby mieli świadomość, że mają do kogo.

Pracuje pani też z więźniami z wyrokami dożywocia. Oni raczej nie wyjdą.

– Ludzie z dożywociem też mogą wyjść. Polskie ustawodawstwo zakłada, że po odsiedzeniu 30 lub 32 lat można się starać o warunkowe przedterminowe zwolnienie. Ile ma się wtedy lat? Głupoty robi się najczęściej w młodości, więc mogą wyjść po pięćdziesiątce. W tym wieku nie jest się jeszcze starym człowiekiem. A co przez następne 30 lat?

– Ci ludzie siedzą za straszne przestępstwa, ale większość z nich popełniła je w bardzo młodym wieku. Wspólne czytanie daje im świadomość, że ktoś nadal widzi w nich ludzi, a nie tylko zwierzęta. Nikt z nich nie chciał być mordercą. Kobiety, które odsiadują 25 lat za zabicie męża, nie planowały tego.

A macie sygnały jak to działa w więzieniach, gdzie nie prowadzicie dyskusji tylko dostarczacie książki?

– Dużo zależy od bibliotekarza – im lepszy, tym lepsza dostępność książek. Chciałabym, abyśmy mogli działać we wszystkich więzieniach. Ale to wymaga pracy wolontariuszy o szczególnym zaangażowaniu. Ważne jest, żeby spotkania z grupami prowadziły te same osoby. Ta praca musi być wykonywana systematycznie. Nie wystarczy zrobić zbiórkę książek i pójść do więzienia raz. To oddziałuje na więźniów. Oni wiedzą, że nie jesteśmy projektem. Jeśli nie przyjdziemy to dlatego, że coś się stało, ktoś zachorował, ale nie dlatego, że sobie to odpuściliśmy, albo projekt się skończył. My nie kłamiemy i oni to wiedzą.

Do ilu więzień trafiają książki od waszej fundacji?

– W ciągu ostatnich pięciu lat przekazaliśmy pół miliona książek do około 38 zakładów karnych. Ale moim marzeniem jest, aby akcja wspólnego czytania stała się rozwiązaniem systemowym. Chciałabym, żeby to było coś, co wyróżnia tę służbę więzienną na tle Europy.

Czy takich zajęć nie mogliby prowadzić pracownicy więzienia?

– Nie. Wartość tych działań polega na tym, że mieszają się światy. Do więźniów przychodzi ktoś z zewnątrz. Można też uznać, że to jest tylko jeden świat, ale ważne jest przełamanie izolacji, której poddani są ludzie w więzieniu.

Czy są takie książki, które chciałaby pani przedstawić więźniom, ale być może są jeszcze za trudne?

– Nie zaczynamy od prostych. Czytamy wszystko. Była Hanna Krall i Filip Springer. Była *Miłość w czasach zarazy* i dużo wierszy. Ale chciałabym mieć czas i możliwość usiąść z tą grupą i przeczytać choćby jeden tom *Archiwum Ringelbluma*. I nie chodzi tu o dojrzałość czytelników, ale o to, by mieć dostępną odpowiednią liczbę egzemplarzy.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Ukraińska armia wykorzystuje koty także propagandowo. W 2016 roku trwała akcja *Kup kota z Doniecka*. Wspomóż walkę z terrorystami

| East News

Nietypowi uchodźcy w Polsce. Kto przekracza granicę?

Sławek Zagórski

Nietypowi uchodźcy pojawiają się w Polsce. Nie tylko pojedynczo, ale i grupami. Są przerażeni, głodni, przewożeni w klatkach. Niektórzy kalecy, inni tylko obandażowani. Wszyscy pragną spokoju i nowego domu. Każdego miesiąca do Polski trafia kilka takich kotów z terenów objętych wojną.

AWDIEJEWKA. WIOSNA 2016 ROKU. Od kilku miesięcy toczą się o nią zacięte walki. „Dziś to miejsce stało się linią frontu. O kontrolę nad rejonem przemysłowym Awdiejewki i pobliskim węzłem drogowym toczą się zacięte boje. Żołnierze, którzy utrzymują obronę, są stale narażeni na ostrzały rebeliantów. Nad głowami wojskowych codziennie przelatuje kilkadziesiąt pocisków moździerzowych. Są ostrzeliwani z granatników i ciężkich karabinów maszynowych. W pobliżu ich pozycji kluczą grupy dywersyjne” – podawał w majowym komunikacie ukraiński sztab.

Awdiejewka leży w pobliżu strefy buforowej. W teorii nie powinno tam być ani wojsk ukraińskich, ani rebeliantów. Jednak miasto jest zbyt ważne dla obu stron, by je tak zwyczajnie opuścić. Wokół pojawiły się czołgi, ciężka artyleria, na niebie samoloty i śmigłowce. Na ziemi co jakiś wybuchają pociski moździerzowe i artyleryjskie.

Wielu mieszkańców straciło swe domy. Ochotnicy rozdają posiłki, koce, wodę. Po mieście spacerują patrole wojska. Pomiędzy nimi uwijają się wolontariusze ratujący bezdomne zwierzęta.

– Tam wszystko stoi na głowie – mówi Joanna Piotrowska–Wojczak, prezes fundacji *Ja Pacze Sercem*. – Pomagają niezrzeszeni wolontariusze. Często przypadkowi ludzie.

Bywa tak, że ci przypadkowi ludzie są już kojarzeni w okolicy. Do nich zwracają się osoby widzące bezdomne, ranne, chore zwierzęta.

– Przychodzą ludzie. Mówią, że widzieli kociaki bez matki – mówi Julia, studentka z Awdiejewki. – Nie wiadomo, co się z nią stało. Zginęła od rakiety, czy po prostu zniknęła. My takie kociaki zabieramy i ratujemy im życie. One tej wojny nie wywołały.

EWAKUACJA Z WOJNY

W strefie ATO ciężko żyje się ludziom, a co dopiero zwierzętom. Nie są one priorytetem na liście pomocy. Schroniska są przepełnione, brakuje jedzenia i lekarstw. Wciąż przybywają kolejne psy i koty. Fundacja *Ja Pacze Sercem* postanowiła pomóc ukraińskim wolontariuszom.

– Pomagamy od 2015 roku. Na początku nie było łatwo. Na Ukrainie były obawy, czy zwierzęta nie trafią do badań – mówi prezes Piotrowska–Wojczak. – Po pierwszych udanych kontaktach lody zostały przełamane. Do końca grudnia 2016 roku pomogliśmy 52 kotom.

– Niektóre z nich wywozili żołnierze. Były różne przygody – dodaje.

Jednym z takich kotów wywiezionych przez wojsko była Myszka. Mała kotka, rasy rosyjski niebieski. Została znaleziona przez „babuszkę” pod Ługańskiem. Była ranna, miała urwany fragment łapki. W dodatku zapadła na koci katar, który wywołał ślepotę. Starsza pani przygarnęła ją. Zawinęła w chustę i zabrała do domu. Dzieliła się kaszą, oddawała resztki mięsa. Chciała ją leczyć, ale nie miała pieniędzy.

Kotka marniała w oczach. Staruszka jednak się nie poddawała. Ktoś usłyszał o fundacji. Pojawiła się szansa. Jednak najpierw kota trzeba było ewakuować. Jak to zrobić, kiedy wszędzie wokół strzelają? „Babuszka”, wraz z wolontariuszami, zwróciła się do tych, którzy mieli największe możliwości – do żołnierzy. Na początku nie widzieli możliwości wywiezienia zwierzęcia. „Gdzie kota wam będziemy wozić” – mówili. W końcu jednak się udało. Jeden z żołnierzy schował kociaka za pazuchę i odwiózł do lecznicy w Kijowie. Kotkę udało się uratować. Dziś ma szczęśliwy dom w Polsce.

Podejście wojska bardzo się zmieniło, kiedy ministerstwo obrony zaczęło prowadzić akcję *Kup kota. Wspomóż walkę z terrorystami*. Można powiedzieć, że wówczas rząd Ukrainy zwrócił uwagę na problem kotów na linii frontu. Skala pomocy okazała się jednak zbyt mała. Bardziej w wymiarze propagandowym niż materialnym.

ZESPÓŁ STRESU POURAZOWEGO

Myszka została okaleczona jedynie fizycznie, jednak często zdarzają się zwierzęta okaleczone także psychicznie. Na zespół stresu pourazowego, zwany z angielska PTSD, cierpią nie tylko ludzie. PTSD jest to zaburzenie psychiczne będące formą reakcji na skrajnie stresujące wydarzenie, które przekracza zdolności danej osoby

do radzenia sobie i adaptacji. Nie jest ono obce także zwierzętom.

– Tak, koty mogą cierpieć na PTSD – mówi Mieszko Eichelberger, koci behawiorysta. – Objawem PTSD są między innymi: ogromna czujność i nadwrażliwość, niepokój, zachowania agresywne, wobec człowieka, innych zwierząt, a także wobec swojego ciała czy też pozostawianie odchodów w mieszkaniu.

Takie koty też trafiają do Polski. Niewidomy kocur o imieniu Bohun został poważnie poparzony w pożarze domu, w którym mieszkał. Jego opiekunka, starsza pani, zamieszkała u rodziny. Stan zwierzęcia był bardzo ciężki, brakowało pieniędzy na jego leczenie. Krewni staruszki oddali go w ręce fundacji. Po załatwieniu formalności trafił do domu tymczasowego w Polsce.

Leczenie obrażeń fizycznych trwało pół roku. Z psychicznymi zwierzę sobie nie radziło. Przez ślepotę kocur nie wiedział, co się z nim dzieje. Był zdezorientowany i przerażony. Uciekał, chował się. Na każdy głośniejszy dźwięk reagował przeraźliwym miauczeniem.

– Szczególnie w przypadku niewidomego kota, potrzebujemy jak najmniej zmieniającego się środowiska. Zaczynamy dbałość od małego pomieszczenia, z brakiem możliwości ukrycia się głęboko – tłumaczy ekspert. – Dajmy mu kryjówki na widoku, podchodźmy do kota zawsze tak, by nas słyszał. Nie narzucamy się.

Ostatecznie zdecydowano, że kot zostanie na stałe w domu, który miał być dla niego jedynie tymczasowym.

– Koty po przejściach zawsze potrzebują czasu. Czują się najlepiej w sytuacji, gdy znają otoczenie, mają powtarzalny dzień. Ich dzień powinien być zapewniony rutyną – mówi Mieszko Eichelberger. – Czas, cierpliwość, miłość oraz zrozumienie – podkreśla.

Teraz Bohun jest szczęśliwym, pełnym życia kotem, który wrócił do równowagi.

PROCEDURY

Wbrew pozorom nie jest łatwo adoptować zwierzę. Tym bardziej nie jest łatwo wywieźć kota ze strefy walk, a później przygotować go do zagranicznej adopcji. Trafiają one najpierw do schroniska i lecznicy w Kijowie. Tam przygotowywane

są wszystkie potrzebne dokumenty. Są badane. Mają przeprowadzane testy na wszelkie możliwe kocie choroby. Po przygotowaniu dokumentacji trafiają do Polski, do domów tymczasowych, w których przechodzą dalsze, najczęściej specjalistyczne, leczenie.

– Pomagamy wielu schroniskom na Ukrainie. Nie jest to proste. Często brakuje pieniędzy na leczenie – opowiada prezes Piotrowska–Wojczak. – Wszyscy działamy charytatywnie.

Po podleczeniu koty trafiają do adopcji. Odbywają się wizyty. Przyszli opiekunowie są sprawdzani pod każdym względem. Adopcja zwierzęcia po przejściach nie jest spacerkiem do sklepu po bułkę i kefir. W końcu fundacja decyduje się, czy oddać kota komuś pod opiekę, czy nie. W ten sposób trafiła do nas Margot.

MAŁY UCHODŹCA

Kiedy byłem w Doniecku na przełomie września i października nie sądziłem, że trzy miesiące później przygarniemy ukraińskiego uchodźcę. Wówczas przywiozłem zdjęcia i sporo archiwaliów. Nie był mi w głowie kolejny kot.

– Zobacz, jakie biedactwo – narzeczona przysłała mi zdjęcia puchatej kulki nieśczęścia. Bez jednego oczka, za to z całą masą chęci do życia.

Margot została znaleziona przez jedną z wolontariuszek, Antoninę. O istnieniu kociaka samotnie przemierzającego ulice dowiedziała się od sąsiadów. Wszyscy w okolicy wiedzą, że organizuje pomoc dla zwierząt. Dwumiesięczny kociak trafił do Kijowa. Stamtąd do Warszawy. Był wrzesień 2016 roku. Minęliśmy się z nią w drodze. Ona jechała do Polski, ja na Ukrainę.

W Polsce okazało się, że trzeba kotce usunąć oko. Dochodziła do siebie w domu tymczasowym. W styczniu trafiła do Krakowa. Stało się. Po mieszkaniu szaleje mały koci pirat. Jeden z kotów, które mogłyby nie przeżyć, gdyby nie bezinteresowna pomoc dziesiątek wolontariuszy. Fundacja nie ma stałych źródeł finansowania. Wszystko organizowane jest we własnym zakresie: leczenie, transport, karma.

Antonina pod koniec stycznia napisała: „Margoszkę operowano w Europie, na szczęście się udało. (...) Kiedy wszystkie procedury zostały dopełnione przez na-

szych przyjaciół w Warszawie, przekazali oni kota rodzinie w Krakowie”. Pod po-
stem pojawiły się wyrazy wdzięczności i uznania. Nie zawsze jednak tak jest.

BRACIA MNIEJSI, NIEKONIECZNIE KOCHANI

Zdumiewa czasem alergia ludzka na cierpienie innych. Nie tylko rasy ludzkiej. Tu-
taj pojawiają się kwestie etniczne, wyznaniowe lub jakiegokolwiek inne, które „nie
pozwalają” na szacunek i zrozumienie, o współczuciu nie wspominając. Zdumiewa
niechęć do pomocy innym stworzeniom.

– Często pojawiają się nienawistne wpisy i bezpośrednie groźby – mówi Piotrow-
ska-Wojczak. – Trudno będzie panu znaleźć rozmówcę na Ukrainie.

Miała rację. Jednak nie tylko na Ukrainie tak jest, w Polsce również. Ludzie zwy-
czajnie boją się.

– Wolontariusze spotykają się z agresją. Co chwilę słyszą: dzieciom pomóżcie,
a nie kotom – mówi prezes. – Mimo tego, dzięki dziesiątkom wspaniałych ludzi,



Wielu żołnierzy uratowało kotom życie

| ALEKSEY FILIPPOV East News

udaje nam się pomóc tym zwierzętom.

– Ludziom brakuje domów, a co dopiero kotom. Choć w pewnym sensie pomagamy też ludziom. Wiedzą, że nie są sami – dodaje.

To prawda. Może kogoś to dziwić, ale zwierzęta na linii frontu nie są czymś zbędnym. W ukraińskich okopach co jakiś czas widać spacerujący kłębek futra. Podobnie jest na ulicach miast i wsi. Koty pomagają oswoić się z sytuacją, stresem, niemocą.

– Gdzie jest kot, tam wszystko jest w porządku – powiedział przed kamerami BBC Pawło, celowniczy karabinu maszynowego, stojący na punkcie kontrolnym z kociakiem w ręku.

To zwierzę ma to szczęście, że jest zdrowe, ma wszystkie łapki, oczka i dbającego opiekuna. Kotom, które nie mają tyle szczęścia pomaga fundacja.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Dorota Sumińska

| Polska Press East News

Dorota Sumińska: wzrusza mnie lojalność psów

Katarzyna Wilk

Gdy powiedziałam jej w żartach, że mój partner musi tolerować to, że to pies zawsze zabiera w nocy największą kołdry, odpowiedziała: „Mężczyznę zawsze można zmienić, psa nigdy!”. Jeśli chodzi o dobro zwierząt jest bezkompromisowa. Sama ma ich niespełna 20, w łóżku śpi z dziesięcioma. Ile ich już uratowała? Mało kto potrafi to zliczyć. Jak żyć z psem, by go nie krzywdzić? O tym opowiada legenda weterynarii, Dorota Sumińska.

KATARZYNA WILK, STYL.PL: Mówi się, że właściciele psów dzielą się na tych, którzy śpią z psem w łóżku i na tych, którzy się do tego nie przyznają. Pani z taką ilością zwierząt musi mieć ogromne łóżko!

DOROTA SUMIŃSKA: – Mam bardzo duże łóżko, to prawda. Ze wszystkimi zwierzętami nie dałabym rady spać, jest ich za dużo. Ale myślę, że oprócz nas to 10 zwierząt się mieści. Nie tylko psów, bo koty również z nami śpią.

Ile zwierząt teraz z panią mieszka? Słyszałam, że stara się pani nie przekraczać liczby 20.

– W tej chwili mam wyjątkowo mało, tylko 18. Mamy wakat, ale ponieważ jadę na urlop i to córka zostanie w domu by się nimi opiekować, nie mogę jej narazić na trudne początki z nowym zwierzęciem. Sama też bym nie chciała zostawiać w domu psa czy kota, który dopiero co z nami zamieszkał. Ale zaraz po powrocie nadrobimy braki.

A co z tak popularnymi dziś hotelami dla zwierząt?

– Hotel dla zwierząt? Nie, broń Boże. Własny dom i troskliwi opiekunowie, to najlepsze co możemy dać zwierzątkom pod naszą nieobecność. W moim przypadku nie może być to jeden opiekun, musi być ich więcej. I jeszcze jest jeden ważny warunek. Zwierzęta muszą te osoby znać i lubić. Dlatego córka z chłopakiem zamieszkają pod naszą nieobecność w domu.

– Kiedy mamy dziecko i wyjeżdżamy bez niego, to nie oddajemy go do domu dziecka, lecz zapewniamy mu opiekę babci, ciotki, kogoś z rodziny, kogo dziecko zna i przy kim czuje się bezpiecznie. Ze zwierzętami jest tak samo. A przynajmniej powinno być...

Przy takiej ilości psów i kotów, które u pani mieszkają, to z karmieniem, wyprowadzaniem i sprzątnięciem może być tyle pracy, ile w gospodarstwie rolnym.

– Nawet więcej, bo jak ma się gospodarstwo, to nie mieszka się ze zwierzętami

pod jednym dachem i pod tą samą kołdrą. To praca 24 godziny na dobę, ja nie przesadzam. Ale to też zależy od tego, jakie się ma zwierzęta. Moje są stare, chore i kalekie. Wymagające ciągłej adoracji. Dlatego w domu stale ktoś musi być, nawet na minutę nie zostawiamy zwierząt samych.

– Każda praca, jak się ją wykonuje dobrze, zajmuje tyle czasu i jest trudna. A czy trudniejsza od innych? Nie. To jest życie! Tak jak ludzie, którzy mają pięcioro dzieci też wykonują przy nich ogrom pracy, ale nie myślą o tym w ten sposób. To nie praca, tylko rodzina, dom. Nauczyliśmy się traktować wszystko jak problem, obowiązek. Chcielibyśmy, żeby wszystko robiło się samo, żeby wszystko było łatwe, ale na to, żeby mieć z życia satysfakcję, trzeba trochę popracować.

Samo nic się nie zrobi... No, może poza tym, że nie wiadomo kiedy pies upodobni się do nas, albo my do psa. Wierzy pani w tę zasadę?

– I tak, i nie. Bo gdybym ja miała się upodobnić do swoich psów, to bym za nimi nie nadążała. Z drugiej strony – gdy z kimkolwiek przebywa się tak długo i żyje się razem to naturalne, że nabieramy wspólnych cech. Proszę popatrzeć na starsze małżeństwa, które przeżyły ze sobą kilkadziesiąt lat. Ci ludzie wyglądają prawie tak samo.

– Jeżeli ma pani psa, jest pani z nim długo i lubi pani biegać, to jesteście szczupli i zgrabni. Jak lubicie leżeć na kanapie przed telewizorem, to jesteście okrągli. Siłą rzeczy się do siebie upodabniacie. To jest nieuniknione.

A co ma pani wspólnego ze swoimi zwierzętami?

– Wszystko! Jesteśmy ssakami, bije w nas serce, pulsuje czerwona krew, mamy prawie taką samą wątrobę. Mamy takie same potrzeby, chcemy być kochani, chcemy mieć ciepłe miejsce, chcemy, żeby się z nami witano gdy wracamy do domu.

Czego możemy się od nich nauczyć podczas wspólnego życia?

– Wszystkiego co dobre: lojalności, szczerości uczuć, oddania, miłości. Wszystkich tych cech, które przypisujemy ludziom. Ale niestety my ich nie mamy, cierpimy na braki pod tym względem.

Ale psy też potrafią pokazać pazury, podobno potrafią nawet kłamać.

– Ależ oczywiście! Wszyscy mają wady, przypuszczam, że nawet święci. Natomiast jeżeli psy zadeklarują swoje uczucia i pokochają, to są w tym bardzo trwałe. Nie biorą rozwodów, nie uciekają, nie porzucają. Ich lojalność niezwykle mnie wzrusza.

Kiedy posłuchamy znajomych, którzy właśnie sprawili sobie pierwszego psa, często skarżą się na to, że czworonóg głośno szczeka, gdy wpadają do nich goście, żebrze przy jedzeniu, albo załatwia się w domu, mimo że nauczony jest inaczej. Jest na to jakaś rada?

– Proponuję najeść się dużo śliwek, takich dobrze sfermentowanych i wyruszyć w podróż pociągami do Zakopanego. Można nie zdążyć do toalety... To, że mamy pretensje do zwierząt, że załatwiły się w domu, to są nonsensy! One nie mają, jak my, toalety. A wszyscy wiemy, jakie są prawa przewodu pokarmowego. To się zawsze może zdarzyć. Szczególnie kiedy się starzejemy. Uważam, że człowiek zbyt wiele uwagi poświęca kupie. (śmiech) To naprawdę błaha sprawa. Wystarczy zwyczajnie posprzątać.

– Proszę sobie też wyobrazić taką sytuację: siedzi pani bardzo długo sama w zamknięciu i nagle do domu wchodzi ktoś bardzo przez panią oczekiwany. Trudno opanować radość. I dalej: wyobraźmy sobie, że do tej pory pozwalano pani siadać do stołu. Nagle przyszedł ktoś obcy, i wszyscy mówią, że już nie wolno tego robić. A pani jest bardzo głodna. To robi pani wszystko, żeby przy tym stole się jednak znaleźć.

– Jesteśmy bardzo niekonsekwentni w stosunku do zwierząt. Najpierw je karmimy przy stole, potem nie chcemy tego robić i denerwujemy się, gdy skomlą. Najpierw się z nimi witamy, a potem mamy pretensje, że podarły rajstopy. To samo z siebie nie robi. Wszystkie te sytuacje są konsekwencją naszego postępowania względem zwierząt.

A psia kuweta? Do niedawna nie wiedziałam, że coś takiego można kupić. Brzmi dosyć absurdalnie.

– To jest bardzo dobry pomysł! Małego psa można nauczyć korzystania z kuwety. Jak długo pracujemy, nie ma nas po 10 godzin w domu, to jest to dobre rozwiązanie. Pies nie ma oporu, nie stresuje się i może skorzystać z kuwety pod naszą nieobecność. A właściciel nie musi się denerwować, że nie wróci z pracy na czas i że pies cierpi. A przecież chodzi o to, żeby tego uniknąć.

– Ale pamiętajmy, że pomimo kuwety, z każdym psem, małym, dużym trzeba wychodzić na spacer. I niedobrze jest, jeśli traktujemy je tylko jako wyprawę toaletową. To jest przede wszystkim spacer! I to dla psa, nie dla nas.

Tyle, że w zimie z długimi spacerami może być różnie... Kanapowca trudno w taką pogodę wygonić z domu.

– Gdyby każdy z nas chodził gołą stopą po śniegu posypanym solą, to też nie byłoby nam przyjemnie. Dlatego przed spacerem warto posmarować łapy psa wazeliną. Dzięki temu sól z chodników nie będzie ich ranić. Najlepiej robić to bezpośrednio przed spacerem, żeby pies nie zdążył jej z siebie zlizać.

Wiele osób chciałoby zadbać o bezdomne psy, pomóc im przetrwać zimę, ale może wziąć ich ze schroniska, bo nie ma warunków. Jak inaczej może im pomóc?

– Wspierając kastrację zwierząt. Można regularnie wpłacać nawet niewielką kwotę właśnie z przeznaczeniem na ten cel. W Polsce są gminy, które prowadzą takie akcje i tam ilość psów w schroniskach zmniejszyła się o ponad połowę. Do tego w ogóle nie ma szczeniąt. Kastracja to również ogromne oszczędności dla gmin, które nie muszą płacić ani hyclom, ani schroniskom.

– Jedynym sposobem pozbycia się bezdomności jest kastracja zwierząt, które mamy w domach! Bo bezdomność nie bierze się z magicznej chmury, tylko z niekontrolowanych miotów, szczególnie na prowincji Polski, która jest generatorem bezdomności zwierząt. Dlatego wszyscy, którzy mają zwierzęta nieprzeznaczone

do rozrodu powinni je wykastrować.

– Inna sprawa, że większość ludzi, którzy mówią, że nie mogą pozwolić sobie na psa, bo nie mają warunków, albo czasu, robi to z czystej wygody. W rzeczywistości te warunki mają. Pamiętajmy, że nawet jeśli długo pracujemy i pies będzie musiał czekać sam w domu, to zaręczam, że lepiej, jeśli siedzi we własnym i ciepłym domu nie mogąc doczekać się właściciela, niż gdy marznie w metalowej klatce w schronisku. A powiedzieć: „Przykro mi, nie mam warunków” jest zwyczajnie łatwiej.

Ostatnio słyszałam historię, jak próbowała pani ratować rannego dzika leżącego przy drodze. Chciała pani zatrzymać inne samochody, jednak nikt nie stanął i nie pomógł. Wracała pani sama z rannym dzikiem na tylnym siedzeniu. Dzik nie przeżył. Czy pani jeszcze lubi ludzi?

– Lubię człowieka. Ludzkości nie cierpię.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Tomasz Łoziński w filmie z 1995 roku *Wszystko może się przytrafić*

| materiały prasowe

Tomasz Łoziński: malutkiego dinozaura nigdy już nie spotkam

Łukasz Piątek

„W życiu wszystko może się zdarzyć. Malutkiego dinozaura można spotkać” – mówi z pełnym przekonaniem siedzący na ławce między starszym małżeństwem sześćioletni Tomek. Ubrany w charakterystyczną, czerwoną kurtkę chłopiec stał się głównym bohaterem wybitnego filmu dokumentalnego *Wszystko może się przytrafić* w reżyserii jego ojca Marcela Łozińskiego. Po 22 latach od zrealizowania tego niezwykłego dzieła rozmawiamy z 28-letnim Tomaszem Łozińskim.

ŁUKASZ PIĄTEK, INTERIA: Ma pan swoje ulubione miejsce w Warszawie?

TOMASZ ŁOZIŃSKI: – Najbliższa mojemu sercu jest Stara Ochota, bo to dzielnica, w której mieszka mój ojciec. To miejsce naturalnie kojarzy mi się z dzieciństwem – jest piękne i spokojne. Oczywiście bardzo lubię również Łazienki Królewskie. Ostatnio zaczęliśmy tam grać w piłkę z bliźniakami mojego brata – Emilem i Romanem. Oni mają teraz prawie tyle lat co ja, kiedy śmigałem po tym parku na hulajnodze.

Łazienki Królewskie to dla pana taki wehikuł czasu?

– Tak. Za każdym razem, kiedy tam wracam – a jest to dla mnie miejsce szczególne – przypominam sobie o filmie, o ojcu, o wszystkich tych starszych osobach, z którymi wówczas rozmawiałem.

Często wraca pan myślami do tamtych rozmów?

– Powiedzmy: regularnie. Widzę tego małego Tomka, i to, jak się od niego oddalam. Film „Wszystko może się przytrafić” ciągle do mnie wraca i tak już chyba będzie do końca życia. Zawsze będę tym małym Tomkiem z filmu mojego ojca. Zdarza się i tak, że bliscy czy ludzie z otoczenia filmowego nadal zwracają się do mnie per Tomaszek. To nie stanowi dla mnie problemu, przyzwyczailem się.

Pana znajomi z Francji wiedzą, że wystąpił pan w dokumencie swojego ojca z 1995 roku?

– W Paryżu niespecjalnie obracam się w środowisku filmowym, zatem niewiele osób wie. Poza tym ja o to nie zabiegam. Czasami spotkam kogoś, kto zna ojca i jego twórczość – wówczas najczęściej pada pytanie, czy to ja jestem małym Tomkiem.

Jakie były reakcje pana przyjaciół, kiedy dowiadawali się, że jest pan „Tomaszkiem”?

– Jeśli już komuś pokazywałem film, to było wąskie grono moich najbliższych przyjaciół. Reakcje były różne. Jedni się wzruszali, inni mówili, że byłem bardzo słodkim

dzieckiem. Nigdy nie chciałem definiować się tym filmem i nie będę tego robił. On w pewnym sensie jest dla mnie czymś bardzo intymnym, częścią mojego dzieciństwa, i tym, kim jestem dzisiaj.

Pamięta pan moment, kiedy dowiedział się od ojca, że wystąpi pan w jego filmie?

– Pamiętam, kiedy ojciec powiedział mi, że zagramy w „grę w przepytanki” i nie będę musiał iść do przedszkola. Być może padło nawet słowo „film”, ale jako sześciolatek nie wiedziałem, co znaczy kręcić film. Chętnie się zgodziłem, bo perspektywa opuszczenia zajęć w przedszkolu wydawała mi się bardzo kusząca. Mnie się wydaje, że ta rozmowa z ojcem miała miejsce u nas w kuchni, ale ojciec twierdzi, że to nieprawda.

Pana mama miała jakieś „ale”?

– Nie. Ojciec zawsze radził się mamy w sprawie swoich projektów. Poza tym ona miała do niego wielkie zaufanie, wspierała go i dalej to robi.

Utkwiły panu w pamięci jakieś momenty, sceny, może konkretne bodźce w trakcie realizacji?

– Jeśli mowa o zapamiętaniu bodźców, których bym wówczas doświadczył, to niestety nie, bo byłem zbyt mały, żeby to w sobie schować i trzymać przez kilkadziesiąt lat. Natomiast dziś szczególną uwagę zwracam na muzykę tego filmu. Jest niesamowita. Duże wrażenie robi na mnie również dedykacja na końcu filmu. Być może mój ojciec, kiedy widzi chłopca z hulajnogą lub w czerwonej kurtce, wraca pamięcią do pojedynczych chwil, których ja dziś niestety aż tak szczegółowo nie widzę.

Jak długo trwała realizacja filmu?

– Mieliśmy dziesięć dni zdjęciowych, a potem czekało tatę i jego ekipę wiele miesięcy montażu. W sumie realizacja trwała pół roku. Nagrano około 25 godzin rozmów. Proces nagrywania był dla mnie bardzo intensywny. Po czterech dniach

powiedziałem tacie, że mam dosyć i że chcę wracać domu, bo to bardzo męczące.

– „Powiem ci smutną prawdę” – oświadczył mi tata. – „To nie jest tylko zabawa w przepytówki, ale ciężka praca całej ekipy filmowej, dlatego musimy skończyć ten film”. Powiedziałem mu wtedy: „Jesteś okrutny!”. No i zaczęły się negocjacje. Ktoś z produkcji zabrał mnie na lody, potem dostałem rower...

Zastanawiałem się, w jaki sposób udało się tak dobrze zarejestrować dźwięk, skoro nikogo z ekipy filmowej przy panu nie było, ale zauważyłem, że miał pan na wysokości ramion ukryte w kurtce niewielkie mikrofony. Zatem zapytałem o pracę operatora, bo oglądając film ma się wrażenie, że sceny nagrywane są z ukrycia.

– Zdjęcia robione były na bardzo długiej optyce, stąd poczucie intymności. Operator nam nie przeszkadzał, a to bardzo ważne podczas rozmowy z drugą osobą. Ja dziś mogę mówić o intymności, ale wtedy mnie jako sześciolatek nie obchodziło, dlaczego operator jest prawie niewidoczny, bo po prostu podchodziłem do obcych osób i zadawałem im różne pytania, nie myśląc o tym, po co to wszystko jest robione i jaki ma sens.

Osoby, z którymi pan rozmawiał były przypadkowe?

– Tak, zwykli spacerowicze. Tylko dwie osoby były „podstawione”. Podstawione w tym sensie, że ojciec w swoich dokumentach czasami „namaszcza” bohaterów, których życiowe historie w jakiś sposób go intrygują, dlatego decyduje się zaangażować ich w film. Zresztą, gdyby tata miał miesiąc na realizację i nieskończoną ilość taśmy, to na pewno prędzej czy później trafilibyśmy w parku na takie osoby. On to nazywa zagęszczaniem rzeczywistości. Mowa o panu Wiesiu, który był również głównym bohaterem filmu dokumentalnego mojego brata Pawła pt. *Taka historia*, oraz o kobiecie z dworca. Oczywiście to nie byli aktorzy, lecz autentyczne osoby z prawdziwymi historiami, jednak na potrzeby filmu – nazwijmy to – dowieszone na plan. Reszta moich rozmówców naprawdę była po prostu z tego parku.

Czy ci ludzie byli informowani o nagrywaniu filmu przed czy po rozmowach?

– W większości przypadków dopiero po. Natomiast czasami wrywało mi się na samym początku: „Dzień dobry, jestem Tomek Łoziński, proszę pomachać, bo tam jest kamera”.

Dzieci są zazwyczaj nieśmiałe w kontakcie z obcymi osobami. Pan nie miał z tym problemu?

– Tata dlatego zrobił ten film, bo zauważył, że byłem ciekawskim dzieckiem, które szybko nawiązywało kontakt z obcymi ludźmi. Jako dokumentalista sam chciał zadać te wszystkie pytania, ale wiedział, że on nie otrzymałby od nich odpowiedzi, a ja owszem.



Rozmowa z panem Ignacym

| materiały prasowe

Zdarzało się, że ojciec namawiał pana, żeby wrócił pan do swojego rozmówcy i kontynuował pogawędkę, bo jego zdaniem rozmowa – mówiąc kolokwialnie – kleiła się?

– Nie. Jak już wcześniej wspomniałem – tego materiału było 25 godzin, z czego ojciec zrobił 39 minut. Pamiętam jedynie, że pod koniec zdjęć tata musiał mnie bardzo zachęcać, żebym podchodził do ludzi i w ogóle zaczynał gadać. Mnie powoli zaczynało to nudzić i stawałem się coraz bardziej wybredny. Ojciec szukał czegoś, co mnie w tych ludziach zaintryguje.

– Przychodziliśmy rano do parku, a ja nie miałem ochoty na jakiegokolwiek rozmowy. Mówiłem, że teraz to nie, że oni nie są ciekawi. Wtedy tata szukał sposobów, żeby mnie jakoś przekonać. Wskazywał mi jakiegoś pana i mówił: „Zobacz, ten pan jest biedny...”. „Biedny? Jak to? Skąd wiesz?”. „Ma podartą koszulę...”. „Super, to biegnę”.

– No i podbiegałem do starszego pana pytając go wprost, czy ma dziurę w koszuli. Ta scena zresztą znalazła się w filmie.

W jednej ze scen rozmawia pan ze starszą kobietą, która opowiada panu o tym, jak wojna pokrzyżowała jej życiowe plany. Pan odpowiada: „Wojna pokrzyżowała plany jak swastyka, taki znak”. Skąd sześciolatek kojarzył swastykę z wojną?

– Mieliśmy w domu komiks Spiegelmana *Maus*. Na jego okładce była ogromna swastyka. Któregoś dnia zapytałem ojca, co to w ogóle jest. Później już wiedziałem, że ten symbol kojarzy się z wojną, a wojna z czymś złym. Zresztą, to był częsty temat w naszym domu, bo tata jest Żydem.

Dużo scen, które z pańskiego punktów widzenia były interesujące, z jakichś powodów nie znalazło się w filmie?

– Była taka jedna rozmowa z młodymi ludźmi. Tata jednak uznał, że była ona nieciekawa i nie pasowała do reszty. Trudno mi powiedzieć, czy były jakieś interesu-

jące momenty, które z jakiegoś powodu w filmie się nie znalazły, bo niestety nie pamiętam.

Zdarzały się jakieś niemiłe sytuacje?

– Ci ludzie z reguły byli bardzo mili. Może czasami trochę zdziwieni. I niestety w wielu przypadkach bardzo smutni i samotni. Nasze rozmowy były ciepłe. Powiedziałbym nawet, że czułe. Czasami myślałem sobie, jakby to było, gdybym był w ich wieku i któregoś razu podszedłby do mnie taki mały chłopiec z jakimś dziwnym pytaniem. Wydaje mi się, że byłbym wtedy szczęśliwy choć przez chwilę. Zadawałem proste, ale ważne pytania, nie zdając sobie sprawy z ich wagi. Starsi ludzie, zwłaszcza samotni, mają tyle rzeczy do opowiedzenia...

Którąś z tych osób lub rozmów szczególnie pan zapamiętał?

– Pana Ignacego. Tak pięknie i czule opowiadał o swojej nieżyjącej żonie. Mówił, że ona wcale nie odeszła, że ciągle czuje jej obecność w domu, słyszy ją i widzi, choć jej tam przecież wcale nie ma. Cudowny człowiek. Pamiętam również pana, który pytał mnie czy wiem która ręka jest lewa, a która prawa, bo przecież powinienem wiedzieć, skoro modłę się do Pana Boga. Nie rozumiałem o czym mówi, bo ja się nie modliłem.

W późniejszych latach interesował się pan losem tych ludzi?

– Byłem dzieckiem, więc siłą rzeczy nie wiedziałem, co oni robią. Wiem, że dzieci pana Ignacego były w kontakcie z tatą. Kilka lat później od mojego brata Pawła dowiedziałem się, że Wiesio wylądował w szpitalu, później z niego uciekł. Prawdopodobnie wszyscy ci ludzie, których spotykałem na ławkach w Łazienkach Królewskich niestety już nie żyją.

Wszystko może się przytrafić to film bardziej o przemijaniu czy o samotności?

– Ten film jest opowiadaniem o spotkaniu w pewnym sensie dwóch różnych świa-

tów – kogoś, kto dopiero zaczyna przygodę z życiem, człowieka szczęśliwie naiwnego, żyjącego w bezpiecznej bańce, nieświadomego, ale i ciekawego, z kimś, kto jest już na końcu tej drogi. Można chyba powiedzieć o retrospekcji życia, jakiej dokonują moi rozmówcy. Rodzina, przemijanie, starość, stosunek do śmierci – wiele historii przez duże H. Prawdziwe i potężne emocje. Z tych wszystkich pogawędek tata zrobił film, który – jeśli nie zabrzmiał to górnolotnie i zbyt banalnie – jest po prostu filmem o życiu.

W filmie jedna z osób tłumaczy panu, że w życiu liczy się przede wszystkim zdrowie. Pan nie zastanawiając się zbyt długo dodaje z entuzjazmem: „Zdrowie i pieniądze!”. Jak po 22 latach skomentowałby pan tamte słowa sześciolatka?

– Trzeba przyznać, że to była konkretna odpowiedź. Dziś uważam, że faktycznie zdrowie jest na pierwszym miejscu. Pieniądze są ważne, ale traktuję je w kategoriach narzędzi do bycia niezależnym i wolnym. Choć z drugiej strony można się zastanawiać, czy słowa – pieniądze i wolność – wzajemnie się nie wykluczają. Z dzisiejszej perspektywy myślę sobie, że to ta pani w białym kapeluszu miała rację mówiąc: „Najważniejsza w życiu jest akceptacja”. Podpisuję się pod tym.

I pan siebie zaakceptował?

– Dziś już mogę powiedzieć, że tak. Czasami słyszę głosy różnych ludzi, że są bardzo zdziwieni, dlaczego z tego małego, bystrego chłopca nie wyrósł jakiś genialny matematyk albo filmowiec. Nie pasuje im obraz dorosłego Tomka, bo przecież sześciolatek Tomaszek na hulajnodze był taki słodki, naiwny, żeby nie powiedzieć niewinny. I w zasadzie mam gdzieś z tyłu głowy tę myśl, że powinienem dziś stanąć na wysokości tego chłopca. Na wysokości oczekiwań ludzi, którzy w 1995 roku zachwycali się małym Tomkiem. Ale co zrobić?

Tytuł filmu nawiązuje do konkretnej rozmowy w parku, kiedy pan tam z pełnym przekonaniem i wiarą mówi, że w życiu może się wszystko przy-

trafić. Że można nawet spotkać małego dinozaura. Czuł pan później rozczarowanie, że tak wcale nie jest?

– Zdecydowanie tak. Miałem piękne i beztroskie dzieciństwo. Zawdzięczałem to cudownym rodzicom, którzy zapewniali mi poczucie bezpieczeństwa, dawali szczęście. Wtedy nic złego mnie nie spotkało i byłem przekonany, że tak właśnie wygląda świat, że nie ma się czym przejmować, bo przecież... No właśnie... Wszystko może się przytrafić. Ale mówiąc to, myślałem wyłącznie o pozytywnych rzeczach. Kiedy rozmawiałem z jakimś panem o wojnie, to z całym przekonaniem mówiłem, że się z nim zgadzam i rozumiem co mówi, że również dużo „przeszedłem”, bo przecież w grze wideo też rozwalam różne czołgi czy samoloty i przechodzę do następnej planszy.

– Starąłem się jak najdłużej zostać w tym moim idealnym świecie. Później jednak musiałem, jak każdy z nas spojrzeć w oczy rzeczywistości. Mam jednak to szczęście, że ona na razie nie daje mi jakoś bardzo popalić. Aczkolwiek wiem, że nic nie jest dane raz na zawsze, bo wystarczy się rozejrzeć, jak wielu ludzi dookoła nas cierpi. Chyba najciężiej jest się pogodzić w dorosłym życiu, że tę dziecięcą beztroskość gubi się gdzieś po drodze na etapie dorastania. Dziś wiem, że tego malutkiego dinozaura prawdopodobnie nigdy już nie spotkam.

Po 12 latach wraca pan wspólnie z ojcem na te same ławki do Łazienek Królewskich, gdzie powstaje kolejny dokument z pańskim udziałem *A gdyby tak się stało*. Tyle, że tam już nikogo nie ma, ławki są puste.

– Ten drugi film miał wyglądać zupełnie inaczej. Plan był taki, że prowadzę w nim dialog z ojcem. Teraz mogę powiedzieć, że chyba nie stanąłem na wysokości zadania zmierzenia się 18-letniego Tomasza z 6-letnim Tomkiem. Było mi o tyle trudno, że nie miałem już w sobie tej dziecięcej spontaniczności. Zwracałem uwagę na kamerę, widziałem ekipę filmową. Nie czułem tych wszystkich emocji tak spontanicznie, jak miało to miejsce 12 lat wcześniej, czyli w ,95 roku.

Na końcu filmu *A gdyby tak się stało* prowadzi pan dialog z samym sobą – z małym Tomkiem. Mówi pan: „Coś po drodze zgubiłem...”.

– Naiwność i beztroska. Tę łatwość i lekkość po prostu bycia sobą. Nie umiałbym dziś podejść do kogoś i zapytać, czy boisz się umrzeć. Bo kim ja jestem, by o to pytać? Przychodzę po 12 latach jako 18-latek do tego samego parku, rozglądam się i stwierdzam, że faktycznie coś zgubiłem. A może należałoby powiedzieć, że... zderzyłem się z rzeczywistością. „Ale jak to? To już? To jest ta rzeczywistość?”.

Dziś optymistycznie czy raczej pesymistycznie patrzy pan na świat? Pytam osobę, która mieszka we Francji – kraju, na który co jakiś czas zwrócone są oczy całego świata z uwagi na zamachy terrorystyczne.

– Chyba w *Mistrzu i Małgorzacie* jest taki dialog między pesymistą a optymistą. Ten pierwszy mówi: „Stary, nie mogłoby być gorzej”. Na to optymista: „No co ty, oczywiście, że tak”. Z natury jestem bardzo optymistyczny. Kiedy wstaję rano, to czuję energię do działania, do życia, do realizowania się. W Paryżu mieszkam w dzielnicy, która nazywa się „Złota Kropla”. Na ulicy tuż obok jest 37 różnych narodowości. Francja ma swoją historię związaną z imigracją, która czasami z punktu widzenia Polski jest nie do końca dobrze rozumiana. Francja ma swoją przeszłość kolonialną, o czym się często zapomina. Przyjeżdżają do mnie znajomi z Polski i wskazując palcem na czarnoskórych mówią: „Przecież to nie są Francuzi”. Otóż są. Mieszkają tu od pięciu pokoleń. Stary, oni są bardziej francuscy niż ja. Świat, w którym żyjemy jest skomplikowany i być może nawet przerażający, ale jeżeli mowa o Europie, to patrząc na skalę tego, co działo się w XX wieku, myślę że mimo wszystko nie jest coraz gorzej, jak niektórzy twierdzą.

Czuje się pan bardziej Francuzem czy Polakiem?

– Być może zabrzmiało kontrowersyjnie, ale powiem w ten sposób: zależy kiedy. Bo jak czasami patrzę na to, co się dzieje w Polsce, to mam ochotę powiedzieć, że nie czuję się specjalnie Polakiem. Chyba pół na pół.

I kiedy patrzy pan na Polskę, to co pana denerwuje?

– Tak naprawdę to wszystko mnie trochę przeraża. Mam wrażenie, że ten kraj, który przez tyle lat tak bardzo walczył o wolność i demokrację, dziś nieco się pogubił. Zupełnie niezrozumiałe jest dla mnie, jak Polska zachowała się w sprawie uchodźców. Wystarczy przecież pojechać na północ Francji, żeby przekonać się, jak wielu naszych rodaków tam żyje. Polacy szukali pomocy podczas wojny, ale i wyjeżdżali już we współczesnych czasach – choćby do Wielkiej Brytanii, bo mieli taką możliwość. No więc halo! Nie jestem w stanie tego zrozumieć, bo przecież integracja Polski z Europą naprawdę się udała. To bardzo pomogło Polsce, i co ważniejsze – Polska bardzo skutecznie umiała się w tym odnaleźć. Kiedy widzę w Polsce faszystowskie marsze, to naprawdę się boję.

– Mam wrażenie, że debata polityczna w Polsce, na poziomie obywateli, bardzo się skryształizowała. Niedawno w Warszawie byłem świadkiem rozmowy o programie 500+. Jeden z obecnych powiedział, że głosował na PiS i że uważa tę reformę za słuszną. Od razu zrobiła się niemiła atmosfera i wszyscy się od niego odwrócili. Myślę, że metody polityczne PiS-u są demagogiczne i populistyczne, ale z drugiej strony jest przecież prawdziwy problem z pomocą społeczną w tym kraju.

– W końcu, trzeba też przyznać, że próba stłamszenia mediów, mianowanie sędziów Trybunału Konstytucyjnego, zamieszanie wokół Sądu Najwyższego, zagrożenie w trójpodziale władzy, próby zakazu aborcji, różne skandale wokół Macierewicza, wypowiedzi Waszczykowskiego – to wszystko się wydaje nierealne, a niestety tak dziś wygląda Polska. To przykre.

Porozmawiajmy trochę o tym, czym się pan dziś zajmuje.

– Pracuję w agencji komunikacji, która specjalizuje się w sztuce współczesnej. Od wielu lat mieszkam w Paryżu. W sumie większą część życia spędziłem we Francji. Kiedy jeszcze chodziłem do szkoły, wyjechałem z mamą na kilka lat do Moskwy, bo tego od niej wymagała praca. Po powrocie trochę mieszkałem w Polsce u ojca, ale kiedy zbliżała się matura, znowu wróciłem do Paryża.



28-letni Tomasz Łoziński obecnie

| Fot. *la petite chose*

Nie ma pan dziś w sobie pokusy mówiąc najogólniej – bycia sławnym? Przecież wystąpił pan w filmie, który w głosowaniu internautów został wybrany najlepszym polskim dokumentem 100-lecia.

– Nie dostrzegam powodów, dla których miałbym być sławny. Wystąpiłem w dokumencie mojego ojca, a trzeba zaznaczyć, że film dokumentalny to nisza. To, jak ten film wygląda, to przede wszystkim zasługa mojego ojca. Ja byłem zwykłym dzieckiem, które akurat miało szczęście mieć tatę reżysera. Po prostu taki byłem. Nie miało dla mnie znaczenia, czy podchodzę do ludzi i zagaduję, kiedy gdzieś w oddali jest kamera, czy jej nie ma.

– Ojciec pokazywał mi, że w życiu są ważniejsze sprawy, niż pokazywanie się za wszelką cenę w telewizji. Pamiętam, kiedy zmarł Kieślowski, który przyjaźnił się z tatą. Poproszono tatę o wywiad do telewizji, żeby porozmawiać o Kieślowskim. Ojciec nie chciał o tym słyszeć. Wychodził z założenia, że śmierć jego wielkiego przyjaciela nie jest tematem do publicznej debaty. Ja wtedy nie potrafiłem tego

zrozumieć. Przychodziłem do ojca i mówiłem: „Ale to przecież telewizja. Wszyscy cię zobaczą. Każdy chciałby być na twoim miejscu”. Dopiero po wielu latach uświadomiłem sobie, że sława sama w sobie nie ma żadnego sensu. Jest próżnością. Po filmie „Wszystko może się przytrafić” podobno pojawiały się dla mnie propozycje wystąpienia w reklamach, ale ojciec dbał o to, żeby sodówka nie uderzyła mi do głowy. I dziś jestem mu za to wdzięczny.

Często odwiedza pan tatę w Polsce?

– Staram się jak najczęściej. Średnio jestem w Polsce co dwa miesiące, ale bywa i tak, że nie mogę już wytrzymać, więc kupuję bilet i przylatuję choćby na chwilę. Lubię przyjeżdżać do Polski. Dla mnie to ogromna radość, kiedy całą rodziną Łozińskich możemy pospacerować po Agrykoli. Staram się jak najczęściej kolekcjonować takie momenty.

Gdzie jest pana dom?

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. We Francji spędziłem większość swojego życia, ale w Polsce mam rodzinę. Mieszkam obecnie w Paryżu, bo tutaj mam pracę, ale to nie jest też tak, że coś mnie tu trzyma. Ciągnie mnie do miejsc, do których chcę wracać z uwagi na bliskich mi ludzi. A czy to będzie Paryż, Warszawa, Berlin czy Nowy Jork, to nie ma dla mnie większego znaczenia. Mam 28 lat i sporo życia przed sobą. Chyba nie ma sensu zakładać sobie, co i gdzie się będzie robić za 5, 10 czy 15 lat.

Bo przecież „wszystko może się przytrafić”...

– I to jest chyba w tym wszystkim najfajniejsze, że życie może być jednocześnie skomplikowane, ale również bardzo proste i piękne. Miałem w życiu bardzo dużo szczęścia, bo rodzice otaczali mnie wielką miłością. Uczyli wrażliwości, pokazywali, co jest ważne. Patrzę na ten film jak na medal, który dostałem od mojego taty. I bez względu na to, co się przytrafi, ja zawsze będę go przy sobie nosił.



Michał Kędziora prowadzi bloga *Mr.Vintage* i jest autorem książki *Rzeczowo o modzie męskiej*,

| fot. Łukasz Znojek

Mr. Vintage: jak się ubrać, a nie przebrać

Agnieszka Łopatowska

Najgorzej jest, kiedy ktoś coś ubierze i źle się w tym czuje, a wydaje mu się, że wygląda fajnie. Jest przebrany, a nie ubrany – mówi Michał Kędziora, bloger *Mr.Vintage*, autor książki „*Rzeczowo o modzie męskiej*”.

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA, INTERIA: Brustasza, poszetka, patka, szlica – ilu znasz mężczyzn znających te słowa?

MICHAŁ KĘDZIORA, MR.VINTAGE: – Moja opinia może być nieobiektywna, bo wśród moich znajomych wielu jest z branży modowej, więc pewnie ten odsetek byłby duży. Ale gdybyśmy takie pytanie zadali na ulicy, mogłoby być kiepsko. Akurat wybrałaś sformułowania niełatwe, obco brzmiące, które w dodatku często są mylone, np. poszetka z butonierką, więc pewnie poprawnych odpowiedzi nie byłoby wiele. Jeszcze.

Pytam, bo ciągle się zastanawiam, na ile skuteczna jest twoja misja propagowania męskiej elegancji.

– Kiedy przyglądam się polskiej ulicy, wierzę, że idzie to w bardzo dobrym kierunku. Mężczyźni bardzo się zmienili w ostatnich latach. Nie wypada mi o tym mówić, ale mam nadzieję, że w jakimś stopniu też się do tego przyczyniłem – moim blogiem czy książką. Oczywiście miały w tym udział inne osoby, które zajmują się tym w blogosferze, no i sami mężczyźni do tego dojrżeli.

– Widać, że coraz więcej facetów interesuje się modą. A najbardziej widać to po grupie młodszej – uczniach ostatnich klas liceum, studentach pierwszych lat. Są to osoby, które żyją modą na co dzień i przywiązują do tego dużą wagę. Nie traktują ubrania wyłącznie jako okrycia wierzchniego, czegoś, co muszą nosić. Daje im ono przyjemność, satysfakcję, potrafi wyrażać ich styl, jest spójne z ich charakterem, stylem życia. Fajnie, że tak się dzieje, bo prawda jest taka, że moda jest bliska każdemu z nas. Nawet jeśli byśmy temu zaprzeczali, to każdy z nas ma dzisiaj na sobie spodnie, buty, koszulę czy kurtkę, więc chcąc nie chcąc, jesteśmy jej konsumentami. Lepiej zatem z modą się zaprzyjaźnić.

Czym drugie wydanie twojego poradnika różni się od poprzedniego?

– Muszę przyznać, że kiedy padła propozycja wznowienia mojej książki, nie czytałem jej już ze trzy lata. Kiedy otworzyłem ją, żeby wprowadzić niezbędne korekty, okazało się, że nie muszę wiele zmieniać. Może to nieskromnie zabrzmieć, ale wydaje

mi się, że jej treść nadal jest bardzo dobra i ponadczasowa, zatem w części merytorycznej wprowadziłem tylko kosmetyczne zmiany. Dołożyłem też jeden rozdział, w którym odpowiadam na najciekawsze i najczęściej pojawiające się pytania moich czytelników. Natomiast przez ostatnie cztery lata moje gusta się zmieniły i teraz zrobiliśmy bardziej profesjonalną szatę graficzną, z lepszymi zdjęciami, na których lepiej widać ubrania i z lepiej dobranymi stylizacjami.

Jaka jest różnica między byciem blogerem a autorem książki?

– W moim przypadku nie aż tak duża jak mogłoby się wydawać. Moja książka jest bardzo poradnikowa i taka miała być. Kiedy pojawił się pomysł, żeby powstała, było to dla mnie dużym zaskoczeniem, bo jeszcze cztery lata temu dla szerszego grona odbiorców byłem osobą anonimową. Ale kiedy już zacząłem się zastanawiać, jaka powinna być, doszedłem do wniosku, że musi być rzeczowa, przystępna, bardzo praktyczna. Taka, do której mężczyźni będą chcieli wracać. Zależało mi, żeby przydawała się, kiedy ktoś będzie chciał kupić sweter dobrej jakości, wiedzieć, co założyć na rozmowę kwalifikacyjną, na ślub, na randkę. Żeby wtedy otworzył ją na odpowiedniej stronie i w minutę miał odpowiedź na swoje pytanie. Wydaje mi się, że to mi się udało, a ponieważ teksty poradnikowe są znakiem rozpoznawczym mojego bloga od początku, zatem Mr. Vintage jako blogger i jako autor książki to ten sam model twórczości.

Popularne w internecie są zdjęcia zestawiające eleganckich mężczyzn sprzed kilkudziesięciu lat z tymi ze współczesnych wybiegów z pytaniem: „Co poszło nie tak?”. Co poszło nie tak?

– To akurat są skrajne przykłady. Żyjemy w XXI wieku, więc odwoływanie się do standardów sprzed 100 lat nie zawsze ma sens, choć z wielu elementów ubioru z tamtych czasów nadal korzystamy (np. poszetka, garnitur, płaszcze, klasyczne modele obuwia). Z drugiej strony, wszystkie ekstrema pokazywane jako moda współczesna pojawiają się, żeby przyciągać uwagę mediów. Gdybyśmy poszli do sklepu marki, która na wybiegu prezentuje slipki założone na spodnie, zapewne nie

znajdziemy tam takiego połączenia. Żyjemy w czasach obrazkowych, a moda jest tak dużym biznesem, o tak dużej konkurencji, że trzeba się łapać różnych metod, żeby się wyróżnić. Czasem jest to śmieszne, niestety.

Czyli działa klasyczna zasada: wyróżnij się, albo zgiń.

– W tym biznesie trzeba się wyróżniać. Jedne marki robią to umiejętnie, inne nie. Wybór jest tak szeroki, że i tak każdy znajdzie coś dla siebie. Ważne, żeby unikać tych ekstremów.

Ciebie, podobnie jak mnie, przerażają młodzi ludzie z odsłoniętymi kostkami na kilkustopniowym mrozie – ze względów estetycznych czy praktycznych?

– Jestem osobą, która traktuje modę bardzo praktycznie. Staram się, żeby to co noszę, było użyteczne i funkcjonalne, dlatego nie rozumiem tych gołych kostek. Mnie by było zwyczajnie zimno, pomijam już fakt, że w dłuższej perspektywie może to prowadzić do problemów zdrowotnych. A kwestie estetyczne? No cóż, również nie dostrzegam niczego atrakcyjnego w gołych kostkach na śniegu. Wygląda to śmiesznie.

Polacy popełniają jakieś błędy modowe, które cię szczególnie rażą?

– W stereotypach często powtarzają się skarpetki do kłapek czy sandałów jako znak rozpoznawczy Polaka – niesłusznie, bo Niemcy znacznie częściej noszą taki zestaw na wakacjach.

– Nadal podstawowym błędem jest noszenie za dużych ubrań. Garnitury i koszule są często o rozmiar za duże, spodnie o 5, 8, czasem 10 centymetrów. Wygląda to źle, aczkolwiek jest tego coraz mniej. Co też pokazuje, że mężczyźni coraz bardziej przywiązują wagę do swojego wyglądu i zdobywają wiedzę na jego temat. Wpisy o tak banalnych rzeczach, jak długość spodni czy rękawów, na moim blogu są hitowe – mają po 100–150 tys. odsłon, co świadczy o tym, że takie porady są potrzebne, a mężczyźni szukają takiej wiedzy.

– Sporo jest błędów w okresie zimowym, kiedy na przykład kurtki narciarskie zakładane są na garnitur, albo zamiast ładnych trzewików mężczyźni zakładają do garnituru buty trekkingowe.

Kogo uważasz za najlepiej ubranego polskiego polityka?

– Powiem szczerze, że wśród polityków trudno wybrać osoby, które wyglądają naprawdę bardzo dobrze, choć i w tej grupie jest spory postęp. Patrząc na plakaty wyborcze sprzed dziesięciu lat widać przepaść. To pokazuje, jak bardzo politycy zrozumieli, że wizerunek, który do tej pory interesował ich mniej niż to, co komunikują, ich program, jest bardzo ważny. Teraz na zdjęciach mają krawaty, białe koszule i granatowe garnitury. Albo ktoś im dobrze doradza, albo sami zrozumieli, że obrazki – mówiąc wprost – też „sprzedają” danego człowieka, a zasada „jak cię widzą, tak cię piszą” u takich osób jest rzeczywiście istotna. Choć byśmy nie wiadomo jak zaprzeczali, że nie oceniamy książek po okładce, a ludzi po wyglądzie, to każdy z nas podświadomie to robi. To bardzo dobrze widać właśnie na politykach.

– Wyróżniłbym na pewno Donalda Tuska – to mężczyzna o szczupłej sylwetce, więc garnitury na nim dobrze leżą i są prawidłowo dobrane pod względem koloru, fasonu i rozmiaru. Krawat jest dobrze zawiązany, buty czyste, a spodnie mają właściwą długość – to takie proste detale, ale u wielu polityków zawodzą i czasem rujnują cały wizerunek. Był kiedyś mem z panem Kaczyńskim, który kilka lat temu został sfotografowany w mocno zniszczonych butach z wybrakowanymi sznurówkami i później ciągnęło się to za nim przez kilka lat – to pokazuje, jak jeden prosty element ubioru może popsuć wszystko.

A kogo wyróżniłbyś pośród celebrytów i sportowców?

– Dziennikarzy: Piotra Kraśko i Marcina Prokopa – bardzo dobrze ubrani i widać, że przywiązują do tego dużą wagę. Ze sportowców Grzegorz Krychowiak ma wloty i upadki, budzi kontrowersje, ale zazwyczaj udaje mu się fajnie ubrać. Przyznaję jednak, że kiedy różne czasopisma proszą mnie o przygotowanie rankingu 10 najlepiej ubranych Polaków w mijającym roku, mam z tym spory problem. Co roku po-

wtarzam te same nazwiska, co potwierdza, że takich naprawdę świetnie ubranych Polaków wśród osób publicznych jest niewiele. Już dużo łatwiej byłoby mi wskazać taką dziesiątkę spośród moich znajomych, którzy z modą obcują na co dzień.

Styl, elegancja jest kwestią pieniędzy?

– Nie. Kiedy zaczynałem wydawanie bloga, mój budżet ubraniowy był bardzo skromny. Wydawałem na ubrania kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Zaopatrywałem się głównie w second handach, tak zaczynałem swoją przygodę z modą. Są też sieciowe sklepy, gdzie dysponując stosunkowo niewielkim budżetem można kupić całkiem niezłe rzeczy w okresach wyprzedażowych, zatem duży budżet nie jest priorytetem. Zresztą wśród rodzimych celebrytów mamy wiele przykładów, gdy ktoś wydaje tysiące złotych na swój wizerunek i nie zawsze daje to dobry efekt, bo zamiast dobrego stylu mamy kicz i chwalenie się metkami.

– Dużo ważniejsze jest wyczucie stylu, poznanie podstawowych zasad, a cała reszta przychodzi z czasem. Jestem klasycznym przykładem samouka, podobnie jak wielu moich czytelników. Też popełniałem błędy, czasami łapię się za głowę oglądając swoje stylizacje sprzed 6–7 lat.

Co cię teraz inspirowuje?

– Zdecydowanie największym źródłem inspiracji jest szeroko rozumiany internet. Są to strony internetowe ulubionych marek, blogi polskie i zagraniczne. Chętnie też śledzę instagramowe profile osób, które na co dzień zajmują się modą – tam jest najwięcej ciekawych inspiracji.

Co powinien mieć w szafie każdy mężczyzna?

– To zależy, jaki styl preferuje. Ja je dzielę na trzy: casualowy, zwany przez niektórych streetwearowym, półelegancki – łączący elegancki z codziennym oraz elegancki, oparty głównie na garniturze.

– Jeśli weźmiemy pod uwagę garniturowców, w szafie powinni mieć co najmniej dwa garnitury klasyczne, pasujące na każdą okazję. Granatowy i szary to kolory

uniwersalne. Do tego kilka koszul pasujących do tych garniturów, proponowałbym również klasykę: białą, błękitną, albo różową. Na pewno przydadzą się dwie pary butów: czarne i brązowe.



Michał Kędziora

| fot. Łukasz Znojek

– W tylu półformalnym na pewno musi się pojawić sportowa marynarka, którą można założyć do spodni chinos czy dżinsów. Dżinsy powinny być w szafie każdego mężczyzny – proste, granatowe, bez dziur czy przetarć. Sportowa koszula w kolorze białym lub błękitnym. Buty brązowe, kilka poszetek.

– W stylu casualowym powinniśmy mieć kilka klasycznych t-shirtów, dżinsy, chinosy oraz sneakersy lub trampki. To taka podstawowa baza.

Czyli 20 elementów odzieży w męskiej szafie powinno wystarczyć?

– Myślę, że spokojnie tyle by wystarczyło. Ograniczona paleta ubrań ułatwia nam życie. Nie musimy się zastanawiać rano, co założyć i czy ta koszula będzie pasować do tego garnituru czy marynarki. Jeśli wybierzemy sobie uniwersalną i ponadczasową bazę, to wszystko będzie do siebie pasować.

W tym sezonie modny będzie kolor ultra violet – bardzo mocny fiolet. Myślisz, że pojawi się w męskich stylizacjach?

– Nie sądzę by stał się kolorem wiodącym kolekcji męskich, ale pewnie pojawi się jako akcent kolorystyczny w dodatkach: poszetkach, krawatach czy skarpetach. Dobrze wygląda też na koszulkach polo czy swetrach. Zresztą powiedzmy sobie szczerze, ten ultrafiolet nie jest niczym nowym, bo kolor ten co kilka lat pojawia się w modzie damskiej i męskiej.

– Rzecz w tym, że moda jest wielkim biznesem, w którym cały czas coś się musi dziać by biznes się kręcił, a klienci chcieli co roku kupować coś nowego, stąd też trendy typu kolor roku. Mówi się, że mniej więcej co 10–15 lat pewne trendy powracają i historia pokazuje, że faktycznie tak jest. Coś, co kiedyś wydawało nam się obciachem, po jakimś czasie znowu jest modne. Jednym z dominujących trendów tego sezonu będzie mocno sprany džins, który mi kojarzy się z latami 90, które przecież uznawane są za okres wyjątkowego kiczu w modzie codziennej.

Czy Polacy są modni? Kiedy mój kolega mówi, że Zurych chodzi w adidasach do garniturów, ja wiem, że Warszawa będzie chodzić w nich rok później.

– Faktycznie tak jest i zawsze tak było. Dotyczy to nie tylko mody, ale trendów w stylu życia, urządzaniu wnętrz i wszelkich elementów, które otaczają nas na co dzień. Nie ma w tym nic złego. Polacy źle się czują w ślepym podążaniu za szybkimi trendami, nie mają też żyłki trendsetterów, zatem pewne trendy zaczynają u nas „żyć” po kilku latach.

Częściej spotykasz się z przykładami mężczyzn, którzy chcą się dobrze ubierać, ale nie wiedzą jak, czy tymi, którym na tym po prostu nie zależy?

– Brak wiedzy to jedno i rzeczywiście jest to spory problem. Kiedyś podstawowe zasady dotyczące mody męskiej, chociażby jak zawiązać krawat, były przekazywane z ojca na syna. Końcówka lat 80. i początek 90. to czas, kiedy te zasady zniknęły i ubiór przestał być tak istotny. Gdybyśmy spojrzeli na zdjęcia naszych dziadków

i ojców sprzed kilkudziesięciu lat, mieliby na sobie co najmniej marynarkę i koszulę, a najpewniej garnitur. Bo to były stroje, w których chodziło się na co dzień. Później nastąpiła w tej tradycji jakaś dziura. Pojawiły się za długie spodnie, rozciągnięte swetry, flanelowe koszule, dresy i buty sportowe weszły do codziennego stroju.

– Po drugie problemem jest brak zauważania w ubraniu czegoś istotnego. Przez lata mówiło się, że mężczyzna nie jest od tego, żeby ładnie wyglądać, lecz jest stworzony do wyższych, bardziej „męskich” celów. Moda była przez nich ignorowana, bo jeśli wszyscy wokół to powtarzali, a wokół siebie nie widzieli takich wzorców jak kiedyś (ojciec, dziadek), to te standardy dobrego ubioru zanikały. Na szczęście się to zmienia. Młodzi ludzie się nią interesują. Rozumieją, że ubranie to nie tylko odzienie, lecz coś co pokazuje szacunek do ludzi, miejsc, ale także coś, co pozwala wyrażać swój styl, osobowość, zainteresowania. Jedno jest pewne – będzie lepiej, bo młodzi mężczyźni interesują się modą.

Mam wrażenie, że czym młodzi ludzie chcą być bardziej oryginalni, tym bardziej masowo się do siebie upodobniają.

– Część osób, która ma wyczucie i dobrze się z tym czuje, będzie eksperymentować. Takie osoby są – jak się teraz mówi – influencerami w swoim środowisku. Są bardzo widoczne, mają wpływ na to, jak inni się ubierają. Nie ma w tym nic złego pod warunkiem, że ubrania osoby, którą chcemy naśladować, pasują też do nas, do naszego charakteru. Najgorzej jest, kiedy ktoś coś ubierze i źle się w tym czuje, a wydaje mu się, że wygląda fajnie. Jest przebrany, a nie ubrany.

– Nie jest łatwo zdefiniować, jak być ubranym, a nie przebranym. Do tego dochodzi się z czasem, po drodze popełnia się wiele błędów, ja również tak miałem. Ale najważniejsze, że młode osoby widzą w ubiorze potencjał.

Masz radę dla kogoś, kto właśnie zmienia swój styl, szuka swojej modowej tożsamości?

– Nie jest to łatwe. Na pewno trzeba się w ubraniu czuć dobrze, bez względu na okazję. Nie ma co na siłę wszystkich „wbijać” w garnitur czy marynarkę, choć po-

zornie jest to synonim dobrego stylu. Jeśli ktoś się czuje dobrze w dżinsach i sportowych butach, nie ma problemu. Ważne, żeby jego ubiór był dostosowany do stylu życia i faktycznie był jak druga skóra, która nie krępuje, lecz dodaje pewności siebie.

– Anegdota mówi, że Daniel Craig przygotowując się do roli Bonda nie czuł się pewnie w garniturach, które przecież są znakiem rozpoznawczym agenta 007. Wyglądał właśnie jak przebrany, a nie ubrany, bo na co dzień ich nie nosił. Podobno kostiumograf nakazał mu spać w garniturze, by poczuł się w nim niemalże jak w dresie, ponieważ Bond tak zawsze wyglądał. To też pokazuje, że z ubiorem czasem trzeba się po prostu oswoić.



Michał Kędziora

| fot. Łukasz Znojek

ZOBACZ W INTERNECIE >



Magdalena Boczarska

| fot. Robert Wolański

Magdalena Boczarska: jestem z siebie dumna

Magdalena Tyrła

– Gdy patrzę w lustro, to umiem powiedzieć, że choć czasami lekko nie było, to jakoś dobrze idzie. Jestem z siebie dumna – mówi w rozmowie ze Styl.pl Magdalena Boczarska, kobieta niezwykła, odtwórczyni głównej roli w filmie *Sztuka kochania*.

MAGDALENA TYRAŁA, STYL.PL: Jak przygotowywałaś się do roli Michaliny Wisłockiej?

MAGDALENA BOCZARSKA: – Od początku ta rola jawiła mi się, jak taki trudno osiągalny Mount Everest. W związku z tym, gdy dostałam propozycję odegrania Wisłockiej w *Sztuce kochania* pomyślałam, że ktoś mnie na pewno wkręca. Podejrzanie padło na Marię Sadowską. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę, bo zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo moją fizycznością odbiegam od oryginału i, że było gros aktorek, które stanowiły dużo bardziej oczywiste typy do wyboru.

Musiałaś przytyć?

– Tak i przytyłam. Bardzo dbam o siebie. Jestem z pewnością jedną z niewielu osób, które zwracają uwagę na to, by po sesjach zdjęciowych do różnych pism nie retuszować ich zdjęć, nie wyszczuplać ciała. Uważam takie działanie za oszustwo.

– Jeśli w wywiadach mówię, że dużo trenuję i rzeczywiście tak jest, to nie można przecież podmieniać komuś ciała. Ja się na to nie zgadzam. Ciężko na nie pracuję, więc dlaczego mam się nim nie pochwalić, nawet jeśli jest niedoskonałe. Jeśli mam trochę brzuszka na danym zdjęciu, to dlaczego mam oszukiwać, że go nie ma? Szczególnie, jeśli ja go bardzo lubię. Świetnie się czuję sama ze sobą.

– Dla roli Wisłockiej przestałam trenować, by moje ciało było bardziej obłe, kobiece, bardziej zmysłowe. Normalnie trenuję trzy, a nawet cztery razy w tygodniu, mam swojego trenera. Zdarzyła się w moim życiu Krav Maga, triathlon. Dbam o siebie i mam świadomość, że mam ciało trochę bardziej wyżyłowane, a zasugerowano mi w związku z rolą, że powinno być pełniejsze. Zatem mocno nad tym pracowałam.

Co dla ciebie było najtrudniejsze przy pracy nad postacią? Nie pytam o nagość.

– Faktycznie bardzo często jestem pytana o nagość, która tak naprawdę wcale nie była najtrudniejsza. Jest ona przecież elementem naszej pracy. Jeżeli znam artystyczny kontekst tej nagości i jest ona w pełni uzasadniona, a w przypadku tego

projektu tak jest, to nie jest to dla mnie wyzwanie. Jeśli ona nie jest tylko po to, by spełnić męskie potrzeby, to nie mam z nią żadnego problemu. Przecież muszę wyposażać postać nie tylko w ciało, ale również w twarz i oczy, całą erotykę. W filmie pokazane jest to, jak Wiśłocka walczyła o wydanie swojej książki, ale pokazana jest również jej emocjonalność i seksualność oraz to, jak ona się zmienia.

– Najtrudniejsze było dla mnie zagranie starszej kobiety. I to było rzeczywiście coś, co mi spędzało sen z powiek. Pamiętam próby przed lustrem, pamiętam żmudne oglądanie materiałów archiwalnych, na których widzimy charyzmatyczną osiemdziesięcioletnią panią. Proces do tego, by przejść wszystkie momenty, by w końcu dojść do prostoty, do pracy nad pewnego rodzaju dynamiką w ciele, tonem głosu, zmianą melodyki, zmianą szyku zdań, by uposażyć tę Miśkę także w jakieś moje bliskie kobiety, które były dla mnie inspiracją, nawet w jakieś powiedzenia babci.

Miałaś wpływ na dialogi?

– Mam to szczęście, że tak. Moje uwagi były wysłuchane. To nie tak znowu często się zdarza. Trafiłam na mądrych producentów, którzy chcieli słuchać, mówili, że najpewniej wiem o tej postaci najwięcej i w związku z tym warto mnie posłuchać. Nie mówiąc już o Marii, bo współpraca z nią była modelowa.

– Spędziłam dużo czasu z córką Wiśłockiej, przejrzałam tonę zdjęć, których nikt nigdy nie widział. Gdy mówiłam producentom, że jakaś scena to nie jest dobry trop, że będzie bliżej, jak będzie tak czy inaczej, byłam wysłuchana. To była naprawdę świetna współpraca. Dużo jest w tym wszystkim mojej pracy, ale też mi na to pozwolono.

– Natomiast zagranie tej najstarszej Wiśłockiej to było największe wyzwanie. Pamiętam te wszystkie próby nagrywane na cztery miesiące przed zdjęciami, ja cały czas miałam z tyłu głowy: „Wymienią mnie”, „To się nie uda”. „Kto w chorym zwidzie mnie wymyślił?” (śmiech). To wydawało mi się wtedy tak nierealne.

– Na koniec filmu jest taka scena, podczas której udzielam wywiadu. Wszyscy mówią, że świetnie wypadła. Tak naprawdę ta scena kręcona była na dwa tygo-

dnie przed zdjęciami, była w pełni improwizowana i służyła tylko po to, żebyśmy – i oni i ja – sprawdzili, na ile ja jestem Wisłocką. Po jej nagraniu wszyscy już byli pewni, że duch Miśki wszedł we mnie i, że jeśli pojawią się jakiegokolwiek wątpliwości, to będę jedyną osobą, która będzie w stanie je rozwiązać. I tak się rzeczywiście działo.

– To wielkie szczęście móc pracować z taką ekipą. Takie rzeczy się nie zdarzają. Czuję, że jest to moja przygoda życia z Michaliną w pakiecie, która to pozostanie moim przyjacielem już na całe życie, że oddycha mi gdzieś cały czas na karku.

Jak ona cię zmieniła?

– Zmieniła mnie maksymalnie. Wydaje mi się, że jeśli przez półtora roku robi się, mówiąc kolokwialnie, w tematyce macierzyństwa, orgazmów, bliskości, partnerstwa, kobiecości i kobiecej solidarności, to nie ma szans, żeby to nie wywarło na nas wpływu. Jej córka powiedziała mi: „Mama ci życie ułoży”. I rzeczywiście, dzieją się rzeczy dziwne, działy się już na planie i wspólnie uznaliśmy, że Michalina sama sobie film robi. Nawet przestaliśmy walczyć z przypadkami losu, bo stwierdziliśmy, że na pewno jest w tym jakaś metoda.

Co takiego się działo na planie?

– Zmieniała się ekipa, coś nie wychodziło. Skutkiem tego, że nie wychodziło działy się inne rzeczy, dużo fajniejsze od planowanych. Suma summarum okazało się, że nic nie działo się tak zupełnie przypadkowo.

– Ja natomiast mam poczucie, że faktycznie jakoś dojrzałam i okrzepłam, i jestem na innym etapie kobiecości, dużo bardziej świadomym. To zabawne – pamiętam, że miałam takie samopoczucie, kiedy skończyłam 20 lat, i podobnie czułam się, gdy skończyłam lat 30. Wtedy akurat udzielałam moich pierwszych poważnych i świadomych wywiadów po filmie *Różyczka*. Powiedziałam wówczas, że teraz dopiero czuję się prawdziwą kobietą. Co ciekawe, dokładnie pięć lat później powiedziałam to samo. Jeżeli za 20 lat ponownie wypowiem te same słowa, to będzie to naprawdę piękne.

Czyli co jakiś czas odkrywasz w sobie coraz to nowe pokłady kobiecości.

A co dała ci Michalina w tym kontekście?

– Obecnie mam świadomość różnych decyzji, wiem dokładnie czego chcę, a czego nie. Nie miotam się już tak w życiu – a doskonale pamiętam wszystkie swoje momenty paniki – i to jest naprawdę piękne, a także satysfakcjonujące. Czuję, że coraz częściej mam ochotę podejmować decyzje w ważnych kwestiach, co wcześniej wydawało mi się kompletnie niemożliwe, bo nie miałam wewnętrznej odwagi. Wyszłam na jakiś inny poziom, tak jakby ktoś mnie pchnął mówiąc: „No już, ile można stać w tym miejscu. Idziemy”. To zawdzięczam Miśce.

Czym jest wobec tego dla ciebie kobiecość?

– Kobiecość to przede wszystkim spełnienie, charyzma i pasja. Zawsze twierdziłam, że kobiecość to nie uroda, lecz coś, co idzie za kobietą. Mnie fascynują kobiety spełnione. To jest jakaś taka aura. Ta aura to ciężko uchwytnie coś, co powoduje, że ktoś ma niezwykłą osobowość. Myślę, że spełnienie jest najważniejszym kluczem. Kobieta spełniona jest kobieca i bardzo atrakcyjna.

A co ciebie spełnia?

– Czuję się spełniona zawodowo. Wiem, że mam duży fart, że mogę żyć w czasach, kiedy kobieta jest podmiotem, a nie przedmiotem. Cały czas musimy oczywiście walczyć o swoje prawa, ale prawda jest taka, że możemy się realizować. Nie żyjemy w czasach wojny, żyjemy w stosunkowo szczęśliwym okresie.

– Każdego spełnia co innego. Mnie ciągle coś dopełnia, bo czuję się kobietą szczęśliwą ze swojego życia. Myślę też, że szczytów spełnień w moim życiu może być kilka. Na tym etapie czuję się dobrze w związku, w którym jestem. Uważam, że mam fajne relacje, na które też miałam wpływ i które sama sobie ustaliłam. Mam fajnych przyjaciół, fajne życie, lubię siebie, dostałam świetną rolę do odegrania w ostatnim filmie...

– Uważam, że jestem taką fajną babą do życia i mam fajnego partnera. Ogromne znaczenie ma to, że dobrze czuję się sama ze sobą, a jeszcze do niedawna

bardzo się ze sobą męczyłam. W ogóle uważam, że nikt nie jest w stanie mnie tak zamęczyć, jak ja sama siebie (śmiej)

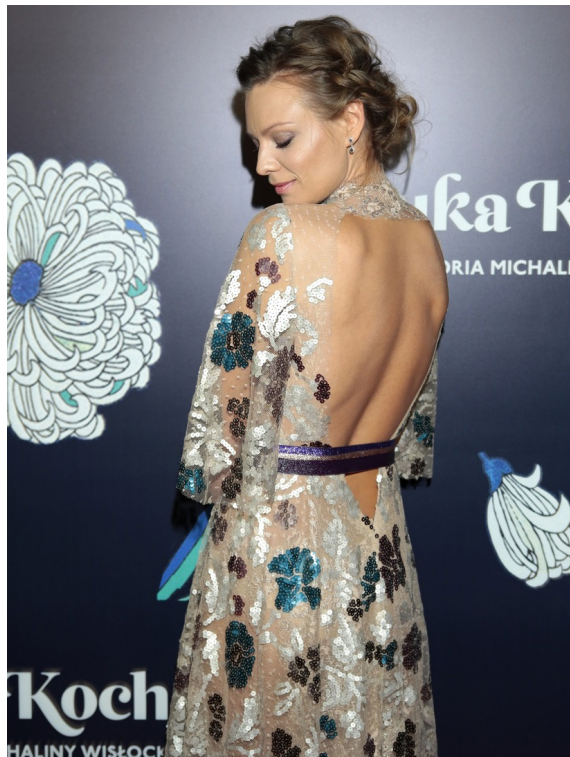
Tak a propos kobiecości – jak czułaś się z włosami pod pachami i w miejscach intymnych? Przy obecnych kanonach kobiecości, estetyki...

– Największy problem miał z tym mój partner, a nie ja (śmiej). I, o dziwo, większy z pachami. Z kolei nie miał absolutnie żadnego owłosienia łonowego.

Ile czasu się nie depilowałaś?

– Pięć miesięcy. Ja „to” zaczęłam zapuszczać tak naprawdę, gdy tylko dowiedziałam się, że będę Wiśtocką. Miałam już podobne doświadczenia po filmie *W ukryciu* i *Różyczce*, więc doskonale wiem, ile potrzeba czasu, by zapuścić porządny „krzak”, jak to mówią. To się nie robi samo, z dnia na dzień.

– Przyznam się też, że to niegolenie się potrafiło być dla mnie nawet kojące. Do tego stopnia, że ostatniego dnia zdjęciowego, kiedy wiedziałam, że już to wszystko



Magdalena Boczarowska

| fot. Michał Wargin East News

zgołę – tak rytualnie zamknę ten etap – było mi tej hodowli zwyczajnie szkoda.

– Naprawdę nie miałam z tym większego problemu, mimo że było lato i to upalne, więc nie mogłam sobie pozwolić na koszulki na ramiączkach. Bardzo lubię takie poświęcenie dla roli. Z każdym milimetrem tego zarostu wchodziłam w postać. Uważam, że był to bardzo cenny proces. Doskonale wiem też, że jako aktorka nigdy nie zdecyduję się na laserową depilację na stałe.

Czym jest w takim razie dla ciebie ciało?

– Ciało to przede wszystkim moje narzędzie pracy i to chyba będzie najbardziej wiarygodna odpowiedź. I dlatego tak bardzo o nie dbam. Zrobiliśmy film o cielesności, kobiecości, seksualności, orgazmach, o tym jak należy traktować swoje ciała, a żyjemy przecież w takim kulcie poprawiania, katowania się dietami i treninami. Ja cały czas uczę się być dla siebie lepsza.

– Bardzo się cieszę, że powstał ten film orgazmach. Przede wszystkim dlatego, że pokazaliśmy w nim znakomitą nagość. Wszystkie sceny przepróbowaliśmy, nic nie było przypadkowe, wszystkie kadry były z góry ustalone, więc wiedzieliśmy, jak będą wyglądać. To była duża frajda i to powodowało, że to się chciało robić. Wiadomo było, że kiedy Eryk zacznie mnie kochać po francusku, będzie musiało to wyglądać naturalistycznie. To już był problem charakteryzacji, kostiumów. Ekipa musiała zrobić wszystko, by nam zapewnić komfort. I wszystko było absolutnie profesjonalnie przygotowane. Nie było miejsca na przypadek. Na podejście typu: „Chlapnijmy lufkę, kręcmy i jakoś to pójdzie” w życiu bym sobie nie pozwoliła. Szczególnie, jeśli ja musiałam robić nagość i seksualność. Właśnie te intymne sceny wymagają choreografii i wielkiej uważności.

Którą część swojego ciała lubisz najbardziej?

– Uwielbiam swoje plecy, swoje pośladki, stopy, piersi i pomimo wielu kompleksów, które mam, naprawdę lubię siebie taką, jaka jestem. Wiem, że nie jestem doskonała, bo mogłabym być wyższa, mam mnóstwo wad, ale lubię siebie.

Jakie miałaś kompleksy?

– Miałam ich całe mnóstwo. Bardzo długo byłam pulpetem. Bycie pulpetem zakończyło się z chwilą, gdy się zakochałam i po raz pierwszy zaczęłam współżyć, kochać się. Ale długo byłam takim miśkiem. Zupełnie niepotrzebnie katowałam się myślami, że może mam za grube ramiona, albo uda. Od tamtego czasu minęło sporo lat i w końcu zmieniałam zupełnie politykę myślenia o sobie.

A której części ciała nie akceptujesz?

– Kiedyś taka „stara wiedźma” mi powiedziała, że kompleksów nie można nazywać, bo zaczną być widoczne dla innych. Ale dobrze, może chciałabym mieć piękniejsze i bujniejsze włosy. Ja lubię swoje, ale jak patrzę na włosy koleżanek, na reklamy szamponów i inne... to bym sobie takich życzyła. Poza tym, wiesz, moja babcia zawsze mówiła, że mam włosy, „jak mysz na pi*****” (śmiech).

– A tak naprawdę, to ja siebie doceniam. Parę razy zdrowie mocno mi szwankowało, działy się ze mną różne złe rzeczy i umiem docenić to, jak jest. Jeśli tak dalej będzie, będzie super.

Gdy jechałam dziś na nasze spotkanie, wpadł mi w ręce jeden z tabloidów, w którym przeczytałam, że dajesz dużą wolność swojemu partnerowi, którą on wykorzystuje spotykając się z różnymi kobietami. Zdecydowana mniejszość przedstawicielek naszej płci jest do tego zdolna. Rzekłabym nawet, że potrafią to tylko osoby, które cechuje duże poczucie własnej wartości.

– Powiedz mi, która z koleżanek może mi zagrozić? (śmiech) Poza tym ja sama mam mnóstwo kolegów, z którymi wyskakuję na piwo. Nie życzyłabym sobie, żeby ktoś mnie zwyczajnie ograniczał. Wyznam starą zasadę – nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe. Ja po prostu traktuję Mateusza tak, jak sama chciałabym być przez niego traktowana. To jest, wydaje mi się, podstawa, bo osoby będące w związku nie są niczyją własnością.

Jak udało ci się zbudować poczucie własnej wartości?

– Metodą prób, błędów i porażek. Ja też kiedyś żyłam w związku i próbowałam tego kogoś usidlić. Poczucie własnej wartości wyrabia twardy charakter, mocny kręgosłup, umiejętność odmawiania wielu rzeczy i trzymania się własnych wartości. Jeżeli masz silny kręgosłup, dobrze się ze sobą czujesz i możesz sobie spojrzeć w oczy, a w tym zawodzie nie zawsze jest to łatwe, to jest najważniejsze.

– Oczywiście mogłam wybrać inną drogę kariery, może dla mnie prostszą, bo

były momenty, kiedy nie miałam nic na koncie, kiedy musiałam pożyczać, kiedy wbijałam zęby w ścianę. Jednak z perspektywy czasu myślę, że ta droga mi się bardzo opłacała. Bycie wiernym sobie jest czymś, co taką mocną konstrukcję buduje. Jedyne czego ci drugi człowiek nie zabierze, to jest szacunek. I to dotyczy relacji międzyludzkich, pracy, ale także związku. Trzeba walczyć o drugiego człowieka, ale są też momenty, kiedy trzeba odpuścić.

Bywasz zazdrosna?

– Oczywiście, ale mądrze. Myślę, że jestem czujna i mam dobrze rozwiniętą intuicję. Ludzie się przyjaźnią z innymi ludźmi i jaki ja mogę mieć na to wpływ? Mój partner ma dużo znajomych, ale chyba wciąż jednak w większości są to koledzy. A nawet jeśli są to kobiety, dlaczego miałabym mu zabraniać spotykania się z nimi? On też mi pozwala wychodzić, z kim mam ochotę. Jak tak się zdarza, to nawet lepiej mi się do niego wraca. Chyba nie ma większej mądrości, jak zostawienie drugiej osobie wolności w związku. Nikogo przecież nie da się zatrzymać przy sobie na siłę.

– Przeszłam naprawdę różne etapy w związkach, ale wydaje mi się, że podstawą jest traktować kogoś, jak samemu chce się być traktowanym. I ufać. Podejrzliwość jest strasznym uczuciem i na nim niczego wartościowego się nie zbuduje.

Jak Wisłocka wpłynęła na twoje życie intymne, odczuwanie przyjemności? Przyniosła refleksję na temat seksu?

– Jeśli chodzi o erotykę, to ja się od Miśki mnóstwo nauczyłam. Dopiero niedawno w pełni świadomie przeczytałam „Sztukę kochania”, mam za sobą dużo rozmów ze wspaniałymi seksuologami i dowiedziałam się mnóstwa rzeczy o seksie, o których oczywiście nie miałam pojęcia. I ten proces cały czas trwa i cały czas wyciągam z tej całej wiedzy wnioski dla siebie.

Na ekranie zobaczyłaś siebie znacznie starszą – oswoiłaś się z myślą, że ciebie też to kiedyś czeka?

– Chyba nie będzie najgorzej. To była charakteryzacja, a myślę, że będę lepiej

wyglądać. Dbam o siebie i mimo, że nie przewiduję operacji plastycznych, to jednak wydaje mi się, że źle nie będzie. Energia i młodość wewnętrzna także wpływa na wygląd człowieka. Popatrz, jest tyle pięknych kobiet, które przekroczyły pięćdziesiątkę. Można...

Kogo widzisz, gdy patrzysz codziennie w lustro?

– Swojego bardzo dobrego przyjaciela, kogoś bardzo bliskiego. Lubię siebie. Gdy patrzę w lustro to umiem powiedzieć, że choć czasami lekko nie było, to jakoś dobrze idzie. Jestem z siebie dumna.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Mariusz Duda promuje nowy album *Lunatic Soul*

| fot. Oskar Szramka

Mariusz Duda (Lunatic Soul): stanąć na nogi

Michał Boroń

Takie niespodziewane odejścia potrafią człowieka złamać, bo pokazują jak kruche jest życie i jak bardzo te wszystkie nasze, piętrzące się z dnia na dzień, problemy są nieistotne – mówi Mariusz Duda, który pod szyldem Lunatic Soul wydał nowy album *Fractured*.

PŁYTA *FRACTURED* (premiera 6 października 2017 r.) to osiem premierowych kompozycji, które mówią o stracie, zmianach, walce oraz próbie przetrwania w nowej rzeczywistości.

„Muzyka na *Fractured* zainspirowana jest wydarzeniami, jakie miały miejsce w moim życiu w 2016, oraz wszystkim tym, co ostatnio dzieje się wokół nas i sprawia, że zaczynamy odwracać się od siebie i dzielić na jednych i drugich, lepszych i gorszych. To najdłużej nagrywany i najbardziej dopieszczony album w mojej karierze” – komentuje Mariusz Duda.

Wspomniane wydarzenia to m.in. śmierć ojca muzyka oraz Piotra Grudzińskiego, gitarzysty *Riverside*.

MICHAŁ BOROŃ, INTERIA: Czy historie z *Fractured* są w 100 proc. autentyczne? Czy można je odczytywać dosłownie jako zapis powiedzmy ostatniego roku z życia Mariusza Dudy?

MARIUSZ DUDA (LUNATIC SOUL): – *Fractured* to opowieść o walce ze stratą. O próbie przetrwania tych najgorszych dni, kiedy to niebo nad twoją głową rozpada się na tysiąc kawałków. W roku 2016 wiele się dla mnie skończyło. Umarli mi bliscy, zakończył się mój 10-letni związek, wydarzyło się jeszcze parę rzeczy, o których nie chcę mówić. To zainspirowało mnie do stworzenia takiej a nie innej historii, ale nie dawałbym tutaj aż 100 proc.. Część tajemnic zawsze zostawiam tylko dla siebie.

Czy bohater z płyt Lunatic Soul jest kimś innym, niż bohater z albumów Riverside? Jak byś opisał różnice między nimi?

– Bohaterem tekstów jest moje alter ego, wiecznie samotne i wiecznie szukające sposobu na to jak przetrwać, jak przezwyciężyć strach i jak odnaleźć się w miłości. Jakoś tak zawsze dużo mroku i melancholii we mnie było, stąd też taki, a nie inny rodzaj muzyki uprawiam oraz taki, a nie inny styl pisania tekstów prezentuję. Jeżeli chodzi o teksty, to Lunatic jest chyba bardziej intymny i metafizyczny. Riverside jest bliżej codzienności. Jakoś nie wyobrażam sobie pisać w Lunatic Soul o me-

diach społecznościowych. A w Riverside spokojnie mogę takie tematy o „samotności w sieci” poruszać. W Lunatic Soul pozwalam sobie za to na odrobinę fantasy, bo trzy pierwsze albumy to moje „kino drogi” o tym, co dzieje się po śmierci. *Walking...* i *Fractured* są już bardziej po stronie życia.

Nie ukrywasz, że to jedna z twoich najbardziej osobistych płyt, mówiąc że to proces godzenia się ze śmiercią dwóch bliskich osób: twojego taty i Piotra Grudzińskiego. Z drugiej strony (szczególnie pod koniec) słychać tu powiew optymizmu.

– Lunatic Soul *Fractured* to trzeci – po *Walking on a Flashlight Beam* i riversajdowym *Love, Fear and The Time Machine* – bardzo osobisty dla mnie album. Ale tutaj rzeczywiście najbardziej się odkryłem, więc na podium osobistości mamy zwycięzcę. Jak już wspomniałem, to przede wszystkim historia o przetrwaniu. O próbie przetrwania i walce ze strachem i koszmarami, które dopadają nas gdy zostajemy sami. Ale już przy *Love, Fear...* zauważyłem u siebie potrzebę, że czas najwyższy wyjść z tej czerni i zacząć normalnie funkcjonować, stąd i muzyka mniej „cierpiąca” i bardziej pewna siebie. Czuję, że to początek dużej zmiany stylistycznej, jaka niedługo nastąpi.

Z *Anymore* można wysnuć wniosek, że ta relacja z twoim tatą nie była łatwa, skoro chcesz mu powiedzieć, że jest ci przykro. Chyba w przypadku każdej śmierci bliskiej osoby zostają słowa, które chciałoby się jeszcze wypowiedzieć.

– Akurat ze swoim ojcem miałem dobry układ i nie chodzi tutaj o trudne relacje, tylko o nagłą i niespodziewaną śmierć. Mój ojciec zginął śmiercią tragiczną. To nie jest tak, że chorował i powoli umierał, nie... Gdyby tak było, to zapewne moglibyśmy jeszcze ze sobą porozmawiać, a i ja przygotowałbym się jakoś na jego odejście. Tato po prostu wyszedł pewnego dnia z domu i już nie wrócił... I na pewne słowa, które chciało się powiedzieć było zwyczajnie za późno. Zarówno Grudzień, jak i mój ojciec umarli totalnie z zaskoczenia. Tak samo w 2014 umarł mój przyjaciel,

dla którego napisałem *Towards The Blue Horizon*. Po prostu następnego dnia się nie obudził. Takie niespodziewane odejścia potrafią człowieka złamać, bo pokazują jak kruche jest życie i jak bardzo te wszystkie nasze, piętrzące się z dnia na dzień, problemy są nieistotne.

Rodzice nie zawsze rozumieją, doceniają to, co robią ich dzieci. Też się z tym musiałeś zmierzyć?

– Moi rodzice zawsze mnie we wszystkim wspierali, zwłaszcza mama, zawsze dawała mi serce na talerzu i do dzisiaj pozostaje moją najlepszą fanką. Jest w fanklu-bie Riverside, ma wszystkie moje płyty i bardzo często słucha i nagrywa na kasety audycje radiowe ze mną.

W *Red Light Escape* śpiewasz o dwóch latach trzeźwości, po których bohater opowieści się poddał. Muzycy – czy szerzej twórcy – próbują różnych substancji i używek, by złagodzić ból istnienia. To twój przypadek?

– Nie. Poza pożeranymi w ilościach hurtowych kokosowymi Michałkami nie stosuję używek. Kiedyś mi się zdarzało, ale od czasu kiedy podczas jednej z imprez na trasie Riverside przedobrzyłem z trawką, a było to w jakimś 2005 roku, to już nigdy nie brałem tego do ust. Trzy lata temu rzuciłem też popalanie papierosów, bo paleniem ciężko było to nazwać. Ale podczas imprez nie znałem umiaru. Teraz już tylko raz na jakiś czas zostaję przy kieliszkach single malta. *Red Light Escape* wcale nie mówi o dwóch latach trzeźwości związanej z porzuceniem alkoholu czy innych substancji. Różne są uzależnienia.

Kim jest dziewczynka z *Crumbling Teeth*?

– Wyobraź sobie, że któregoś dnia budzisz się w środku nocy, masz przyspieszone tętno, czujesz, że zbliża się atak paniki, wzięłeś już wszystkie możliwe proszki, a serce zaraz wyskoczy ci z piersi. Musisz się czymś ratować. Biegiesz do pokoju, rozedrgany siadasz przy łóżku dziecka, zapalasz delikatnie lampkę, przygryzasz pięść, żeby nie jęknąć i nie obudzić córki. Dziewczynka ma jakieś 10 lat. Śpi słodkim,

bezkolizyjnym snem. To taki sen, w którym potworami nie są ludzie, nie ucieka się przed tłumem i nie spada na dno przepaści. Patrzysz jak spokojnie i miarowo oddycha i czujesz, że się uspokajasz. Dziewczynka z *Crumbling...* to twoje lekarstwo na walkę z lękiem, jej sen to twoje antidotum. Jeśli pytasz, czy dziewczynka występuje w moim życiu prywatnym, to odpowiem – tak, występuje.

Battlefield to pole bitwy, podczas której dobijasz swoje wspomnienia. Czy to sprawy, które ściągały cię w dół? Czy twoim zdaniem da się tak całkiem zapomnieć o sprawach, które jednak mocno się zapisały w twoim życiu?

– Oczywiście, że się nie da. Niestety większość trzeba ośwoić i nauczyć z nimi żyć. O tym właśnie jest tekst do *A Thousand Shards of Heaven*, gdzie bohater powtarza: „But I’m not a prisoner”, ale są też wspomnienia i chwile z przeszłości, które trzeba bez skrupułów w sobie zabić. Tutaj trzeba już stanąć trochę na nogi, spojrzeć w oczy i dopiero pociągnąć za spust. Tak, kilka takich wspomnień zabiłem osobiście.

Dość płaczu, wstajemy i idziemy do przodu – mówiłeś mi niemal rok temu zapowiadając *Fractured*. Słysząc to szczególnie w drugiej części, której motywem przewodnim są słowa z tytułu *Moving On*. Lunatic Soul wychodzi z mroku?

– Jeżeli chodzi o całą historię, to przy *Moving On* bohater zmierza w stronę świata z *Walking on a Flashlight Beam*. Jeżeli chodzi o *Fractured* w wydaniu pojedynczym, to jak najbardziej wychodzimy z mroku.

„Jestem świadomym niewolnikiem własnej estetyki” – czy artysta powinien kierować się oczekiwaniami odbiorców? Co zmienia ta świadomość, skoro tkwimy wciąż w niewoli? Czy dopiero uświadomienie sobie ograniczeń daje wolność i wyjście poza strefę komfortu?

– Tysiąc pytań w jednym (śmiech). Akurat są pewne ograniczenia, które mogą pomagać tworzyć i wychodzić poza nawias, a co za tym idzie zupełnie pozbyć

się dzięki temu innych ograniczeń. Brzmi skomplikowanie, ale tak jest w Lunatic Soul. Świadomie pozbyłem się w tym projekcie gitary elektrycznej, żeby oddzielić brzmienie od Riverside. Dzięki temu okazało się, że mam niesamowite możliwości twórcze, bo mogę sobie teraz przesterowywać cały świat. A jeśli chodzi o niewolnictwo estetyczne – lubię jak finalny produkt jest najwyższej klasy, kiedy wszystko wygląda profesjonalnie i jest zapięte na ostatni guzik, od muzyki, przez teksty, po szatę graficzną i wydanie. Nie jestem twórcą, który ma to gdzieś. Lubię jak coś po prostu dobrze wygląda.

Fractured to twoim zdaniem też zapowiedź nowego rozdziału w historii Lunatic Soul, co objawia się m.in. w tym, że orientalne klimaty zastąpił trans i melodia. Mam wrażenie, że ten kierunek miał początek już dobre parę lat temu, co pokazała płyta SONGS Riverside – racja?

– Trans i melodia był zawsze w mojej muzyce. Ale teraz Lunatic Soul zrobił się bardziej dynamiczny i bardziej, nazwijmy to, piosenkowy, melodyjny, a przez to też bardziej przystępny. Po ambientowym *Eye of The Soundscape* Riverside chciałem więcej konkretów i dynamiki, jakoś nie miałem teraz ochoty na mroczne ambieny. To znaczy miałem, i zrobiłem takie, i kiedyś je pewnie zaprezentuję na jakichś maxi singlach czy EP-kach, ale już na samym albumie w wersji ostatecznej chciałem się ich po prostu pozbyć, żeby płyta była bardziej spójna. A *SONGS Riverside* to był wyraźny sygnał dla tych, którzy jeszcze tego nie zauważyli, że istotą muzyki zespołu i moją indywidualną jest po prostu granie ambitnych piosenek, czasami dłuższych, czasami krótszych, ale przede wszystkim kompozycji, w których największą rolę odgrywa melodia.

Wspominasz o inspiracjach latami 80. spod znaku pierwszych solowych płyt Petera Gabriela. To również efekt basowych partii generowanych przez Tony'ego Levina, było by nie było również muzyka King Crimson?

– Nie. Akurat basy elektroniczne na *Fractured*, to nie jest wpływ moich inspiracji Tony Levinem, tylko muzyki elektronicznej, na której się wychowałem. Wiesz, ja nie

czuję się basistą, gościem którego muzycznie inspirowali głównie Geddy Lee czy Mark King. Bas to tylko jeden z kilku instrumentów, na których gram. Tak się złożyło, że w wersji „basista i wokalista” występuję w znanym zespole, ale ja chcę być przede wszystkim muzykiem i kompozytorem. Komponuję głównie na gitarze akustycznej i klawiszach. A jak się gra na klawiszach, to się gra i w niskich rejestrach oktawy (śmiech).

– Wymieniłeś jednak Petera Gabriela – tak, to artysta, który mnie inspirował za młodych lat i między innymi dzięki niemu jestem też tym „muzycznym estetą”. U Gabriela zawsze były świetne produkcje i wszystko się zgadzało. Szalenie mi to imponowało.

Zastanawiałeś się nad tym, czy nie wydać *Fractured* pod własnym nazwiskiem. Ostatecznie tego nie zrobiłeś, choć chyba całkiem nie porzuciłeś tego pomysłu? Czy Mariusz Duda solo to będzie akustyczny bard z gitarą?

– Jak się zaoram bardziej bliznami i przygarbię, to zrobię z siebie takiego barda (śmiech). Faktycznie jednak, myślałem o tym, żeby może *Fractured* zrobić już pod swoim nazwiskiem, ale za dużo było tam świata Lunatic Soul. Poza tym chcę jakoś domknąć całą tę moją historię o śmierci wydawaną pod tym szyldem. Niech ten projekt jeszcze trochę poistnieje. A jeżeli chodzi o płytę wydaną pod swoim nazwiskiem – tak myślę o tym. Mam pewne pomysły, które nie pasują ani do Riverside, ani do Lunatic Soul i mógłbym je kiedyś światu zaprezentować. Nazwisko wydaje się sensowne, bo kolejny nowy projekt, to byłby już o projekt za dużo.

Podczas spotkań promocyjnych *Fractured* z fanami pojawiły się przemyślenia do tego, by Lunatic Soul w końcu przybrał wersję na żywo. Od czego to uzależniasz, by wyjść z tą muzyką do ludzi na scenie? I jak sobie takie spotkania wyobrażasz, skoro tak naprawdę odpowiadasz za całokształt?

– O Lunatic Soul na żywo mówię już od 2008 roku. I zawsze obiecuję, że zacznę grać na żywo po kolejnym albumie, a potem nie dotrzymuję słowa. No cóż, tak jak jestem w stanie ciągnąć dwa organizmy w postaci Riverside i Lunatic Soul na

płyтах, tak z koncertami już nie. Riverside zajmuje dużo czasu i żeby Lunatic Soul wystartował z występami na żywo, to Riverside musi sobie zrobić przerwę. Spotkania akustyczne to taki kompromis, bo jedna osoba z gitarą może faktycznie zrobić klimat, zagrać koncert itd. itp. Ale Lunatic Soul na żywo widzę jako duży projekt. Z sześć osób na scenie, duża produkcja. Po kolejnym albumie (śmiej) już coś z tym spróbuję zrobić.

Jaki jest status Maćka Meller w Riverside? Możemy powiedzieć, że został on pełnoprawnym członkiem grupy? I czy jego angaż związany jest też z faktem, że razem nagraliście płytę pod szyldem Meller Gołyźniak Duda?

– Maciek Meller to mój przyjaciel, z którym znamy się od dawna. Zagrał ze mną na pierwszym Lunatic Soul w utworze *Adrift*. Zawsze lubiłem go i ceniłem. Przede wszystkim za umiejętności gry na gitarze połączone z dystansem do siebie, za skromność i pokorę. Meller Gołyźniak Duda to projekt, na który się zgodziłem głównie dlatego, że Maciek mnie o to poprosił. A potem oczywiście miałem z tego dużą frajdę. Na pewno mogło się to przyczynić do tego, że gra teraz z Riverside koncerty, ale to głównie fakt, że znamy się i lubimy od dawna na tym zaważył. Po prostu świetnie do nas pasował, bo i styl gry, i wspomniana skromność i pokora, to dawało nam dobry obraz zespołu w wersji koncertowej. Maciej nie jest niestety czwartym członkiem Riverside w wersji pozakoncertowej. Ogłaszaliśmy, że jesteśmy trio i tym trio jeszcze zostajemy. I jako trio będziemy nagrywali najnowszy album. Co wydarzy się później – czas pokaże.

Rok 2017 r. kończysz podwójnym sukcesem – 50 koncertów odrodzonego Riverside i wydanie nowego Lunatic Soul. Dociera to do ciebie?

– Dociera. Właśnie szykuje się na zasłużony urlop. Jak z niego wrócę, to zapewne wymyślę kolejny plan na najbliższe pięć lat, ale na razie chcę po prostu odpocząć i nacieszyć się tym, że udało się przezwyciężyć, przetrwać, stać silniejszym i pewniejszym. 2017 był już dla mnie dużo lepszym rokiem i czuję, że wchodzę teraz w swój najlepszy życiowy i muzyczny okres.

MIEJSCA,

KTÓRE

TRUDNO

ZAPOMNIEĆ



Aleksander Kulas i jego synowie trudnią się fachem, który jest na wymarcu

| fot. Paweł Krawczyk INTERIA.PL

„Psuje się wszystko” – powiedzieli nam ludzie, którzy naprawią... prawie wszystko

Michał Ostasz

Nie interesuje ich do czego służy zepsuta rzecz, którą im przyniosłeś. Jeśli tylko ma silnik, to znaczy, że będą w stanie ją naprawić. Odwiedziliśmy jedno z ostatnich miejsc na mapie Krakowa, gdzie próbuje tchnąć się życie w to, co zepsute. Jeśli wierzyć w globalny spisek korporacji, pracujących nad planowanym postarzeniem przedmiotów – oni od lat próbują pokrzyżować te plany.

SKLEPOWE PÓŁKI są po brzegi wypełnione dobrami. Dysponując odpowiednią kwotą możemy zabrać z nich to, co tylko zechcemy. Gorzej wygląda sytuacja, w której nasz wymarzony zakup nie działa tak, jak powinien lub „dziwnym trafem” odmawia współpracy kilka dni po okresie gwarancyjnym.

Co wtedy zrobić? Rynek mówi „kup nowy!”, ale my skłaniamy się ku zapomnianej w ostatnich latach opcji naprawy. Problem w tym, że miejsc trudniących się tą wymierającą sztuką jest w polskich miastach mniej, niż francuskich banków i niemieckich drogerii. Nam udało się znaleźć jedno z nich.



Aleksander Kulas pracuje od ponad 40 lat

| fot. Paweł Krawczyk INTERIA.PL

„SAMO SIĘ NIE ZROBI”

Usługi Elektromechaniczne – te dwa słowa widniejące nad wejściem do liczącego sobie 35 metrów kwadratowych lokalu mówią o nim absolutnie wszystko. Tutaj liczą się tylko konkrety: przynosisz zepsuty sprzęt i po pewnym czasie (zależy od stopnia trudności zlecenia) odbierasz, by móc go znowu używać. Na przekór pla-

nowanemu starzeniu się produktów. Te usługi są z pewnością solą w oku wielu dzisiejszych producentów.

Zakład tonie wręcz w przedmiotach czekających na naprawę. Na regałach sięgających aż po sufit piętrzą się wiertarki, odkurzacze, wentylatory, myjki ciśnieniowe i masa innych, których nawet nie jesteśmy w stanie zidentyfikować. W oczy rzuciła nam się nawet dawno nie widziana pralka Frania.

– Silnik to silnik, reszta mnie nie interesuje – tłumaczy pan Aleksander Kulas, który w punkcie na os. Handlowym 5 w Krakowie pracuje od początku lat 70.

– Od tamtego czasu zmieniło się tylko to, że nie jesteśmy już spółdzielnią pracy „Automat”, tylko spółką. Dalej psuje się wszystko i, sądząc po ilości klientów, nie ma tego kto tego naprawiać. Gorzej było tylko chwilę po transformacji ustrojowej, kiedy to Polacy zachłysnęli się towarami, które zalały polskie sklepy. Daliśmy jednak radę i teraz narzekamy tylko na brak rąk do pracy – dodał.

Pan Kulas wraz z dwójką dorosłych synów–wspólników, Michałem i Piotrem, odpowiadając na nasze pytania nawet na dwie minuty nie odeszli od swoich stanowisk. Zastaliśmy ich podczas przewijania silników, które to, jak się dowiedzieliśmy, jest bardzo czasochłonne i wymaga nie lada wprawy. Piotr Kulas siedzący zaraz obok ojca powiedział, że wejście w zawód zajmuje jakieś 2–3 lata.

– Po pewnym czasie nabiera się takiej wprawy, że często nie masz pojęcia do czego służy przyniesiony przedmiot, ale wiesz, jak go zreperować.

TRUDNIEJSZE, NIŻ SIĘ WYDAJE

Producenci sprzętu nie zamierzają ułatwiać życia tym, którzy trudzą się jego naprawą. Projektanci robią wszystko, aby do środka ich urządzeń nie dało się w ogóle dostać. Panowie zdradzili, że zdarzyło im kilka razy pomachać białą flagą, bo producent po prostu uniemożliwił naprawę urządzenia poza swoją fabryką. Częściej jednak odmawiają naprawy ze względu na jej... nieopłacalność.

– Psuje się wszystko – powiedział nam Kulas senior. – Specjalizujemy się w naprawach nietypowych, ale jak widzicie naszymi klientami są nie tylko firmy budowlane. Zwykli ludzie przychodzą do nas ze sprzętem, który służył im przez lata i nie chcą zamieniać go na coś z marketu, co zepsuje się po razie. Tanią wiertarką



Pracy mamy aż za dużo, ale brakuje rąk, aby otworzyć drugi zakład

| fot. Paweł Krawczyk **INTERIA.PL**

zrobisz w ścianie pięć dziur i przynosząc ją do nas usłyszysz, że po prostu nie ma sensu inwestować w nią ani grosza – skwitował najstarszy ze współników.

Kiedy jednak zakład podejmie się naprawy, to robi wszystko, co w jego mocy, aby „martwy” przedmiot wrócił do życia. W ruch idą tokarki, frezarki, śrubokręty i oczywiście ręce, które jak zgodnie podkreśliła cała trójka, są ich najważniejszym narzędziem pracy.

– Każdy wolałby pracować w wygodnym biurze przy komputerze, ale życie pisze różne scenariusze i tutaj ręce ma się cały czas w smarze – przyznał Piotr.

Ponadto naprawa nie daje ani chwili wytchnienia. Jeśli pracy nie przerwą zainteresowani wymierającym fachem dziennikarze, to na pewno zrobią to dzwoniący klienci. Telefony do zakładu po prostu się urywają. Dłubiąc przy skomplikowanym układzie trzeba pozostać skupionym.

– Jak już wspomniałem, brakuje rąk do pracy. Powinienem dostać medal od prezydenta Dudy za to, że wprowadziłem do zawodu dwóch synów – żartuje pan Aleksander.

– W tej robocie jest się pracownikiem, szefem, sekretarką i... – dorzucił Piotr, który musiał w tym miejscu przerwać, bo zakład właśnie wypełnił świdrujący dźwięk dzwonka służbowej komórki.

Po skończonej rozmowie dodał, że przynajmniej nie musi pisać żadnych podań o urlop.

Najważniejsze i jednocześnie najtrudniejsze jest jednak utrzymanie renomy. To trochę tak, jak w przemyśle muzycznym, w którym liczy się tylko to, jak dobra była twoja ostatnia płyta. Po trzech dniach, tygodniach lub nawet miesiącach do klienta musi wrócić sprawny sprzęt. W końcu taki zakład nie jest bezosobową korporacją, tylko miejscem, w którym uścisk dłoni i słowa „damy radę” są faktyczną gwarancją, od której nie można się wymigać.

Współpraca: Rafał Walerowski.

Zdjęcia: Paweł Krawczyk

ZOBACZ W INTERNECIE >



Tel Awiw nie bez przyczyny nazywany jest Białym Miastem

| Styl.pl

Tel Awiw: różne kolory białego miasta

Agnieszka Łopatowska

Tel Awiw to miasto, w którym nowoczesność ciągle ściera się z tradycją. Ale raczej bez szkody dla jednej i drugiej. To bez wątpienia jedno z najpiękniejszych, najciekawszych i najbardziej przyjaznych miejsc świata. I choć nazywa się je „Białym Miastem”, wbrew pozorom jest bardzo kolorowe.

POCZUJ MORSKĄ BRYZĘ

Pieszo, rowerem, albo – chyba najzabawniej – segwayem. Od takiej wycieczki najlepiej zacząć osvajanie się z Tel Awiwem, miastem leżącym na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Miejskie plaże z królującymi nad nimi kilkunastopiętrowymi hotelami, zatoka surferów, marina i stary port sprawiają niesamowite wrażenie nawet jesienią czy zimą (temperatura wynosi tam ponad 20 st. C). W porcie urzeka staromodna, piękna karuzela. Wszystko można obejrzeć z promenady ciągnącej się kilka kilometrów wzdłuż wybrzeża, a potem przechodzącej płynnie w alejki parku Ha'Yarkon, podzielonego korytem rzeki. Izraelczycy kochają aktywność fizyczną, więc spotkasz tu wielu biegaczy, rowerzystów, joginów, ludzi chodzących po linie, kajakarzy i pływających rowerkami wodnymi. Nierzadkim widokiem są zawodowi wyprowadzacze psów, którzy wychodzą na spacer z okazałymi stadkami czworonogów.

IDŹ NA MIEJSCE ZBRODNI

W 1995 roku ówczesny prezydent Izraela Icchak Rabin został zastrzelony po przemówieniu na pokojowej manifestacji. Przy, nazwanemu na jego cześć, Placu Rabina stoi budynek dzisiejszego ratusza miejskiego, na którego tyłach można zobaczyć zaznaczone pozycje premiera, jego ochroniarzy i zamachowca wraz ze schematem jego działania. Na placu, naprzeciwko ratusza, mieszkańcy miasta wypoczywają w cieniu pomnika symbolizującego gwiazdę Dawida – czasem złośliwie nazywanego lejkiem – i koło fontanny, w której pływają japońskie karpie.

POCZUJ SIĘ JAK LILIPUT

Urocze niewielkie chatki, jakby prosto z niemieckiej prowincji, schowane między wielkimi drapaczami chmur – to krajobraz dzielnicy Sarona. Budujący miasto inżynierowie mieszkali tu kilkadziesiąt lat temu. Teraz mieszczą się tu ekskluzywne



Miejsce, w którym zginął Icchak Rabin

butiki i modne restauracje. Warto tu przyjść zwłaszcza wieczorem, kiedy okolica sprawia wrażenie scenerii filmu o przygodach Guliwera. W Sarona Market można coś przegryźć, kupić chałwę w słynnej sieci Chałwowe Królestwo czy napić się kawy upajając lokalną atmosferą. Na niektórych wieżowcach są udostępniane turystom tarasy widokowe, można więc rzucić okiem na miasto z wysokości, na przykład, 65. piętra.

ZRÓB ZAKUPY NA KULTOWYCH TARGACH

Carmel Market i sąsiadujący z nim targ rękodziela na ulicy Nachalat Binyamin to raj dla tych, którzy najchętniej podróżują „brzuchem”, a ze swoich wojaży lubią przywozić niebanalne pamiątki. Bazar Carmel czynny jest od poniedziałku do soboty od 8 rano do wczesnych godzin wieczornych. Wyjątek stanowi piątek, kiedy to przed 17:00 kupcy zamykają kramy z powodu szabatu. Na straganach piętrzą się tam egzotyczne owoce, dorodne warzywa, słodkie baklawy, egzotyczne mieszanki herbat, multikolorowe i multizapachowe przyprawy i wszechobecna chałwa (spróbuj tej z chilli!).

Między tymi pysznościami znajdziesz wszystko, co sobie wymyślisz: ubrania, buty, biżuterię, pamiątki czy małe AGD. Większość jednak powstała w Chinach, nie daj się omamić wizją oryginalnej pamiątki. Nie na wszystkich straganach znajdziesz ceny. Izraelczycy, jak wiadomo, to naród obrotny, więc trzeba się targować. Zasada obowiązuje jedna: jeśli klient jest zadowolony, to znaczy, że cena była dobra.

Inaczej funkcjonuje targ rękodzieła, który we wtorki i piątki od rana do popołudnia zajmuje całość ulicy Nachalat Binyamin. Znajdziesz tam ręcznie szyte lalki, pościel, wyroby ze skóry, biżuterię, obrazy, ubrania, ceramikę, ręcznie robione magnesy na lodówkę, albo zegary z butelek. Tu znacznie łatwiej trafić na gustowną pamiątkę z tego kraju. I można poznać jej twórcę. Mnie najbardziej urzekły kalejdoskopy, które tworzy Roy z firmy roy'skaleidoscopes, na przykład te w pierścionkach. Są niesamowite!



Karuzela na promenadzie w Tel Awiwie

ZJEDZ FALAFEL!

Falafel to pozycja obowiązkowa w menu zwiedzających Izrael. Kosztuje około 18 szekli (czyli około 18 zł) i smakuje wybornie. To kotleciki z ciecierzycy – solo, w bułce, albo w picie, podawane z sosami, warzywami i piklami, w tym żółtymi papryczkami ostrymi, że aż strach. W Tel Awiwie najbardziej przypadły nam do gustu te serwowane w barze z koszerem przy ul. Nachalat Benyamin 61.

IDŹ DO MODNEJ RESTAURACJI

Tel Awiw słynie z wyszukanych restauracji. Szalenie modnym miejscem jest Social Club Modern Bistro. Klienci siedzą tu przy imponujących rozmiarów prostokątnym barze, albo przy niewielkich stolikach. W menu znajdziesz fantastyczne owoce morza i wspaniałe desery.

Nieco bardziej formalna atmosfera panuje w restauracji Messa, choć uroku oddają jej wszechobecne poduszki. Szefowie kuchni serwują tu **m.in.** truflowe ravioli z kremem cytrynowym, karmelizowanego łososia z pianką kokosową czy hanger stek przyrządzony na szpikulcu i podawany na „dymnym” puree. Jaki trzeba mieć budżet na taką kolację? Trochę mniejszy niż w Atelier Amaro...

ZJEDZ LODY NA STAREJ STACJI KOLEJOWEJ

Hatachana to stacja kolejowa wybudowana w 1892 roku w dzielnicy Nowe Cedek. Na nowo tętni życiem dzięki modnym lokalom i designerskim sklepom oraz galeriom sztuki. Możesz zjeść tu pyszne lody na wagę, albo w galerii Artnova nabyć dzieło sztuki wykonane specjalnie opracowaną techniką z materiałów pochodzących z recyklingu.

SPRAWDŹ SPOSOBY NA ZDRADY

Mieszkanki dzielnicy Nowe Cedek miały dość osobliwy sposób na pokazywanie swoim kochankom, czy mąż jest w domu. Przy okiennicach znajdziecie przytrzymywacze, które – w zależności od potrzeb – można ustawić tak, by przybrały oblicze kobiety lub mężczyzny. Jeśli ma męską twarz – znaczy, że małżonek znajduje się na terenie domostwa. Jeśli żeńską – droga wolna...

PRZEJDŹ SIĘ BULWAREM ROTHSCILDA

Bulwar Rothschilda to jedna z najurokliwszych ulic Tel Awiwu. Wiele tu modernistycznych willi w stylu Bauhausu z lat 30., w których teraz mieszczą się głównie placówki dyplomatyczne. Spacerować najlepiej środkiem, między dwoma pasami jezdni – są tu ławki, fontanny i pomniki. W cieniu pierwszych wieżowców tego miasta, na stacjonarnych rowerach możesz podładować telefon siłą własnych mięśni i obejrzeć niezwykłą fontannę pokrytą bajecznie kolorową i misterną mozaiką przedstawiającą sceny z historii Izraela. W okolicy znajdziesz tu też kiosk – podobno zbudowany przez Polaka, teraz przerobiony na bar. Tu też działało pierwsze kino w mieście.

POLUJ NA GRAFFITI

Tel Awiw żyje sztuką. W Muzeum Sztuki obejrzysz obrazy Picassa, Miró, Moneta, Renoire’a czy Cézanne’a. Na każdym kroku znajdziesz rzeźby, albo pomniki. Ale najciekawsze jest tutaj polowanie na graffiti. Artyści uliczni wykorzystują każdy wolny skrawek ściany, budki transformatorowej czy drzwi do garażu. Wiele z nich robi imponujące wrażenie.

ZACHWYĆ SIĘ STARĄ JAFĄ

To miasto prawdopodobnie istniało już w epoce brązu, w 1949 roku Stara Jafa została przyłączona do Tel Awiwu. Trzeba przyznać, że jest bez wątpienia najpiękniejszą z dzielnic tego miasta. Z jej nadbrzeża rozciąga się wspaniała panorama Tel Awiwu – dzięki temu dokładnie widać, dlaczego nazywany jest on Białym Miastem. W porcie można usiąść na kawę i delektować się słońcem, albo wybrać się do doków, w których działa centrum Na Laga’at, a w nim teatr i restauracja prowadzone przez osoby niewidome. Jedzenie jest tu podawane w kompletnej ciemności.

Stare miasto Jafy weszło we władanie artystów, którzy sprawili, że zapanowały tu znaki zodiaku. Możesz więc szukać ulicy ze swoim astrologicznym symbolem,

albo odnaleźć go w fontannie na niewielkim rynku. Pozycja obowiązkowa: wejdź na most życzeń, znajdź swój znak, połóż na nim rękę, pomyśl życzenie i popatrz w morze. To gwarantuje ich spełnienie. W Jafie rośnie też drzewo bez korzeni, a w dawnym więzieniu niedługo planowane jest otwarcie hotelu. Siedmiogwiazdkowego!



Stara Jafa

ZOBACZ W INTERNECIE >



Arkadiusz Andrejkow przy jednej ze swoich prac w Komańczy

| fot. Paweł Zakrzewski

Cichy Memoriał, czyli minipomniki na ścianach stodoły

Dariusz Jaroń

Wiosną ubiegłego roku w podkarpackich miejscowościach zaczęły powstawać nietypowe murale. Na ścianach starych stodół i szop pojawiały się subtelne rodzinne malunki, żywcem wyjęte z zakurzonych albumów. Tak zrodził się *Cichy Memoriał*, autorski projekt sanockiego artysty Arkadiusza Andrejkowa.

DOTAŁ 32-letni artysta odwiedził około 10 miejsc na Podkarpaciu, zostawiając za sobą 19 prac. To nie tylko ciekawie wykonane murale na nietypowym podłożu, ale przede wszystkim 19 opowieści o rodzinach zamieszkujących te tereny.

DARIUSZ JAROŃ, INTERIA: Skąd wziął się pomysł na *Cichy Memoriał*?

ARKADIUSZ ANDREJKOW: – To było chyba na początku ubiegłego roku. Jeszcze w okresie zimowym poszukiwałem, jak to zwykle u mnie bywa, dziwnych powierzchni do malowania murali. Zawsze mnie ciągnęło do nietypowych ścian, nie tych starannie przygotowanych, garażowych lub odświeżonych fasad, tylko obiektów i miejsc, gdzie natura już jakąś część pracy za mnie wykonała. Lubię ściany naznaczone czasem, podniszczone. Ja to zniszczenie staram się wykorzystać i wyeksponować jego estetyczną stronę.

Od początku chodziło o odmalowanie na stodołach starych zdjęć rodzinnych?

– Pierwotnie myślałem o wielkich, przeskalowanych portretach starych ludzi. Później stwierdziłem jednak, że lepiej będzie wrócić do starych fotografii rodzinnych, które towarzyszą moim pracom od lat, począwszy od dyplomu z licencjatu w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sanoku na nieistniejącym już kierunku edukacja plastyczna. Zależało mi na tym, żeby połączyć zamięłowanie do starych fotografii z surowością powierzchni.

Co było pierwsze: poszukiwanie miejsc czy fotografii?

– Na początku przypatrywałem się ścianom. Znalezienie odpowiednich przestrzeni miało być pierwszym etapem, potem było pozyskiwanie pozwolenia gospodarza lub gminy, a następnie poszukiwania tych starych zdjęć z danej miejscowości. Jeździłem, szukałem i dopytywałem, do kogo należy dana stodoła. Po jakimś czasie napisałem o projekcie w mediach społecznościowych. Wy tłumaczyłem, że wykonam mural za darmo, tylko niech ktoś mi znajdzie dobrą stodołę – im brzydszą i bardziej zniszczoną, tym lepiej.

Jaki był odzew?

– Sporo ludzi się odezwało. Następnym etapem było uzyskiwanie od nich starych zdjęć, najważniejsze, żeby to były fotografie ludzi z tych konkretnych miejscowości, najlepiej rodzinne. Później coraz częściej same się do mnie zgłaszały osoby, które chciały mieć mural inspirowany zdjęciami swoich przodków. Bardzo to było emocjonalne.

Czy w tych zdjęciach można się doszukać jakiegoś klucza?

– To miały być stare fotografie rodzinne ludzi pochodzących przede wszystkim z miejscowości, w której powstawał mural. Przyszło dużo propozycji mailowych. Przy wyborze zdjęć kierowałem się układem kompozycyjnym zdjęcia, żeby pasowało do danej stodoły. Chciałem, żeby to były ujęcia pozowane – nie pejzaże czy fotografie ludzi pracujących w polu. Chodziło o sztywne kompozycje wielopokoleniowych rodzin, ustawiane przez fotografa.

Pytam o klucz, bo spotkałem się z komentarzem, że to mogą być ofiary UPA lub II wojny światowej...

– Nie, zupełnie się tym nie kierowałem. To mieli być zwyczajni mieszkańcy tych niewielkich miejscowości ze swoimi zwyczajnymi historiami.

Z tej niemej anonimowości bohaterów wzięła się nazwa projektu?

– To jest upamiętnienie tych ludzi, zostawienie po nich jakichś minipomników, ale w sposób cichy, bo realizowany na wsi. Niektóre z tych stodół są w takich miejscach, że na co dzień widzą je jedynie gospodarze i sąsiedzi. Bohaterowie tych murali to nie są osoby zasłużone, związane z jakimiś wielkimi osiągnięciami. Mają natomiast swoje prywatne życiowe historie, swoją pracę i obecnością budowały tożsamość tych małych miejscowości. Według mnie zdecydowanie byli warci upamiętnienia.

W pewnym momencie na nagraniu z realizacji *Cichego Memoriału* słychać słowa „znowu są”. Wraca pamięć o zapomnianych?

– Tak. Osoby te powracają w nowej postaci. Ludzie do mnie piszą, bo są ciekawi, gdzie te murale są. To też jest bardzo ciekawą zagadką, żeby je w danej miejscowości odnaleźć. Nie ukrywam, że z początku nie wiedziałem, jak te realizacje będą się trzymać, czy farby, kolokwialnie rzecz ujmując, będą „siedzieć” na deskach, ponieważ nie malowałem za dużo wcześniej na drewnie. Patrząc z perspektywy czasu na te pierwsze realizacje, mogę powiedzieć, że pod względem technicznym całkiem dobrze się trzymają. Sposób nanoszenia farb był taki, że jeśli murale będą niszczyć i płowieć, to będzie to szlachetne niszczenie, a namalowane postacie z biegiem lat będą nabierać charakteru.

Zdarzało się, że stan stodoły nie pozwalał na realizację?

– O ile pamiętam, nie było takiego przypadku. Tak jak wspomniałem, im bardziej stodoła była zniszczona, tym bardziej mnie cieszyła. Może ze dwa razy się zdarzyło, że ściana się nie nadawała, ponieważ była za mała, albo miała nowe deski, odstające od zamierzonego klimatu. Dla innych artystów uszczerbki i zły stan stodoły mogłyby zadziałać na niekorzyść, dla mnie to były atuty powierzchni.

Artysta pewnie też chciałby tworzyć prace tam, gdzie są odbiorcy. W przypadku *Cichego Memoriału* wielu ich nie ma...

– To prawda, chociaż w sztuce ulicznej galerią jest internet. Nawet odchodząc od mojego projektu, weźmy inne murale czy graffiti, nieraz zamalowywane tuż po powstaniu przez władze czy innych ludzi. Istotą jest to, żeby dobrze udokumentować swoją pracę i pochwalić się nią w sieci. Tam dostaje drugie życie. Oczywiście, gdybym malował te murale 20 lat temu, kiedy internet nie był tak powszechny, grono odbiorców byłoby bardzo małe. Fajnie, że można stworzyć coś właściwie gdziekolwiek, a widzów – chociaż nie na żywo – można liczyć w tysiącach.



Komańcza

| fot. Arkadiusz Andrejkow

Jedna stodoła to jeden dzień pracy?

– Tak to mniej więcej wyszło. Z czasem malowałem coraz szybciej. W pewnym momencie mówiłem „stop”, bo im dłużej malowałem, tym więcej szczegółów wyciągałem i wykorzystywałem coraz większą powierzchnię, a nie chciałem za bardzo pokrywać tych ścian. One miały pozostać surowe, a postacie miały sprawiać wrażenie, że z nich wychodzą.

Ile murali łącznie powstało?

– W sumie jest ich 19, rozsianych, jak dobrze pamiętam, po 10 podkarpackich miejscowościach. W niektórych z nich powstały po 2–3 prace. Zacząłem malować pod koniec kwietnia ubiegłego roku, a ostatnie murale powstały z końcem października.

Cichy Memoriał to już zamknięty rozdział?

– Na pewno nie. Dostałem na niego stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzic-

stwa Narodowego, powoli będę się z niego rozliczał, przesyłał dokumentację tego, co dotychczas zrobiłem. W kolejnym sezonie zamierzam go jednak kontynuować niezależnie. Nie wyrobiłem się z niektórymi ścianami i miejscowościami, czekają na mnie i na nadejście wiosny. Nie ukrywam, że moim marzeniem jest zrealizowanie tego projektu w każdym powiecie naszego województwa. Powiatów jest 21, także jestem jakoś w połowie. Podejrzewam, że w sezonie, czyli od wiosny do jesieni, nie wystarczy mi czasu, ale w perspektywie dwóch lat jest to do zrobienia. Finalnie chciałbym, żeby powstała poważniejsza mapka, pokazująca, jak dotrzeć do każdego muralu.

Bardzo pozytywny artystyczny patriotyzm lokalny bije z tego przedsięwzięcia...

– Taki był zamysł. Pochodzę z Sanoka, Podkarpacie to moje województwo, z chwilowymi przerwami ciągle tu mieszkam. Pomagają mi znajomi i przyjaciele z okolicy. Myślę, że ten projekt bardzo do Podkarpacia pasuje.

Wciąż przychodzą maile ze zdjęciami stodół do zamalowania?

– Teraz po publikacji filmu zgłosiło się sporo nowych osób. Nie tylko ze stodołami. Są też brzydkie magazyny i inne propozycje. Ludzie szukają też starych fotografii rodzinnych. Mam pomysł, żeby w niektórych realizacjach wykorzystać nie tylko stodoły, ale też betonowe, zapuszczone ściany z odpowiednim, naniesionym przez czas, podkładem.

Ktoś czyta naszą rozmowę i chciałby się z taką ścianą zgłosić. Może to zrobić?

– Jak najbardziej. Na początek wystarczy przesłać zdjęcia obiektu – najlepiej stodoły lub starej szopy. Z reguły nadaje się jak nie jedna ściana, to druga. Ważne są też stare fotografie, żeby pochodziły z regionu lub przedstawiały członków rodziny właściciela obiektu.



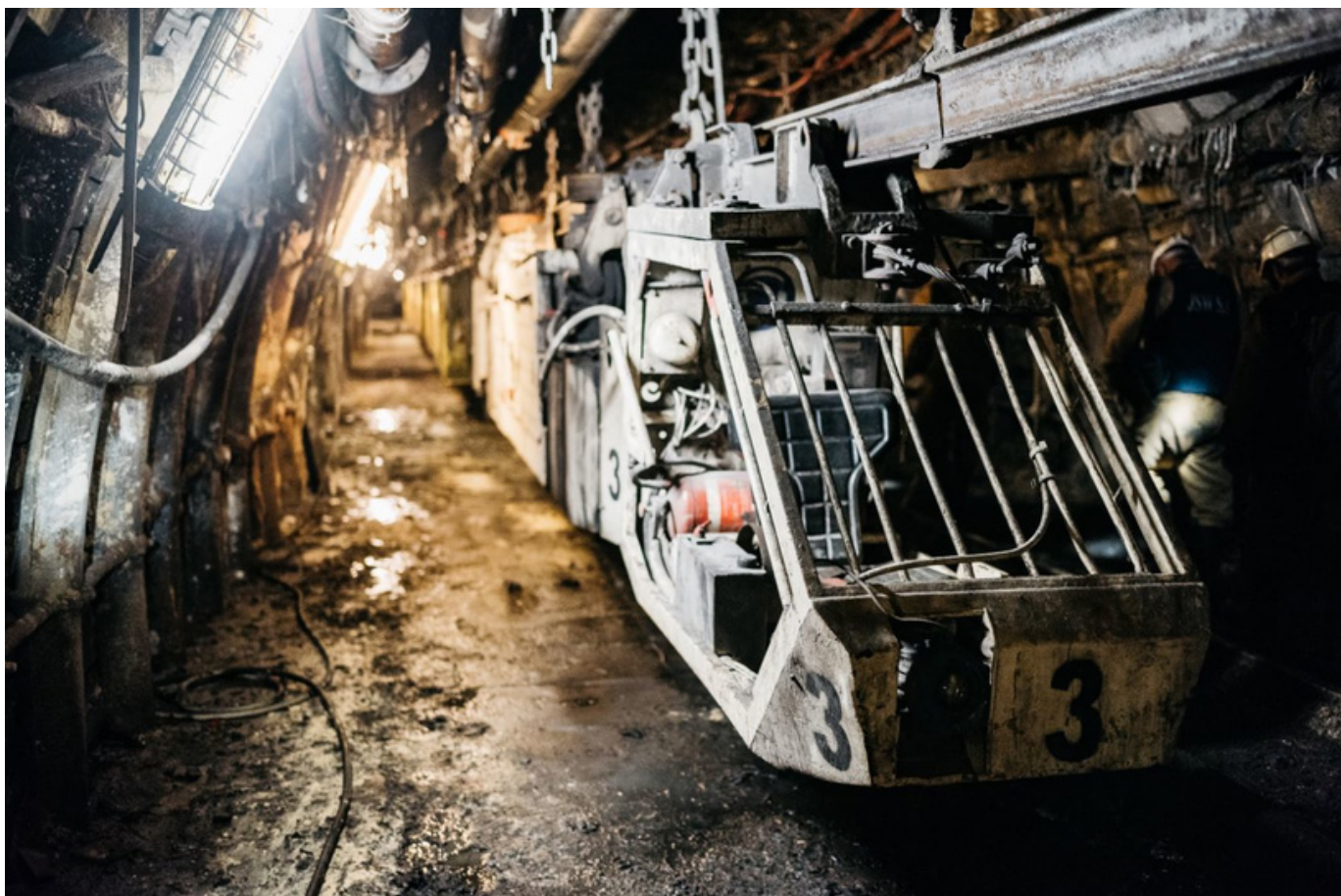
Gorajec, wieś na Podkarpaciu

| fot. Arkadiusz Andrejkow

Oferty mają być wyłącznie z Podkarpacia?

– Przede wszystkim z Podkarpacia, ale nie zamykam się na inne propozycje. Dostałem już parę maili z innych województw, ktoś nawet znad morza napisał. Kto wie, może coś z tego wyjdzie...

ZOBACZ W INTERNECIE >



W kopalni niewiele jest jasnych miejsc. Króluje ciemność i wszechobecny pył węglowy

| *Discovery Szymon Adamczyk*

Praca górnika. Wizyta w przedsionku piekieł

Adam Wieczorek

Jak wygląda praca górnika? W ciemności, wilgoci i upale pracują najtwardsi z twardych. Z górnikami z kopalni węgla zjeżdżamy kilometr pod ziemię, odślaniając tajemnice ich niebezpiecznej pracy. Tutaj liczą się odwaga i stalowe nerwy, a każdy dzień to walka.

KIEDY RAZEM Z GRUPĄ dziennikarzy z całej Polski stoimy przed wejściem do Kopalni Węgla Borynia, w oczy rzuca się nam olbrzymi napis – „Kopalnia metanowa. Całkowity zakaz palenia”. Trochę się z tego podśmiewamy, bo nie wiemy jeszcze, co spotka nas za kilkadziesiąt minut. Zjedziemy ponad kilometr pod ziemię, aby zobaczyć, w jakich warunkach pracują górnicy węgla kamiennego. To doświadczenie będziemy pewnie wspominać, jako jedną z największych i przerażających przygód naszego życia. Odtąd już zawsze będziemy patrzeć na pracę górników z najwyższym szacunkiem.

Zanim jednak przyjdzie nam tego wszystkiego doświadczyć, zbieramy się, aby przejść pierwsze sito. Po przedstawieniu krótkiej historii kopalni Borynia i wyjaśnieniu, gdzie się niedługo znajdziemy, nadchodzą trudne pytania – czy panie nie są w ciąży, czy nie mamy problemów z ciśnieniem, czy jesteśmy wypoczęci, a także czy... nie mamy kaca. Każda z tych odpowiedzi z miejsca dyskwalifikuje nas z wyprawy. Właśnie wtedy przychodzi pierwsze ukłucie niepokoju, bo wyrazy twarzy naszych rozmówców mówią wyraźnie, że czas na żarty właśnie się skończył.

Następnie zostajemy zabrani do łaźni, gdzie przebieramy się w stroje robocze. Drelichowe spodnie, parciany pasek, flanelowe koszule w kratę rodem ze złego snu informatyka, grube skarpety po kolana, równie wysokie kalosze, ciepłe kufajki, rękawice i kaski. Na miejscu zostaje też cały sprzęt elektroniczny, od komórek po zegarki. W kopalni metanowej nie można pozwolić sobie na powstanie najmniejszej nawet iskry. Po raz drugi zastanawiamy się czy wiemy, co naprawdę robimy.

Prowadzący nas górnicy uśmiechają się pod nosem, ale widać w tym również troskę. Mają pod opieką kopalnianych żółtodziobów, a trafimy do miejsca, gdzie wielu rzeczy nie da się przewidzieć. Gdy już kończymy serię zdjęć w „strojach bojowych”, przechodzimy szkolenie ratunkowe. Tam otrzymujemy przedsmak tego, co może się dziać, gdy sytuacja wymknie się spod kontroli. W zadymionym, sztucznym odcinku kopalnianego korytarza nie widać nawet ręki, którą trzymamy przed oczami. Po omacku, w egipskich ciemnościach wspinamy się po schodach i zjeżdżamy po kawałku taśmociągu. Patrząc na koleżanki i kolegów, gdzie maluje się niepewność, a na policzkach widać niezwykłą bladość. Gdy przechodzimy szkolenie z uży-

wania aparatów ratunkowych po raz kolejny zastanawiamy się nad wyborem.

– To wszystko co niesiecie waży kilka kilogramów, ale pamiętajcie, że im dłużej będziecie pod ziemią, tym będzie cięższe. Pod koniec możecie mieć wrażenie, że dźwigacie kilkadziesiąt kilo. To normalne – tłumaczy nam sztygar Czesław Ficek.

Jeszcze tylko szybkie mierzenie ciśnienia i gdy pielęgniarka daje nam zielone światło, ruszamy po sprzęt. Jak prawdziwi górnicy, otrzymujemy aparaty ratunkowe, lampy górnicze, które wpinamy w kaski. Do tego dochodzą jednorazowe maseczki i okulary, które mają uchronić nas przed zapyleniem. Będziemy później za nie dziękować. Jeszcze tylko karty, które musimy odbić przed zjazdem i po powrocie na powierzchnię. Przy olbrzymiej rotacji pracowników jest to jeden z wielu systemów kontroli czy wszyscy powrócili z otchłani. A ta jest ogromna. Kopalnia Borynia ma prawie 100 kilometrów czynnych chodników. To prawdziwy, wielopiętrowy labirynt, w którym bardzo łatwo się zgubić. Gdy obwieszeni sprzętem wciskamy się do windy, czujemy się trochę niepewnie. Kabina rusza. Nie ma już odwrotu.

KILOMETR POD ZIEMIĄ

Ciśnienie kilkakrotnie zatyka nam uszy. Prędkość jest oszałamiająca, bo całą drogę na dół pokonujemy w półtorej minuty. W szybie dmie lodowaty wicher i dziękujemy w duchu za ciepłe kufajki. Pierwsze, co rzuca się w oczy, gdy wychodzimy z windy, to wszechobecna biel. Szerokie, wypełnione wagonikami korytarze, pokryte są szaro-białym pyłem.

– To sproszkowane skały. Są tu po to, aby obniżyć zawartość pyłu węglowego w powietrzu. Chodzi o to, aby w przypadku zaiskrzenia nie doszło do samozapłonu – tłumaczą nam górnicy.

W korytarzach szaleje wiatr. To doprowadzane siedmioma szybami powietrze wentyluje chodniki, aby można w nich było oddychać. Jest przeraźliwie zimno. Jeszcze nie wiemy, że zatęsknimy za tym powiewem.

– Pamiętajcie, że macie patrzeć równocześnie pod nogi, przed siebie i na boki. Musicie cały czas wiedzieć, co się dzieje dookoła. Kopalnia to nie leśna dróżka

i różne rzeczy mogą wystawać czy leżeć pod nogami.

Tę lekcję przypominam sobie kilkadziesiąt metrów dalej, gdy przydzwaniam kaskiem w wystającą ze ściany stalową belkę. – Co ja mówiłem, pieronie! – krzyczy sztygar. – Masz mieć oczy dookoła głowy!

DŁUGA DROGA

Wędrujemy kilkaset metrów, a korytarze powoli tracą swą białą barwę. Coraz więcej tu szarości i czerni. Przestrzeń wypełniają różnorodne dźwięki. Chwilami panuje wręcz ogłuszający hałas. Szum olbrzymich turbin tłoczących powietrze, miesza się ze świstem wiatru, rykiem silnika kolejki, szumem wielkich generatorów, a później również łoskotem taśmociągów.

Pod sufitem wiszą szyny, których śladem docieramy do podwieszanej kolejki spalinowej. Nią przebędziemy część drogi, którą wielu górników musi codziennie pokonywać piechotą.

– Dotarcie na stanowisko pracy potrafi zająć nam i godzinę – mówi Dawid Kierc,



Kilometr pod ziemią jest gorąco, duszno i ciemno. Wszędzie czai się groźny metan

| materiały prasowe

bohater programu Discovery „Górnicy PL”. – Wy mieliście jeszcze lekko, bo nie dźwigaliście narzędzi i innego sprzętu.

W kolejce jest ciasno. Ledwo mieszczą się tam z kolegą z innej redakcji. Nie potrafimy sobie wyobrazić, jak w tym ścisku radzą sobie masywni bohaterowie programu. Z rykiem silnika przemierzamy kolejne kilometry korytarza, oświetlając latarkami boczne odnogi, pędzące na taśmociągach bryły węgla i podziemne kałuże szlamu. W powietrzu jest coraz więcej pyłu i niektórzy z nas zakładają już maseczki i okulary.

PRAWDZIWY PRZEDSIONEK PIEKIEŁ

Wysiadamy wpadając z mlaśnięciem w gęste, sięgające powyżej kostek łokcie. W korytarzu ciągle wieje lodowaty wiatr, ale nasi przewodnicy każą zostawić nam kufajki w kolejce. Ruszamy w głąb bocznej odnogi, przechodząc nad i pod taśmociągami, z których na kaski i koszule kapie nam wilgotna, węglowa masa. W kopalni używa się olbrzymich ilości wody i gdzieś musi ona znaleźć ujście. Dochodzimy do przedzielającej korytarz drewnianej ściany.

Nagle czujemy, jakby ktoś uderzył nas w twarzę gorącą, mokrą ścierką. Wkraczamy do korytarza, gdzie znajduje się aktywne wyrobisko. Ściany dookoła mają temperaturę powyżej 40 stopni Celsjusza. Powietrze chyba jeszcze więcej, a wilgotność to pełne 100 procent. Ciężko jest złapać oddech. Nie ułatwiają tego maseczki, które ze względu na wszechobecny pył musimy mieć cały czas na twarzach. W tle słyszymy głośnie pikanie. To czujniki metanu dają znać o obecności tego niebezpiecznego gazu. Kątem oka dostrzegam, że nasz przewodnik ścisza czujnik, aby nie wywoływać w nas dodatkowego niepokoju. Lustruje nas uważnie i pyta czy jesteśmy gotowi na dalszą drogę.

Z każdym krokiem idzie się coraz ciężiej. Rzeczywiście sprzęt wydaje się ważyć więcej i więcej. Powietrze przepełnione jest coraz większą ilością pyłu. W oddali majaczą nam rozmyte światełka latarek. Zbliżamy się do ściany, gdzie pracuje kombajn wydobywczy. Oddychanie staje się trudne. Koszula lepi się do ciała, a widoczność wynosi ledwie kilka metrów. Ciągłe patrzymy wszędzie dookoła, bo

pułapek czyha tu bez liku. U sufitu widzimy wielkie worki. Są wypełnione wodą. W każdym z nich jest 40 litrów. Jeżeli nastąpi wybuch metanu, to ulegną stopieniu, a parująca woda ma szansę powstrzymać ścianę ognia i uratować tych, którzy znajdują się na terenie kopalni. Los tych, którzy zostaną przed zaporą jest raczej przesądzony.

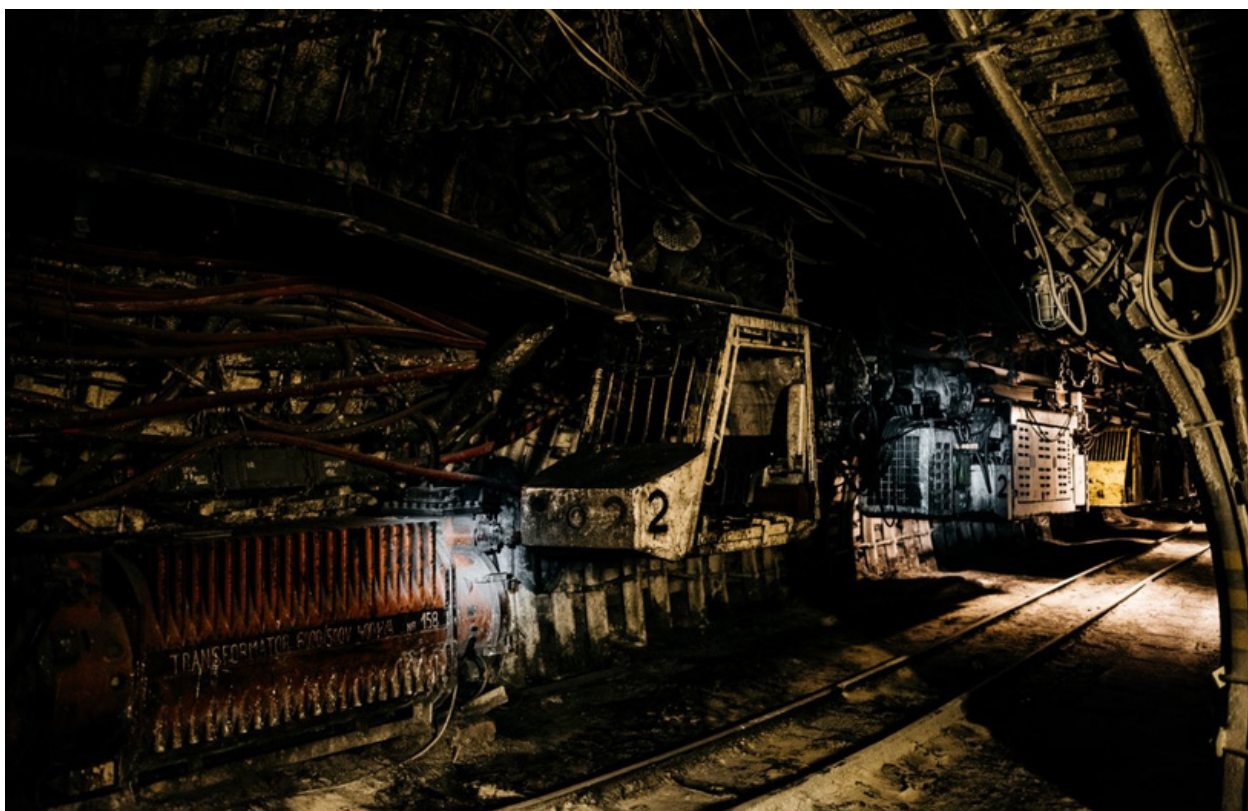
– Mamy kolegę, który przeżył wybuch metanu. Po czymś takim chyba bym się już nigdy nie odważył zjechać pod ziemię. On dalej jeździ. Jest dla mnie przykładem olbrzymiej odwagi – mówi Robert Jaczyński, jeden z pracujących pod ziemią górników.

Dochodzimy do końca korytarza i kierujemy się niskim wykopem w dół, do kombajnu górniczego. Sufit przed ścianą wydobywczą podpierają olbrzymie siłowniki. Jest ciasno i duszno, niewiele widać. Nagle, pomiędzy siłowników błyska biel. To pracujący tu od świtu górnik. Jest całkowicie czarny od pyłu, nie da się odróżnić go od otaczających ścian. Błysk pochodził od uśmiechu, bo tylko zęby i osłonięte oczy, zachowały jeszcze naturalny kolor.

Mamy wrażenie, że nie da się tu obrócić, a górnicy śmigają dookoła nas i jeszcze obsługują długą na kilkanaście metrów maszynę. Na ścianie węgla pokazują nam odcisk paproci czy innej rośliny, z której powstał węgiel. Dla nas to sensacja, a dla nich codzienny widok. Chwilę później nie widzimy już nic. Kombajn ruszył w swoją drogę, a powietrze wypełniła chmura pyłu. Nawet z latarkami nie widzimy wyciągniętej przed siebie dłoni. Uszy atakuje huk, walczymy o oddech. Do tego dochodzi jeszcze nagły wstrząs. Gdyby nie to, że nasze twarze też są już czarne, to pewnie byłyby niezwykle blade. Nie ma jednak powodów do paniki, bo to naturalna reakcja górotworu.

DO ŚRODKA ZIEMI

Schodzimy jeszcze głębiej, do miejsca, gdzie wydobyty węgiel trafia na taśmociąg. W tym miejscu jest naprawdę niebezpiecznie. W każdej chwili może nastąpić tąpnięcie (tak nazywają je nasi przewodnicy). Dlatego przechodzimy ten odcinek w małych grupach i w szybkim tempie. Jest potwornie ciasno. Ledwo się przeciska-



W kopalni najszybciej można poruszać się dzięki kolejce podwieszanej pod stropem tunelu

| *Discovery Szymon Adamczyk*

my. Mijamy pełną szlamu kałużę. Przewodnicy radzą nam w nią nie wpadać, bo mogliby nas nie wyciągnąć na czas.

– Tam gdzie byliście, jest mnóstwo miejsca – śmieje się Dawid Kierc, który przewyższa mnie o co najmniej dwie głowy. Nie wyobrażam sobie, jak on radzi sobie w takich sytuacjach. – Nie musieliście się przecież czołgać. Koledzy się śmieją, że są takie miejsca, gdzie tylko ja dam radę się dostać. Jak ja się nie wcisnę to znaczy, że się nikt nie wcisnie.

W powietrzu jest już trochę mniej pyłu. W świetle latarek widzimy swoje straszliwie umorusane twarze. A przecież spędziliśmy przy ścianie wydobywczej tylko kilka minut. W drodze powrotnej zaczynam odczuwać spadek kondycji. Powłóczymy nogą za nogą, a sprzęt ciąży nam niemiłosiernie. Nawet huk taśmociągu wydaje się usypiać. Co chwila mijają nas górnicy. Oni już spieszą się do domu. Nie wiemy, jakim cudem po kilku godzinach pracy w tych warunkach mają jeszcze siłę tak szybko iść. Zwłaszcza, że często dźwigają jeszcze narzędzia.

Zimny wiatr witamy jak zbawienie. Otulamy się kufajkami i ściskamy w podwie-



Po chwili widać jedynie oczy i białe zęby...

| *Discovery Szymon Adamczyk*

szanej kolejce, którą powracamy pod szyb wyjazdowy. Jej monotonne kołysanie usypia. Nie przeszkadza nam hałas. Oczy same się przymykają. Ostatnie metry pokonujemy na ostatnich nogach. W sumie przeszliśmy pod ziemię kilka kilometrów, a czujemy się jakbyśmy przebiegli maraton. Gdy w końcu wyjeżdżamy na powierzchnię, czujemy wielką ulgę. Ale to nie koniec przygód.

Zdajemy sprzęt i udajemy się do łaźni. Domyć się wcale nie jest łatwo. Szczególny problem sprawiają oczy, bo każdy z nas wygląda jakby został wokalistą emo-bandu dla nastolatek. Z zadaniem usunięcia węgla z oczu dużo lepiej poradziły sobie nasze koleżanki.

Gdy pytamy sztygara, czy rodziny górników mają okazję zjechać pod ziemię i poznać warunki ich pracy, wzrusza ramionami i odpowiada: „Kiedyś były takie pomysły, ale ich zaniechaliśmy. W sumie to po co mają wiedzieć? Będą się tylko niepotrzebnie martwić”.

POWRÓT DO ŚWIATA ŻYWYCH

Gdy siedzimy z bohaterami programu *Górnicy PL* przy wspólnym stole nie potrafimy patrzeć na nich inaczej niż na bohaterów. Nasza kilkugodzinna przygoda wyczerpała nas fizycznie i wystawiła na test odporność psychiczną. Oni zjeżdżają pod ziemię prawie codziennie. I jeszcze muszą wykonać tam ciężką fizyczną pracę. Pytanie o zarobki zbywają machnięciem ręki.

– Jeśli ktoś mówi, że może jako górnik zarobić 6000 złotych na rękę, to powiem, że owszem może. Jak będzie siedział na dole przez bity miesiąc, dzień w dzień i po półtorej zmiany. Kto by chciał tak pracować? – mówi Robert Jaczyński.

– My kochamy tę pracę, ale chcemy mieć też swoje życie – śmieje się Dawid Kierc. – Ja mam swoje modele, kolega skacze ze spadochronem. Każdy robi coś innego. Ale faktem jest, że gdy siedzimy dwa tygodnie na urlopie, to brakuje nam pracy. Mamy ją we krwi. Górnictwo trzeba kochać. Inaczej w życiu nie zjedzie się pod ziemię

ZOBACZ W INTERNECIE >



Wejście do synagogi La Ghriba

| INTERIA.PL

Śpiewają, tańczą, modlą się. A obok mieszkają muzułmanie...

Dominika Gębiś

Gdy Odyseusz wraz z towarzyszami, wracając ze zwycięskiej wojny trojańskiej przybył na wyspę Dżerba, tubylcy poczęstowali go pysznym, miodowym owocem lotosu – i tak właśnie ojczysta Itaka poszła w zapomnienie, a załoga zapragnęła zostać na wyspie na zawsze. Piękno i niepowtarzalny klimat miejsca urzekają więc od zawsze. I nie tylko Odyseusz szukał tu schronienia.

TUNEZJA TO NIE TYLKO malownicze plaże i piękne krajobrazy. Stanowi również niezwykle ważne miejsce dla Żydów. Judaizm jest w tym kraju trzecim co do wielkości wyznaniem religijnym i liczy około 1500 wierzących. Jedna trzecia z nich żyje wokół stolicy (m.in. Włosi, Hiszpanie, imigranci), a reszta zamieszkuje wyspę Dżerba – największą wyspę afrykańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego.

Miejsce to ma burzliwą przeszłość. Za czasów Fenicjan była portem. Gdy zaplanowali nią Rzymianie nazywała się Meninx i była miejscem odpoczynku dla kupieckich karawan podróżujących przez Saharę. O wyspę toczyły się ciągłe walki, w których brali udział Wandalowie, Arabowie i Normanowie. Największy rozwój Dżerby nastąpił za czasów okupacji tureckiej, która rozpoczęła się pod koniec XVI wieku. W roku 1881, na wyspie nastał czas protektoratu francuskiego, a w 1956 r. wyspa stała się częścią niepodległego państwa tunezyjskiego.

Obecnie mieszka tam około 100 tys. ludzi. Są to głównie Berberowie i Arabowie. Większość stanowią muzułmanie, choć mieszkają tam również wyznawcy innych religii, w tym chrześcijanie. W 586 roku p.n.e. na Dżerbie osiedlili się Żydzi, którzy



Dla tunezyjskich Żydów obchody Lag Ba Omer to kilka dni radosnego świętowania

| INTERIA.PL



Wnętrze synagogi La Ghriba

| INTERIA.PL

po spaleniu Świątyni Salomona wyemigrowali z Jerozolimy. Przybysze zapoczątkować mieli budowę Synagogi La Ghriba, zabierając ze sobą drzwi i kamień z ołtarza zniszczonej świątyni. Dziś kamień ten wmurowany jest w sklepienia synagogi.

Legenda głosi, że synagoga została zbudowana na miejscu, gdzie mieszkała pewna dziewczyna, która nie była akceptowana przez tamtejszą ludność. Pewnego dnia jej szatas stanął w płomieniach, a dziewczyna zmarła. Wszystko zostało doszczętnie zniszczone, oprócz ciała kobiety, które pozostało w stanie nienaruszonym. Żydzi uznali ją wówczas za świętą i postavili w tym miejscu synagogę. Według innej tradycji, dziewczyna uciekła z Izraela, zabierając ze sobą zwój Tory oraz kamień ze świątyni Jerozolimskiej. Synagoga miała zaś zostać wybudowana w miejscu, gdzie dziewczyna umarła z wyczerpania.

Dziś La Ghriba jest najważniejszą synagogą w Afryce oraz miejscem, gdzie znajduje się jedna z najstarszych Tor na świecie. Tłumnie odwiedzana przez pielgrzymów, którzy tradycyjnie co roku, na przełomie kwietnia i maja obchodzą tam żydowskie święto Lag Ba Omer. Celebra związana jest ze śmiercią rabina – Szymona bar Jochaja.

Świętowaniu towarzyszy zarówno podniosły, jak i radosny nastrój. Uczestnicy śpiewają, grają na instrumentach, tańczą, modlą się o płodność, rozpalają ogniska. Kulminacją jest procesja, w której uczestnicy niosą ogromny świecznik. Na obchody co roku przybywają licznie pielgrzymi oraz turyści. Dla części z nich jest to po prostu ciekawe widowisko, dla innych zaś pretekst do pogłębienia swojej wiedzy na temat Dżerby.

Tunezyjscy Żydzi mieszkają głównie w okolicach Tunisu i na Dżerbie. Po utworzeniu państwa Izrael wielu z wyznawców judaizmu wyemigrowało, a ci, którzy pozostali, wiodą tam spokojne życie. Przestrzegają zasad religii, uczą się hebrajskiego i kultywują swoje tradycje oraz zwyczaje – a wszystko to w państwie, gdzie przeważa islam.

Dla osób rzadnych wiedzy, interesujących się religiami świata, odwiedzenie synagogi będzie niewątpliwie ciekawym doświadczeniem. Warto udać się na Dżerbę z jeszcze jednego powodu. To jedno z niewielu miejsc gdzie obok siebie koegzystują dwie religie, w odpowiedzi na żydowskie „szalom” słysząc arabskie „salam”.

ZOBACZ W INTERNECIE >



Chinkali to gruziński przysmak, którzy pokochali Polacy (zdjęcie pochodzi z książki *Kaukasis*

| *Olia Hercules materiały prasowe*)

Najtrudniej jest mi przekonać ludzi, że Gruzja to normalny kraj

Katarzyna Pawlicka

Marcin Meller na Kaukazie bywa kilka razy w roku. Miłość do kraju „pełnego smaków, zapachów i bajkowych krajobrazów” okazała się tak silna, że razem z żoną ściągnęli gości z Polski i wyprawili wielkie, gruzińskie wesele. Pretekstem do spotkania z nim była książka *Kakukasis* Olii Hercules – pełna przepisów opowieść o trosce, gościnności i wielkiej słabości do jedzenia mieszkańców tego barwnego regionu.

KATARZYNA PAWLICKA, INTERIA: Kiedy pierwszy raz pojechał pan do Gruzji, w 1992 roku, trwała tam wojna domowa, umierali także cywile. A jednak zakochał się pan w tym kraju. Jak to możliwe?

MARCIN MELLER: – Do Gruzji trafiłem trochę przypadkiem. „Polityka” wysłała mnie do Górnego Karabachu, gdzie toczył się konflikt azersko–ormiański. Czasy były jeszcze przedkomórkowe, przedmailowe, w związku z czym nikt nie był w stanie sprawdzić, gdzie dokładnie jestem. Została mi kasa i pomyślałem, że pojadę do Gruzji. Miałem wtedy zasadę, że kiedy przyjeżdżałem do jakiegoś dziwnego miejsca, zawsze najpierw szukałem miejscowej redakcji. Wchodziłem do niej z ulicy i rzucałem rezolutnie: „Jestem z Polski, może ktoś mi pomoże?”.

– Pamiętam, że przy głównej ulicy w Tbilisi był tzw. Dom Prasy (jak np. w Krakowie przy Plantach), w którym mieściły się różne redakcje: gruzińskie i jedna rosyjskojęzyczna – Swobodna Gruzja. Właśnie tam zaczepił mnie Aljosza Łopatin i zapytał, czy potrzebuję pomocy. Był tbiliskim Rosjaninem (zupełnie osobna kasta ludzi), większym patriotą gruzińskim niż trzy czwarte znanych mi Gruzinów. W Swobodnej Gruzji pisał o kulturze i zajął się mną. Skontaktował mnie z dziennikarzami, z którymi pojechałem na front, ale oprócz tego poznał mnie ze znajomymi artystami. Było to dość surrealistyczne doświadczenie w, bandyckim wtedy, Tbilisi. Słysząc było strzały, rzędziły różne bojówki i zdarzało się, że i w biały dzień ktoś przystawiał kierowcy spluwę do głowy i zabierał samochód. A ja w tej atmosferze poznawałem genialnych ludzi: malarzy, pisarzy i filmowców. Wtedy pomyślałem sobie: jaki to mógłby być genialny kraj, gdyby nie te cholerne wojny.

Ale miał pan kilkuletnią przerwę w wyprawach na Kaukaz...

– Skupiłem się na Afryce i dopiero w 2006 roku pojechałem znów do Gruzji z moim młodszym bratem Andrzejem i jego przyjacielem – fotografem Radkiem Polakiem. W Tbilisi było tak, jak przed laty, albo nawet lepiej. Od kwietnia 2006 roku jeżdżę do Gruzji trzy, cztery razy w roku. Napisaliśmy z żoną książkę o tym kraju. Tam wzięliśmy też ślub.

Mówił pan, że życie towarzyskie i artystyczne toczyło się obok wojny. Chyba cały Kaukaz to region podwyższonego ryzyka, niegasnącego konfliktu. Kiedy rozmawiałam z Bartkiem Kieżunem, powiedział mi, że kulinarne rozpasanie Półwyspu Apenińskiego jest bezpośrednio związane z bliskością Wezuwiusza, który przypomina mieszkańcom o kruchości ludzkiego życia. Czy z podobnych powodów przykładą się na Kaukazie tak wielką wagę do biesiadowania, ucztowania?

– Biesiadowanie jest niewątpliwie charakterystyczne dla całego regionu. Jak tłumaczył nam znajomy antropolog, gruzińska uczta, czyli tzw. supra, trwająca czasem kilka dni, w takiej formie, w jakiej znamy ją dzisiaj, ma początek w XIX wieku. Gruzja, tak jak Polska, straciła niepodległość w 1795 roku. My zostaliśmy podzieleni przez trzy potęgi, Gruzję wzięła sobie Rosja. W Polsce opoką była religia, ale w Gruzji jest obrządek prawosławny – ten sam, co w Rosji. Bastionem okazał się więc dom, a w tym domu stół. Te wszystkie poetyckie toasty, wznoszone za przodków z 15 pokoleń wstecz, służyły umacnianiu narodowej tożsamości.

– A poza tym wierzę, że jest coś takiego, jak charakter narodowy. Gruzini mają w DNA: „zastaw się, a postaw się”, „jakoś to będzie”, „gość w dom, Bóg w dom”, „praca nie zajęc...”. Widziałem to setki razy. Wróciłem właśnie dwa tygodnie temu z Gruzji. Szukaliśmy z kumplami jakiejś agroturystyki w miejscu zupełnie nieturystycznym. Zapłaciliśmy za nocleg, ale dostaliśmy dużo, dużo więcej. Zeszli się kuzyni, sąsiedzi... Urządzono ucztę, która przerosła nasze oczekiwania.

Narodowość gościa ma wpływ na sposób przyjęcia go przez Gruzinów?

Jest stereotyp (a może nie stereotyp), że Gruzini uwielbiają Polaków...

– Nie znam innego kraju, gdzie za polskie pochodzenie dostaje się dodatkowy bonus startowy. Nie jest tak zawsze, ale nadal zdarza się często, w jakichś 80 proc. przypadków. Starsze pokolenie pamięta *Czterech pancernych*, Beatę Tyszkiewicz...

No właśnie. Nie chodzi tylko o wsparcie Lecha Kaczyńskiego dla Gruzji w 2008 roku?

– Tak było i przed Lechem Kaczyńskim. Tysiące mężczyzn w średnim wieku stacjonowało w Polsce – w Legnicy i innych bazach. Na hasło „Polska” oczy im się świecą, bo pamiętają jakieś Moniki, Agnieszki itd. Dużo Gruzinów przyjeżdżało tu na saksy, albo uczyć się. Lech Kaczyński na pewno dołożył dużo dobrego. Ale też sytuacja polityczna miała wpływ na ten przyjazny stosunek. Gruzini widzieli, z jakiego punktu startowała Polska w '89 i w jakim punkcie znalazła się po ćwierć wieku. Z ich perspektywy to jest przykład wielkiego skoku i sukcesu.

Olia Hercules, w swojej książce *Kaukasisi* pełnej przepisów z regionu, przywołuje słowa swojej ciotki – Ormianki, która nigdy nie powiedziała niczego złego o Azerach, podkreślając, że konflikt między tymi dwoma narodami został sztucznie wywołany. Jak to wygląda w praktyce? Czy w ogóle możliwe, by Ormianin i Azer siedli do wspólnego stołu?

– Rozumiem, że jak się pisze o jedzeniu i świętowaniu, robi się wszystko, by tych tematów nie przysłaniał mrok. Wojna ormiańsko–azerska była na początku konfliktem domowym, jak najbardziej prawdziwym. W powieści *Ali i Nino*, napisanej w latach 30. przez Żyda, ale z perspektywy azerskiej, schwarzcharakterami są właśnie Ormianie. To jest konflikt podobny do tego żydowsko–palestyńskiego. Sięgający setek lat wstecz, niezwykle osadzony, z wielką traumą najpierw po ormiańskiej stronie, a teraz po azerskiej.

– Podam taki przykład: ostatnio w Lidzie Mistrzów grała azerska drużyna, która się nazywa *Karabach*, mimo że Azerowie stracili cały Karabach na rzecz Ormian. Z kolei Ormianie swoją świętą górę Ararat mają w symbolach wszystkiego: od banknotów po koniaki. I widzą ją z każdego punktu Erewania, swojej stolicy. Jest jednak mały drobiazg: Ararat leży w Turcji. To tak, jakby dla Polaków granica z Niemcami przebiegała pod Wawelem, tyle że Wawel był już po stronie niemieckiej.

Gruzini są z jakimś narodem skonfliktowani do tego stopnia, że nie zaprosiliby jego przedstawiciela do stołu?

– Najbardziej skomplikowane stosunki mają z Rosjanami. Gruzini uwielbiają powtarzać, że Rosjanie kochają Gruzję, ale bez Gruzinów. Za czasów radzieckich Gruzja była ulubionym miejscem wakacji dla Rosjan. A Gruzinom imponowało, że rocznie odwiedzało ich kraj kilka milionów turystów z innych republik Związku Radzieckiego, w większości Rosjan. Gruzini są niewątpliwie zafascynowani kulturą rosyjską na każdym poziomie. Podczas wojny w 2008 roku, kiedy samoloty rosyjskie bombardowały Gori, w barach w Gori ludzie oglądali moskiewską telewizję publiczną i słuchali rosyjskiego popu. Więc są tacy, którzy nienawidzą Rosji i tacy, którzy są nią w jakiś sposób zauroczeni. Charakterystyczna rzecz – większość zachodniej popkultury idzie do Gruzji przez Rosję.

A jak układają się relacje z pozostałymi sąsiadami?

– Gruzini i Ormianie są chrześcijanami – do dziś kłóć się, kto przyjął chrześcijaństwo pierwszy, a rzecz działa się już na początku IV wieku. Azerowie są muzułmanami. Paradoksalnie jednak, Gruzja ma lepsze stosunki z Azerbejdżanem niż z Armenią, bo Armenia jest prorosyjska. Z kolei jak była wojna 2008 roku i część ludzi zaczęła uciekać z Gruzji, bojąc się, że Rosjanie zajmą cały kraj, to Armenia zamknęła granice, a Azerbejdżan je otworzył.

– Kiedyś Armenia i Azerbejdżan trafiły do jednej grupy na Mistrzostwach Europy i nie mogły rozgrywać meczów u siebie, bo kibice przeciwnej drużyny po prostu by nie przyjechali. Gruzini zaproponowali: grajcie u nas, w Tbilisi. Azerowie się zgodzili, ale Ormianie zaprotestowali, bo wiedzieli, że jak Gruzini przyjdą na stadion, będą dopingować Azerów. Każdy Ormianin będzie mówił, że Tbilisi zbudowali Ormianie, bo Gruzini byli zbyt leniwi. Gruzini natomiast śmieją się z Ormian, że ci myślą tylko o pieniądzach. Ale te złośliwości nie przeradzają się w coś gorszego. W samym Tbilisi mieszka przynajmniej sto tysięcy miejscowych Ormian, żyją razem z Gruzinami, nierzadko się żenią.

Relacje na Kaukazie to trudne i złożone zagadnienie. Zakładam, że często rozmawia pan z Polakami o tym regionie. Co wiemy o Gruzji, o Kaukazie? Z czym przede wszystkim kojarzy nam się ten obszar?

– Wszystko zależy do tego, czy ktoś już tam był, czy nie. Tym, którzy nie byli, wydaje się, że Kaukaz jest dziki, dziewiczy, a na ulicach tubylcy szaleją z kindżałami. Najtrudniej jest mi przekonać ludzi, że to normalny kraj: są bankomaty, supermarkety. Kierowcy jeżdżą co prawda jak potłuczeni...

To tak jak we Włoszech, na przykład na Sycylii.

– Jest dużo podobieństw między Sycylią i Gruzją. I nie chodzi, broń Boże, o mafię, tylko np. o strukturę rodzinno–klanową, bardzo silną rolę tradycji. Spotkałem kiedyś starszych Włochów, którzy powiedzieli mi, że jak są w Gruzji i biorą udział w uczcie, przypomina im się dzieciństwo. We Włoszech tradycja wspólnego biesiadowania w sporym stopniu zanikła wyparta przez nowoczesność, w Gruzji trwa nadal i nic nie zapowiada zmian...

A jak wygląda stosunek Polaków do gruzińskiego jedzenia? Jak grzyby po deszczu wyrastają w Polsce kolejne chinkalnie, znamy chaczapuri, ale chyba trudno powiedzieć nam coś więcej. Zamykamy się w kilku smakach...

– Jest coraz więcej knajp gruzińskich w Polsce. Ostatnio obok mojego domu otworzyły się dwie. Są też np. Ormianie, którzy wyczuli, że kuchnia gruzińska jest coraz popularniejsza w Polsce i otwierają restauracje lub bary z gruzińskim jedzeniem. Ale oczywiście tak – to nadal niszówka. Z drugiej strony – co roku dziesiątki tysięcy Polaków jeżdżą do Gruzji i każdy z nich ma okazję czegoś tam spróbować.

Tanie loty zrobiły swoje...

– Jasne. W Warszawie otwarto jakiś czas temu piekarnię gruzińską, nie ograniczamy się już tylko do chinkali i chaczapuri. Kuchnia gruzińska chyba nigdy nie stanie się tak popularna, jak wietnamczyk, kebab czy (z innej półki) kuchnia włoska, ale może załapać się do pierwszej dziesiątki. Inne smaki mogą okazać się nęcące.

Co dla Polaka, przyzwyczajonego do polskiego tradycyjnego jedzenia, będzie w kuchni gruzińskiej najbardziej zachęcające, bliskie, a co wręcz przeciwnie?

– To, co przyciąga, może okazać się równocześnie tym, co zniechęca. Kuchnia gruzińska jest dużo bardziej aromatyczna niż polska. Gruzini używają bardzo wielu endemicznych (rosnących tylko w Gruzji) ziół i przypraw. Na przykład dodają kolendrę niemal do wszystkiego, więc jeśli ktoś ją lubi (tak jak ja) to jest w raju, a jeśli nie – ma problem. Używają też bardzo dużo czerwonej bazylii, która robi genialny smak nawet najprostszej sałatce z ogórków i pomidorów. Kupiłem ją kiedyś na eko targu w Polsce, ale smakowała zupełnie inaczej.

– Paradoksalnie, mimo że Gruzini są mięsożercami, ich kuchnia jest przyjazna weganom i wegetarianom. Mówiła o tym zresztą Marta Dymek. Na przystawkę podaje się bowiem dania z papryki, fasoli, kapusty, szpinaku, bakłazana na milion sposobów. Wegetarianie mogą z kolei jeść chaczapuri w wielu odmianach.

– Przeszkodą, z polskiego punktu widzenia, może być też ostrość wielu gruzińskich potraw. Chociaż to nie jest poziom pikanterii potraw spotykanych np. w kuchni azjatyckiej czy latynoamerykańskiej.

Kiedy czytałam *Kaukasis* zauważyłam, że w tej książce jest sporo troski na kilku różnych płaszczyznach: troski o czytelnika (szczegółowe objaśnienia przepisów), troski o gościa, któremu podaje się zawsze kilka różnych dań, by spróbował nowych smaków i troski o więzi rodzinne, przyjacielskie. Czy to kaukaska specyfika?

– Autorce trzeba oddać cześć, bo nie pozostawiła czytelnika samemu sobie: np. podała zamienniki trudno dostępnych składników. Olia Hercules pisze głównie dla mieszkańca zachodniej Europy, a pomaga jej w tym background, bo jest Ukrainką z ormiańskimi korzeniami, która jako dziecko mieszkała na Cyprze, studiowała we Włoszech i wylądowała w Anglii.

– A *propos* zaproszenia do wspólnego stołu – w Gruzji nikt nie zamawia jedzenia dla siebie. Niezależnie od tego czy w domu, czy w knajpie i niezależnie od tego, ile



Gruzińskie słodkości (zdjęcie pochodzi z książki *Kaukasis*)

| *Olia Hercules, materiały prasowe*

stół miałby powierzchnię, talerzyków jest tyle, że układa się z nich piramidki. Nie ma to żadnego związku ze statusem materialnym, bo jak się ucztuje u ubogich ludzi, to składniki są inne: jest więcej pomidorów, chleba, tanich rzeczy, ale i tak będzie wszystkiego za dużo. To ciężkie wyzwanie dla gościa, który chce wstać od stołu o własnych siłach. Widziałem wiele razy swych rodaków, którzy, głodni, rzucali się na przystawki, myśląc, że to już cały posiłek. Pamiętam też, jak zaproponowaliśmy z żoną znajomym Gruzinom, by wziąć na wynos z knajpy to, czego nie zdołaliśmy zjeść. Nasz pomysł spotkał się z oburzeniem i pytaniem: „A co – w domu jedzenia nie mamy?”.

Co w takim razie powinien wiedzieć polski turysta przed swoją pierwszą suprą? Czy istnieje *savoir-vivre* gruzińskiego ucztowania?

– Sama ucztę nie jest szczególnie rytualizowana, oczywiście poza toastami. Zazwyczaj jest tak, że *tamadą*, czyli kierującym ruchem toastowym jest najstarszy człowiek przy stole, najczęściej mężczyzna i gospodarz spotkania. W dobrym tonie



Marcin Meller

| Piotr Andrzejczak MWMedia

jest niepicie poza kolejkami. W 99 proc. przypadków pije się wino i czeka z wychyleniem szklanki aż *tamada* wzniesie toast.

Faktycznie pije się do dna przy każdym toaście?

– Są dwie szkoły. Generalnie tak, ale jest też druga szkoła, że po toaście wypija się mniej więcej dwie trzecie szklaneczki a resztę zostawia się na dopicie przed kolejnym toastem. Błąd popełniany często przez Polaków, którzy siadają do stołu, to pośpiech. Szczególnie jeśli chodzi o picie – raczej należy spowalniać cały proces, bo na pewno nigdy nie zabraknie. Ja się specjalizuję w oszustwach przy stole, żeby pominąć choć jedną kolejkę. Nie dam rady w otwartej rywalizacji.

Na koniec chciałabym raz jeszcze wrócić do książki Olii Hercules. Coraz częściej mamy do czynienia z książkami kucharskimi, które jednocześnie są

opowieściami o jakimś kawałku świata...

– No i to jest najfajniejsze! Jedzenie jest częścią kultury, a Gruzja jest tego idealnym przykładem. Najstynniejszym gruzińskim obrazem, odpowiednikiem naszej *Bitwy pod Grunwaldem*, jest *Uczta w Pergoli* Niko Pirosmaniego – malarza prymitywisty, ichniejszego Nikifora. A mówimy przecież o kraju, który miał nie mniej krwawą historię niż Polska. Przedstawia trzech przyjaciół, którzy siedzą w altance, jedzą i piją.

Tego im bardzo zazdroszczę, biorąc pod uwagę polskie uwielbienie dla martyrologii i batalistycznych historii.

– My mamy panów z mieczami, a ich malarski symbol to ucztujący mężczyźni.

Czym tak naprawdę jest jedzenie dla Gruzina?

– Wszystkim. Jedzenie i wino jest centrum gruzińskiej duszy.

ZOBACZ W INTERNECIE >

Redakcja: Agnieszka Łopatowska

Projekt okładki: Anna Dukat

Koordynator projektu: Barbara Juranek

Kraków 2018

interia

Skład: Angelika Duchnik

woblink